

Jules Verne

## Chancellor

### I.

Charleston 27 września 1870 roku.

Opuściliśmy wybrzeże Baterii dziś o trzeciej południu w czasie największego przyływu morza. Odpływ szybko oddalił nas od brzegów. Kapitan kazał rozpiąć górne i dolne żagle, a silny wiatr północny popchnął Chancellora w poprzek zatoki. Wkrótce potem okrążono fort Sumter, pozostawiając na lewo baterie strychujące. O czwartej przebyliśmy przewał, skąd silny prąd odpływu uniósł nas dalej. Do pełnego jednak morza daleko jeszcze, a drogę zagradzają ławy piasku, z wąskimi korytami, przez które trzeba się przemknąć. Kapitan Huntly wybrał południowe przejście, po nad którym leży latarnia morska lewego skrzydła fortu Sumter. Żagle Chancellora ustawiono najdokładniej i o 7-ej wieczorem minąwszy ostatnią ławę piaszczystą, nasz szatek wpłynął na Atlantyk.

Chancellor piękny trzymasztowiec o 900 beczkach objętości, należy do bogatego domu braci Leard w Liwerpolu, zupełnie nowy, bo parę lat temu zbudowany, jest okuty blachą miedzianą – jego zaś szkielet i dolne części masztu oprócz tylnego, są żelazne.

Po opuszczeniu zatoki zwinięto flagę angielską, pomimo to każdy marynarz rozpozna narodowość statku. Anglik przejawia się w nim od szczytu masztów do linii wodnej.

Powinienem powiedzieć, dla czego jadę na wracającym do Anglii Charlestonie.

Pomiędzy południową Karoliną a Brytanią nie ma bezpośredniej komunikacji. Ażeby dostać się do której linii transatlantyckiej trzeba było dojechać na północ do New-Yorku lub na południe do Nowego Orleanu.

Pomiędzy New-Yorkiem a starym lądem funkcjonuje kilka linii francuskich i hamburskich, z łatwością więc *Scotia*, *Pereire* lub *Holsatia* przeniosłyby mnie do Europy. Pomiędzy Nowym Orleanem i Europą także przebiegają statki *National*, *Steam Navigation Co.* W Charlestonie jednak chodząc po wybrzeżu, zobaczyłem Chancellora, który podobał mi się bardzo, zresztą nie wiem, jakiś instynkt nakłonił mnie do zajęcia miejsca na pokładzie tego okrętu, na bardzo przystępnych warunkach.

Podróż morską na okrętach przy pomyślnym wietrze jest prawie tak szybką jak i na statku parowym, pod wszelkimi zaś innymi względami, przedstawia więcej dogodności. Przy początku jesieni pod tą szerokością pogoda zwykle sprzyja. Zdecydowałem się więc na Chancellora. Czy dobrze czy źle zrobiłem? Czy pożałuję kiedyś mego postanowienia? Przyszłość to pokaże.

Notatki będę prowadził dzień po dzień, w chwili więc kiedy to piszę, wiem tyle co i ty mój czytelniku, jeżeli tylko mój dziennik znajdzie kiedy czytelnika.

## II.

28 *Września*. Kapitan Chancellora nazywa się Jan Silas Huntly, Szkot z Dundée, lat pięćdziesiąt, opinię ma wybornego żeglarza. Średniego wzrostu z wąskimi ramionami, małą i z przyzwyczajenia zawsze na lewo przechyloną głową.

Chociaż nie mam pretensji być dobrym fizyognomistą, łatwo mi jednak odgadnąć charakter kapitana po kilku godzinnej znajomości.

Nie przeczę więc, że Silas Huntly jest najlepszym marynarzem, może znać wybornie swoją sztukę, ale bardzo wątpię, żeby miał być człowiekiem z charakterem silnym, energią wyprobowaną w najcięższych okolicznościach życia.

W istocie ruchy kapitana Huntly są ciężkie, i ciało jego wygląda jak gdyby znużone.

Zaniedbanie przebija się w jego niepewnym spojrzeniu, w rozbujanych rękach i niedbałym kołysaniu się z jednej nogi na drugą. To nie jest i nie może być nie tylko człowiek energiczny ale nawet uparty, zresztą ma jakiś niesłychanie dziwny wyraz twarzy, którego dotąd nie umiem sobie wytłumaczyć, będę jednak zwracać nań całą uwagę, na jaką zasługuje dowódca okrętu, ten który nazywa się naszym panem, drugim po Bogu.

Jeżeli się jednak nie mylę, to pomiędzy panem Bogiem a Huntlym, jest

jeszcze na pokładzie człowiek, stworzony do odegrania ważnej roli w razie jakiego wypadku. Jest to porucznik okrętowy, którego dotąd nie wystudkowałem dostatecznie, później go dopiero opiszę.

Załogę Chancellora składają: Kapitan Huntly, porucznik Robert Kurtis, drugi porucznik Walter, bossmen i czternastu majtków Anglików lub Szkotów, razem ośmnastu marynarzy, co wystarcza najzupełniej do kierowania statkiem o 900 beczkach. Zdaje się, że ci ludzie muszą znać się dobrze na rzeczy, przynajmniej tak sędzę ze zręcznych manewrów jakie robili pod komendą Kurtisa przy wyjściu z Charlestonu.

Oprócz powyższych, służba okrętowa posiada jeszcze gospodarza Hobbarta i kucharza murzyna Jynxtropa.

Passażerów jest wraz ze mną ośmiu. Dotąd nie znam nikogo, monotonia jednak życia okrętowego, codzienne drobne wypadki, bezustanne stykanie się ludzi zacieśnionych w tak małej przestrzeni i potrzeba wrodzona zamiany myśli, a wreszcie ciekawość do której tak jesteśmy skłonni, nie zanedbuje nas zetknąć i zbliżyć. Hałas przy odjeździe, zajmowanie kajut i niezbędne urządzenie się ażeby wygodnie spędzić dwadzieścia dni podróży, oddalały nas dotąd od siebie.

Od wczoraj żaden z pasażerów nie przybył do stołu wspólnego, może być, że który z nich cierpi morską chorobę. Podobno znajdują się na pokładzie i dwie kobiety, pomieszczono je w tylnych kajutach, których okna są wycięte w tablicy okrętu.

W księdze okrętowej znalazłem listę pasażerów którą tutaj przepisuję:

Państwo Kear, Amerykanie z Buffalo, osób dwie.

Panna Herbey Angielka, dama do towarzystwa.

Pan Latourneur Francuz z Hawru wraz z synem.

Wilhelm Falsten inżynier, Anglik z Manchester.

John Ruby kupiec z Cardauff Anglik.

J. R. Kazallon z Londynu piszący ten dziennik.

### III.

29 września. *Konnosament* kapitana Huntly, to jest akt spisujący ładunek towarów na Chancellorze i warunki przewozu, brzmi jak następuje.

Bronsfeld et Comp., dom komisowy. Charleston.

*„Ja Jan Silas Huntly z Dundee w Szkocji, dowodzący statkiem Chancellor, objętości 900 beczek, obecnie znajdujący się w Charleston, a przy pierwszej chwili pomyślnej, mający się pod opieką Bożą udać do Liverpool, gdzie wyładuje swoje towary, zaświadczam niniejszym, że od pp. Bronsfeld et comp., komissantów handlowych w Charleston przyjąłem na rzeczony okręt i umieściłem pod pomostem 1,600 pak bawełny wartości 26,000 funtów ster., wszystko w całości i dobrym stanie, oznaczone i numerowane jak na marginesach; którą to bawełnę o ile stan morza i niebezpieczeństwa mogące mnie spotkać dozwolą, podejmuję się w dobrym stanie dowieść do Liverpool i oddać pp. Leard albo przekaz mającemu, po wypłaceniu za przeprawę 2,000 funtów sterlingów, z potrąceniem szkód według zwyczajów morskich. Poręczam niniejszy układ osobą, majątkiem i okrętem moim. Na dowód czego podpisałem trzy jednobrzmiące knosamenty, po spełnieniu których, moc tychże upada.”*

Charleston 13 września 1870 r.

J. S. Huntly.

Tak więc Chancellor wiezie do Liverpool 1,700 pak bawełny. Ładunku tego z największym dopełniono staraniem, Chancellor zaś specjalnie jest zbudowany do przewozu bawełny. Paki zajmują cały spód okrętu formując zbitą masę, mały tylko kawałek miejsca pozostawiono na bagaże passażerów, nie tracąc daremnie przestrzeni, ażeby tym sposobem statek mógł zabrać pełny ładunek.

#### IV.

Od 30 września do 6 października. Chancellor wybornie płynie, pozostawiając za sobą wstęgę piany rozrzuconej na powierzchni morza, jak biała koronka na niebieskiej materji. Niewiele statków mogłoby się z nim wyścigać. Atlantyk jest prawie zupełnie spokojny. O ile wiem, kołysanie okrętu nikomu z podróżnych nie sprawia już przykrości. Zresztą, każdy z nas odbywał drogę morską i więcej lub mniej zna się z morzem, to też jak tylko dzwon da znak posiłku, wszystkie miejsca przy stole zawsze są zajęte. Stosunki pomiędzy passażerami zaczynają się ożywiać i życie na pokładzie przestało być monotonne. Pan Latourneur Francuz, najczęściej rozmawia ze mną. Jest to człowiek mający lat około 50, wysoki z białymi włosami i siwiejącą brodą. Zdaje się starszym nad swój wiek z powodu cierpień jakie przeżył w życiu. Człowiek ten wiele przeboleł i w duszy swojej nosi źródło nieustającego smutku. Nigdy się nie śmieje, zaledwie uśmiecha niekiedy i to tylko do syna. Oczy jego przez łzy patrzą na świat. Cała twarz nosi wyraz goryczy i miłości, pociągając urokiem niewysłowionej dobroci. Pan Letourneur

wyrzuca sobie mimowolne nieszczęście, jakiego ojciec względem dziecka może być sprawcą. Na okręcie jest syn jego Andrzej, 20-letni młodzieniec z twarzą słodką i interesującą. Młody ten człowiek jest żyjącym portretem swojego ojca. Nieszczęściem jednak, jest kaleką od urodzenia i to właśnie jest powodem ciężkiego smutku rodzica. Kuleje biedak na skrzywionej lewej nodze, nie mogąc się ruszyć bez laski. Ojciec uwielbia to jedyne dziecko widząc w nim świat cały swój. Kalectwo syna więcej jeszcze dokucza ojcu, który stara się też wynagrodzić nieszczęście biedaka, poświęcając się bez granic. Na chwilę nawet nie opuszcza syna, śledząc najmniejsze jego życzenia i podtrzymując bez ustanku. Pan Letourneur przywiązał się do mnie i rozmawiamy z nim o Andrzeju.

– W tej chwili rozstałem się z synem pańskim. Masz pan dobre dziecko panie Letourneur. Młodzieniec ten odznacza się intelligencją i wykształceniem.

– O tak, panie Kazallon odpowiedział Letourneur, jest to piękna dusza w słabem zamknięta ciele, dusza matki zgastej w chwilę po jego przyjsciu na świat.

– Ale i on pana kocha!

– Drogie dziecie! szepnął pan Letourneur spuszczaając głowę.

– Ah! panie czy jesteś w stanie pojąć wiele cierpi ojciec, patrząc na syna kalekę, kalekę od urodzenia!

Panie Latoueneur rzekłem, nie umiecie podzielić się nieszczęściem jakie was obydwu spotkało. Żałuję szczerze pana Andrzeja, ale czyż miłość jaką pan go otacza nie wynagradza go dostatecznie. Niemoc fizyczna jest niczem, w porównaniu z cierpieniem moralnym, które pan zabiera całe dla siebie. Uważnie obserwuję Andrzeja, mogę więc zaręczyć, że rozpacz pańska więcej go boli, niż własne kalectwo.

– Wszakże ja staram się ukrywać to przed nim! zawołał p. Latourneur. Jedyłą moją dążnością jest rozrywać go ciągle. Poznałem że bardzo lubi podróże, od wielu lat więc, podróżujemy razem. Zwiedziliśmy całą Europę, obecnie powracamy ze Stanów Zjednoczonych. Nie chciałem posyłać Andrzeja do szkół początkowych, sam go uczyłem, resztę dopełniają podróże. Dusza jego pędzi jak na skrzydłach inteligencyi i wyobraźni pałającej. Jest wrażliwy, raduję się myśląc, że czasami na widok cudownej natury zapomina o swoim kalectwie, ale jeżeli on zapomina, ja o tem pamiętam i wiecznie pamiętać będę! Czy sądzisz pan, że dziecko może kiedy przebaczyć ojcu i matce kalectwo z jakim na świat go wydali?..

Rozrzewnia mię boleść tego ojca, oskarżającego się o nieszczęście, które stało się mimo jego woli. Chciałem go pocieszać, ale właśnie syn ukazał się i p. Latourneur pobiegł, ażeby mu dopomódz do wejścia na zbyt strome schodki, prowadzące na wystawkę.

Tam usiedliśmy we trzech na ławce blisko kurników, rozmawiając o obecnej podróży. P. Latourneur zarówno ze mną ma bardzo słabe

wyobrażenie o zdolnościach kapitana, którego brak stanowczości i ospała powierzchowność, przykre robi wrażenie na wszystkich. Przeciwnie p. Latourneur podobał się porucznik p. Kurtis, silnie zbudowany mężczyzna, obdarzony znakomitą siłą fizyczną, zawsze w ruchu i którego silna wola bije z każdego poruszenia!

Robert Kurtis właśnie wszedł na pomost. Po bliższym rozpatrzeniu się zostałem uderzony wyrazem siły i energii tego człowieka. Chodzi prosto z lekko zmarszczonym czołem, dumnie spoglądając na około. Oprócz energii zdaje się posiadać wiele zimnej odwagi niezbędnej marynarzowi. Ma także dobre serce i usługuje czem może młodemu Latoornerowi. Rozpatrzywszy stan nieba i żaglowanie okrętu, Kurtis zbliżył się ku nam i rozpoczął rozmowę, z czego jak uważałem młody Latourneur szczerze się uradował. Porucznik opowiedział nam niektóre szczegóły o passażerach z którymi dotąd nie zawiązaliśmy stosunków. Państwo Kear pochodzą z północnej Ameryki. Zrobili ogromny majątek na handlu naftą. Pan Kear raczej zbogacony niż bogaty, myśli wyłącznie o swoich wygodach. Kieszenie jego w których bezustanku nosi ręce, pobrzękują dźwiękiem złota. Dumny, zarozumiały z pogardą patrzy na wszystko co go otacza, jak paw zakochany w sobie. Byłoby trudnym do rozwiązania zadaniem, odgadnąć co w nim przeważa – głupota czy egoizm. Nie mogę sobie wytłómaczyć, co mogło skłonić pana Kear do odpłynięcia na pokładzie Chancellora, zwyczajnego okrętu handlowego, bez wygód zapewnionych na parowcach transatlantyckich. Pani Kear jest kobietą pospolitą, bez pretensyi, obojętną, której czterdziestka już minęła, bez wykształcenia i wciąż milcząca. Patrzy ale nie widzi; słucha ale nie słyszy. Czy myśli?... Nie ręczyłbym za to.

Jedynym zajęciem tej pani, jest posługiwanie się co chwila swoją panną do towarzystwa, miss Herbey, łagodną i spokojną Angielką, nie bez upokorzeń zarabiającą te kilka funtów, które jej daje handlarz nafty. Ta młoda osoba jest bardzo ładną blondynką z ciemno-szafirowymi oczami. Wyraz jej twarzy nie jest bezmyślnym, jaki częstokroć spotkać można u Angielek. Usta jej byłyby prześliczne gdyby miała czas lub okazję uśmiechnąć się. Ale do kogo i czego miała by się uśmiechnąć biedna dziewczyna, będąca celem nieustannego dokuczania i dziwacznych kaprysów? Pomimo to, miss Herbey choć cierpi, z rezygnacją poddaje się swojemu losowi.

Wiliam Falsten, inżynier z Manchestru z arcy angielską fizioognomią. Jako dyrektor hydraulicznych zakładów w południowej Karolinie, jedzie do Europy ażeby kupić nowo wynalezione maszyny, mianowicie odśrodkowy młyn Caila. Lat może mieć około 43 i należy do tego gatunku uczonych, którzy nic nie znają oprócz rachunku i mechaniki. W rozmowie jeżeli go zaczeplisz, chwytą jak koło zębate, bez nadziei ratunku.

Pan Rubry jest to kupiec zwyczajny, niczem się nie wyróżniający. Od dwudziestu lat bezustanku sprzedaje i kupuje, a ponieważ ma zwyczaj tanio kupować a drogo sprzedawać, zrobił więc majątek, z którym sam nie wie co ma robić. Pan Ruby tak dalece zatopił się w handlu detalicznym, że zupełnie stracił władzę myślenia, zadając kłamstwo zdaniu Pascala: Człowiek jest stworzony na to ażeby myślał, jest to jego godnością i zasługą.

## V.

7 Października. Dziesięć dni temu wyjechałem z Charleston; droga odbywa się szczęśliwie i szybko. Zaznajomiłem się z porucznikiem i często z nim rozmawiam.

Dziś rano Robert Kurtis powiedział mi, że zbliżamy się do gromady wysp Bermudzkich na wysokości przylądka Hatterasa. Obserwacje wskazały 32°, 20' szerokości północnej a 64°, 50' długości zachodniej według południka Greenwich. Przed wieczorem zobaczymy Bermudy, mianowicie zaś na wyspę Ś-go Grzegorza.

– Jak to, zawołałem, dopływamy do Bermudów? Sądziłem, że statek wyjeżdżający z Charleston, posuwa się w kierunku więcej północnym trzymając się prądu Gulf-stream.

– Rzeczywiście panie Kazallon, jest to najzwyczajniejszy kierunek, który tym razem jednak kapitan uważał za stosowne zmienić.

– Dla czego?

– Nie wiem, z samego początku ruszyliśmy drogą wschodnią jesteśmy więc na wschodzie.

– Czyś pan mu robił jakie względem tego uwagi?

Owszem wspomniałem mu kilkakrotnie, że nie jedziemy zwyczajną drogą, na co mi odpowiedział, że sam najlepiej wie co robi.

Mówiąc to Robert Kurtis zmarszczył brwi i potarł ręką po czole, sądząc nie chce wszystkiego powiedzieć co myśli.

– Jednakże panie Kurtis dziś jest siódmego października, zbyt więc już późno na to, ażeby w tym roku szukać nowych dróg. Nie mamy ani dnia do stracenia jeżeli chcemy dojechać do Europy zanim się zerwą nawałnice.

– Tak panie Kazallon ani jednego dnia.

– Racz mi wybaczyć panie Kurtis niedyskretne pytanie, chciałbym jednak wiedzieć zdanie pańskie o kapitanie Huntly.

– Ja myślę, odrzekł porucznik, ja myślę, że to jest... mój kapitan!

Zaniepokoiła mię ta odpowiedź ostrożna. Robert Kurtis nie mylił się wcale. Około trzeciej majtek czuwający na bocianem gnieździe zawołał.

„Ziemia pod wiatrem, na północo-zachód,” dotąd jednak zaledwie jak mgłę rozróżnić ją można.

Około szóstej wyszedłem na pokład z Letounerami, ażeby przypatrzeć się Bermudom.

Otoczone łańcuchem skał, wznoszą się one bardzo mało nad poziom morza.

– I to jest ten zaczarowany archipelag, ta gruppa malownicza, którą wazł poeta panie Kazallon, Tomasz Moore wychwalał w swoich odach. Już w 1643, wygnaniec Walter z zapałem opisał te wyspy, a później jeżeli się nie mylę, damy angielskie nie chciały nosić kapeluszy, jeżeli te nie były zrobione z liści bermudzkiej palmy.

– Masz racją mój Andrzeju, Archipelag bermudzki był bardzo w modzie około 17-go wieku, dziś jednak uległ zupełnemu zapomnieniu.

– Oprócz tego panie Andrzeju, dodał Robert Kurtis, poeci unosząc się nad tym Archipelagiem, wcale nie zgadzają się z żeglarzami, bo do lądu tych rajów, których widok tak zachwycał pieśniarzy, bardzo trudno dostać się marynarzowi, z powodu skał formujących na około wieniec ukryty pod wodą i bardzo dla okrętów niebezpieczny. Co zaś do jasnego nieba, o tem także wiele możnaby powiedzieć. Sam ogon uraganów, które niszczą Antyle uderza w Bermudy, burza zaś, to jak wieloryb, ogonem najsilniej bije. Radzę więc nie dawać zbytnej wiary opisom Thomasza Moore i Waltera.

– P. Kurtis, dodał uśmiechając się Andrzeju, poeci jak przysłowia, jedno drugiemu zawsze przeczy. Jeżeli Tomasz Moore i Walter unoszą się nad rozkoszą pobytu na tych wyspach, za to Schakespeare, który zapewne musiał je znać lepiej niż tamci obydwaj, na nich umieścił najstraszliwsze sceny swojego dramatu „Burza!”

Anglicy odwieczni posiadacze Archipelagu trzymają na nim stacją wojskową, która pośredniczy między Antyllami i Nową Szkocją. Madrepory, których tu niezmierne łany, pracują nad powiększeniem tego Archipelagu, tworząc coraz nowe wyspy i z czasem łącząc je z sobą.

Oprócz nas, nikt z podróżnych nie wyszedł na pokład, ażeby zobaczyć ten ciekawy Archipelag.

Panna Herbey zaledwie się ukazała na wystawce musiała cofnąć się odwołana do kajuty lamentującym głosem pani Kear.

## VI.



*Od 8 do 10 października. Wiatr północno-zachodni dmie silnie.*

Morze rozkołysało się i żegluga męczy coraz gorzej. Deski w podłodze trzeszczą i to mnie nudzi potężnie. Podróżni prawie cały czas siedzą pod wystawką, ja zaś wolę zostać na pokładzie pomimo ciągłego deszczu co przenika aż do kości.

Od dwóch dni daleko prędzej płyniemy, pomimo zniżenia masztów; wiatr przelatuje od 50 do 60 mil na godzinę.

Chancellor jest ciągle w najlepszym stanie, zboczenie jednak silne ciągle pcha nas na południe.

Zachmurzone niebo nie pozwala zrobić obserwacji astronomicznych, nie wiemy zatem na pewno gdzie jesteśmy.

Towarzysze podróży nic nie wiedzą o dziwnym i niewytłómaczonym kierunku jaki kapitan dał statkowi.

Anglja jest na północno-wschodzie, a my ciągle płyniemy na południow-schód! Robert Kurtis nie rozumie uporu kapitana, który zamiast puszczać ciągle żagle za wiatrem, powinien je zmienić i na północno-zachodzie szukać przyjaznych prądów.

Dziś rano na wystawce spytałem Roberta Kurtis czy kapitan czasem nie zwarjował?

– Pan uważasz go ciągle, panie Kazallon, powinienes więc lepiej wiedzieć odemnie.

– Nie wiem co myśleć o nim, ale rzeczywiście ma szczególny wyraz twarzy, i oczy z dziwnym obłędem patrzą jak u obłąkanego! Czy jeździłeś pan z nim kiedy?

– Nie panie Kazallon, po raz pierwszy teraz płynę.

– I zwracałeś pan powtórnie uwagę kapitana na zły kierunek żeglugi.

– Zwracałem; ale on znów mi odpowiedział, że wie co robi.

– Powiedz mi panie Kurtis co myślą o tem bossman i porucznik Walter?

– Myślą toż samo co pan i ja.

– No, ale gdyby kapitanowi Huntly przyszła fantazyja zawieść nas do Chin.

– To pojedziemy do Chin.

– Tak, ale subordynacya ma pewne granice.

– Nie, dopóki postępowanie kapitana nie grozi niebezpieczeństwem

okrętowi.

– A jeżeli naprawdę dostał pomieszania zmysłów.

– W takim razie, panie Kazallon, wiemco mi do działania pozostaje.

Przyznam się, że było to dla mnie niespodzianką, nie wchodzącą wcale w program podróży na Chancellorze.

Pogoda coraz gorsza, w tej stronie Atlantyku silne wiatry ciągle panują w jesieni.

W nocy z dnia 11 na 12, Chancellor wypłynął na morze sargaskie; tak nazywają przestrzeń wody otoczoną ciepłym prądem Gulfstreamu i pokrytą wodorostami, które Hiszpanie nazywają „Sargasso.”

Okręty Kolumba z trudnością zaledwie przebyły te ruchomą masę.

W dzień Antlantyk jak ogród, wygląda panowie Letourneur wyszli także na pokład, pomimo silnej nawałnicy, która dmąc na metalowe liny wydobywa z nich dźwięki jak z strón harfy.

Ubranie każdy zapiął jak najmocniej, chcąc je uchronić od potargania przez wiatr.

Okręt na tej łące morskiej przecina kolej szeroką, niekiedy wiatr zarzuca długie jak dzikie wino gałazki aż na liny masztowe, formując pomiędzy niemi festony zieleni.

Algi, te wstążki bez końca 300 do 400 stóp długie, obejmują maszty do samego szczytu jak płomyki czerwone.

Przez kilka godzin musieliśmy odpierać ten napad wodorostów, chwilami zaś Chancellor, cały okryty lianami, wyglądał jak krzak pływający po niezmiernej łące.

## VII.

*14 Października.* Chancellor wypłynął nareszcie z tego roślinnego oceanu, a gwałtowność wiatru znacznie się zmniejszyła, płyniemy jednak szybko ze ściągniętymi żaglami.

Słońce dziś pięknie świeci, ale jest bardzo gorąco. Obserwacje wskazują 21<sup>o</sup>, 33' szerokości północnej i 50<sup>o</sup> 117, długości zachodniej.

O dziesięć stopni więc spuściliśmy się na południe. Pomimo to kierunek

pozostaje ciągle ten sam.

Ażeby zdać sobie sprawę z tego niepojętego uporu, kilkakrotnie rozmawiałem z kapitanem Huntly, i nie wiem co sądzić, czy ma zdrowe zmysły, czy zwaryował. W ogólności mówi zupełnie rozsądnie. Może więc jest to rodzaj maniactwa odnoszącego się tylko do rzeczy tyczących jego zawodu.

Takie zboczenia psychologicznie niejednokrotnie już widziano i mówiłem o tym Robertowi Kurtis.

Porucznik wysłuchał mnie z zimną krwią i powtórnie oświadczył, że dopóki kapitan nie naraża statku na zgubę wyraźnym szaleństwem, nie można mu odbierać władzy bez narażenia się na surową odpowiedzialność.

Wróciłem do kajuty około ósmej, następnie czytałem i myślałem z godzinę, wreszcie położyłem się spać.

W kilka godzin potem obudził mnie jakiś niezwykle hałas. Na pokładzie słychać było szybkie kroki i żywą komendę. Zdaje się, że załoga miała jakąś pilną robotę. Co to jednak może znaczyć: sondować nie potrzeba, żagle ciągle pod wiatrem, nie rozumiem tego wcale.

Przez chwilę chciałem wyjść na pokład, ale hałas uspokoił się wkrótce. Kapitan Huntly także powrócił do kajuty umieszczonej na przodzie werendy, położyłem się więc i ja napowrót do łóżka.

Zapewne jakieś manewry spowodowały tę bieganinę. A jednak statek ciągle się równo kołysze, burza więc nie grozi.

Nazajutrz o 6-ej rano wyszedłem na wystawkę i obejrzałem statek. Na pozór nic się na pokładzie nie zmieniło. Chancellor pędzi z szybkością 11 mil na godzinę i wybornie się trzyma na powierzchni lekko kołyszącego się morza.

Wkrótce potem pan Letourneur wyszedł z synem na pokład. Pomogłem Andrzejowi wejść na werendę i oddychamy świeżym powietrzem silnie napojonem wonią morza.

Pytałem tych panów czy nie obudził ich w nocy hałas na pokładzie.

– Mnie, wcale nie, jednym tchem przespałem całą noc, odpowiedział Andrzej.

– W takim razie można ci powinszować twardego snu, rzekł p. Letourneur, bo ja także zbudziłem się w skutek hałasu o którym pan Kazallon mówi. Zdaje się nawet, że wołano: Żywo! żywo! do kłap, do kłap!

– Która mniej więcej mogła być godzina?

– Około trzeciej zapewne.

– I nie wiesz pan dla czego tak krzyczeli.

– Nie wiem panie Kazallon, ale nic ważnego nie musiało być, jeżeli nas nie wołano na pokład.

Poszedłem obejrzeć klapy znajdujące się przed i po za wielkim masztem, przez które wchodzi się na spód okrętu.

Jak zwykle są zamknięte, zauważyłem jednak, że przykryto je płótnem żaglowym, zatykając hermetycznie i ile można było.

Dla czego tak zapieczętowano te otwory nie wiem, zapewne jest jakiś powód, którego nie mogę zgadnąć.

Robert Kurtis mi wytłómaczy całą rzecz, poczekajmy więc aż przyjdzie kolej służby na niego, to zaś co zauważyłem lepiej zatrzymać przy sobie i nic nie mówić panom Letourneur.

Dzień będziemy mieli bardzo ładny, słońce wspaniale weszło, powietrze zupełnie suche.

Z przeciwnej strony nieba widać sierp księżyca mającego dziś zajść dopiero o 10-ej rano. Za trzy dni będzie ostatnia kwadra a 24 nów.

W roczniku moim zapowiadają na ten dzień wielki przepływ. Na pełnym morzu widzieć tego nie będziemy, ale na brzegach będzie to ciekawy do badania fenomen, bo nów uniesie masę wody do znacznej wysokości.

Panowie Letourneur zeszli do kajuty, ja zaś zostałem sam na wystawce czekając na porucznika.

O ósmej Kurtis zmienił Waltera.

Przed przywitaniem się ze mną, Robert rzucił okiem na pokład i czoło jego zmarszczyło się.

Potem obejrzał żaglowanie okrętu i stan nieba. Wreszcie zbliżając się do Waltera zapytał:

– Kapitan Huntly?

– Nie widziałem go dotąd.

– Co nowego?

– Nic.

Potem rozmawiali jakiś czas po cichu.

Na jedno z pytań Walter odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

– Przyślij mi bossmana, mój Walterze, rzekł Kurtis do odchodzącego porucznika.

Bossman wkrótce się zjawił, a Robert Kurtis, zadał mu kilka pytań, na

które tenże odpowiedział po cichu, kiwając przytem głową. Następnie na rozkaz porucznika warta oblała wodą płótno pokrywające klapy.

Zbliżyłem się nareszcie i witając Roberta zacząłem rozmowę o rzeczach zupełnie obojętnych. Widząc jednak, że Robert nie wspomina nic o tem co się stało, zapytałem:

– Ale! ale! Cóż to wyrabialiście dziś po nocy na pokładzie.

Robert Kurtis uważnie popatrzył na mnie.

– No tak, dzisiejszej nocy obudził mnie i pana Letourneur hałas jakiś. Co się stało?

– Nic, panie Kazallon, fałszywy ruch sternika skrzywił nagle okręt, trzeba więc było zwrócić na dawną drogę i stąd pewien ruch na pokładzie. Złe jednak naprawiono zaraz i Chancellor płynie dalej w tym samym kierunku.

Zdaje mi się że Robert Kurtis, tak zawsze prawdomówny, teraz skłamał przedemną.

## VIII.

*Od 15 do 18 października.* Żegluga trwa ciągle w dawnych warunkach, wiatr dmie północno-wschodni, na okręcie nic nie zmieniło się, jak gdyby nic się nie stało.

A jednak „coś jest!” Majtkowie zbierają się po kilku szeptając, za naszym zbliżeniem rozmowa ustaje. Kilka razy pochwyciłem wyraz „klapy,” który uderzył także i pana Letourneur. Dla czego klapy są ciągle hermetycznie zamknięte, czy na spodzie okrętu co zmusza do takiej ostrożności?

Gdybyśmy mieli pod pokładem całą załogę nieprzyjacielską w niewoli, nie pilnowanoby jej z większą surowością.

15-go przechodząc na przodzie okrętu, usłyszałem jak majtek Owen, mówił do kolegów:

– Czy wiecie moi kochani, że ja nie myślę czekać do ostatka, każdy dla siebie.

– Tak, ale co zrobisz mój Owenie, zapytał kucharz Jynxtrop.

– Już ja wiem! odpowiedział marynarz. Czy to szalupy dla morsów wynaleziono?

Nic nie zrozumiałem z całej tej rozmowy, którą i tak natychmiast przerwali, widząc że się zbliżam.

Jakiś widać spisek ułożono przeciwko oficerom okrętu. Czy Robert Kurtis przewiduje jakie zaburzenia?

Majtków często należy się lękać i trzymać w korbach nieugiętej surowości.

Przez trzy dni nie zauważyłem nic nowego. Wczoraj i dziś kilka razy widziałem, że Kurtis prowadził bardzo ożywioną rozprawę z kapitanem, nie ukrywając wcale oznak niecierpliwości. Dziwi mnie takie nieumiarkowanie w człowieku umiejącym panować nad sobą.

Jak sądzę w skutek tych sprzeczek, Huntly opiera się coraz więcej przy myśli co mu zabiła ćwieka w głowę.

Oprócz tego widoczny na nim wpływ nerwowego podrażnienia, którego powodu nie znam wcale.

Panowie Letourneur wraz ze mną zauważyli podczas obiadu milczenie kapitana i niecierpliwość Kurtisa. Porucznik stara się ożywić rozmowę ciągle urywającą się. Falsten zaś i Kear, a tem bardziej Ruby wcale w niej udziału nie biorą.

Oprócz tego passażerowie zaczynają skarżyć się i nie bez racji, na tak długą podróż.

Kear, któremu zdaje się, że żywioty powinny przed nim chylić czoła, robi odpowiedzialnym kapitana Huntly za to opóźnienie i coraz więcej go z góry traktuje.

17-go stosownie do rozkazów porucznika cały dzień oblewano pokład wodą.

Zwykle dopełniano tego rankiem, ale widać podwyższenie temperatury w skutek posunięcia się na południe, wymaga częstszego oblewania statku wodą.

Płótno którym zakryto klapy utrzymują w ciągłej wilgoci, do czego pomagają pompy znajdujące się na okręcie.

Najzbytkowniejsze goeletty jacht-klubu nie są w takiej elegancji i czystości utrzymywane jak Chancellor.

Załoga powinna skarżyć się na trudy pompowania, ale nie skarży się.

W nocy z 23 na 24, upał w kajucie był nie do wytrzymania, tak, że pomimo silnych bałwanów otworzyłem okienko kajuty.

Zwrotniki dają się nam uczuć!

Z brzaskiem jutrzeńki wyszedłem na pokład.

Dziwnym fenomenem wydać się może różnica temperatur wewnątrz statku i na wierzchu, tam upał nie do zniesienia, tutaj zupełny chłód, prawie zimno, słońce nie weszło jeszcze, pod wystawką zaś znów gorąco.

Majtkowie myją jak zwykle pokład, studnie wyrzucają masę wody, spływającej następnie na prawo i na lewo, stosownie do ruchów statku.

Marynarze z gołymi nogami biegają po wodzie bryzgając na wszystkie strony.

Nie wiem dla czego przyszła i mnie ochota zrobić jak oni, zrzuciłem więc obuwie i zacząłem podskakiwać w wodzie.

Ku wielkiemu zdziwieniu, pokład okrętu jest tak gorący, że nie mogłem powstrzymać się od wykrzyknienia.

Robert Kurtis usłyszał mnie, odwrócił i zbliżywszy się odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyłem mu zadać.

– No tak! rzekł, okręt się pali!

## IX.

Zrozumiałem teraz wszystko, narady majtków, ich niespokojność, słowa Owena, zlewanie pokładu na którym chcą utrzymać wilgoć, a nareszcie ten upał w kajutach, którego znieść już nie można.

Passażerowie nie mogą zrozumieć co znaczy ta nadzwyczajna temperatura.

Robert Kurtis zamilkł po udzieleniu mi tej ważnej wiadomości. Czekał zapewne pytań jakich z mojej strony. Muszę jednak przyznać się, że w pierwszej chwili całe ciało moje doznało drżenia ze strachu.

Najokropniejszym wypadkiem jaki w czasie żeglugi spotkać może, bez najmniejszej kwestyi jest pożar w okręcie i najodważniejszy człowiek musi zadrzeć usłyszawszy te okropne słowa „okręt się pali.”

Natychmiast jednak odzyskałem zimną krew, pytając Kurtisa od jak dawna pożar trwa?

– Od sześciu dni.

– Sześć dni, zwołałem, a więc to tej nocy...

– Tak jest, odpowiedział Robert Kurtis, kiedy taki niepokój panował w nocy na pokładzie Chancellora. Majtkowie będący na warcie spostrzegli lekki dym dobywający się przez otwory wielkiej klapy. Zawiadomiono natychmiast kapitana i mnie. Nie było najmniejszej wątpliwości. Bawełna na spodzie okrętu zapaliła się i nie było środka dostać się do samego ognia. Zrobiliśmy wszystko co można było w podobnym wypadku, to jest: zamknęliśmy klapy aby zatamować przyływ powietrza do wnętrza statku. Sądziłem, że tym sposobem zadusimy pożar w samym początku. Rzeczywiście w pierwszych dniach zdawało się, żeśmy go opanowali.

Od onegdaj jednak zauważono na nieszczęście, że ogień rozszerza się coraz więcej. Pod naszymi nogami coraz goręcej i gdyby nie ustawiczne polewanie nie można byłoby już chodzić po pokładzie. Wolę żeby pan wiedział o tem panie Kazallon i dla tego panu wszystko powiedział.

W milczeniu słuchałem tego co mi porucznik opowiadał. Myślą objąłem całą okropność naszego położenia w obec tego wzrastającego pożaru, na ugaszenie którego siły ludzkie nie wystarczały.

– Jakim sposobem ogień powstał?

– Zapewnie panie Kazallon skutkiem zagrzaną się bawełny.

– Czy to się często zdarza?

– Przeciwnie bardzo rzadko i to tylko w takim razie, jeżeli pakowano niezupełnie suchą bawełnę. Zagrzanie więc łatwo nastąpić może z powodu sprzyjających mu okoliczności t. j.: wilgoci na spodzie okrętu i braku wentylacji. Jestem najpewniejszy że taka nie inna jest przyczyna pożaru.

– Przyczyna nie ma najmniejszego znaczenia. Czy możemy co na to poradzić panie Kurtis?

– Nie p. Kazallon. Powtarzam panu że zrobiliśmy wszystko co należało. Chciałem przedziurawić okręt pod wodą ażeby zatopić pożar, następnie zaś wylać wodę pompami; po bliższem zaś zbadaniu okazało się, że pożar objął górne paki bawełny. Trzeba by więc zalać cały spód okrętu. Kazałem także przedziurawić pokład w kilku miejscach i w nocy wlewamy tamtędy wodę ale i to nie pomaga. Tak, jedyny sposób zamknąć wszystkie otwory a wtedy dla braku tlenu pożar musi zagasnąć.

– Czy ogień rozszerza się ciągle?

– Tak. Musi być jakaś dziura przepuszczająca powietrze, której pomimo najusilniejszych starań znaleźć nie można.

– Czy zdarzyło się kiedy panie Kurtis, ażeby okręt w podobnych warunkach ocalał.

– Bez wątpienia, p. Kazallon, nawet często się zdarza że okręta wiozące



bawełnę przyjeżdżają do Hawru lub Liverpool z ładunkiem w części spalonym. Widocznie pożar ugaszono lub powstrzymano w czasie żeglugi. Nie jeden kapitan wjeżdża do portu na pokładzie palącym mu stopy. Wyładowania dopełniają wtedy nadzwyczajnie szybko i ocalają okręt wraz z resztą ładunku. Co do nas to inna rzecz. Powietrze którydyś się dostaje i pożar z każdą chwilą wzrasta.

– Czy nie lepiej wrócić do najbliższego lądu?

– Naturalnie panie Kazallon. Dziś właśnie rozbieraliśmy to z Walterem i bosmanem w obecności kapitana. Nawet mówiąc między nami podjąłem się zmienić dotychczasowy kierunek okrętu, w tej chwili z wiatrem południowo-wschodnim płyniemy ku brzegom.

– Czy pasażerowie wiedzą o niebezpieczeństwie jakie im grozi?

– Ale gdzież tam panie Kazallon, nawet proszę pana zatrzymać przy sobie wszystko co panu mówiłem. Przestrach kobiet i tchórzów przyczyniają się tylko do powiększenia niepokoju.

Załoga dostała rozkaz bezwarunkowego milczenia.

## X.

*20-go i 21 października.* W takich to warunkach Chancellor płynie dalej z rozpuszczonemi wszystkimi żaglami. Maszty gną się niekiedy grożąc pęknięciem, ale Robert Kurtis czuwa nad wszystkim. Stojąc przy sterze ani na chwilę nie wypuszcza drąga z ręki, zręcznie wymijając fale pozwala im się unosić jeżeli to nie zagraża statkowi, i Chancellor nic nie traci ze swojej szybkości pod kierunkiem prowadzącej go ręki.

Wczoraj wszyscy pasażerowie wyszli na werendę. Zapewne zauważyli nadzwyczajny wzrost temperatury, nie wiedząc jednak o niczem są zupełnie spokojni. Nogi ich w dobrym obuwiu nie uczuły gorąca pokładu bezustannie wodą oblewanego. To działanie studni powinno byłoby zwrócić ich uwagę. Na szczęście jednak nie zajmują się tem wcale i w najzupełniejszym spokoju rozciągnięci w ławkach z przyjemnością lubują się kołysaniem okrętu. Jeden tylko pan Letourneur ze zdziwieniem spostrzegł że załoga utrzymuje statek w czystości o jakiej niesłyszano na okrętach handlowych. Zwrócił nawet na to moją uwagę co przyjąłem jak najobojętniej. A jednak ten Francuz to człowiek energiczny, mógłbym mu o wszystkim powiedzieć, ale obiecałem Robertowi że będę milczał i dotrzymam słowa. Kiedy pomyślę o następstwach katastrofy co chwila wybuchnąć mogącej, serce moje boleśnie się ściska. Jest nas 28 osób na pokładzie, 28 ofiar, dla których płomienie nie pozostawią nawet deski ratunku! Dzisiaj była narada pomiędzy kapitanem, pomocnikami i bosmanem,

narada od której zależy ocalenie Chancellora, pasażerów i załogi.

Robert Kurtis wtajemniczył mnie we wszystko co tam uradzono. Kapitan Huntly upadł zupełnie na duchu co zresztą było do przewidzenia. Stracił zimną krew i energię i zdaje dowództwo Robertowi Kurtis. Wzrost pożaru w głębi okrętu nie ulega żadnej wątpliwości, tak że w koszarach załogi, na przodzie okrętu będących, nie można już wytrzymać. Ogień którego nie można opanować, prędzej czy później wybuchnie gwałtownie. Jedyne więc ratunek – szukać ocalenia na najbliższym lądzie t. j.: w Małych Antyllach i można mieć nadzieję że przy sprzyjającym wietrze dobijemy na czas do brzegów. Po przyjęciu tego zdania – Robertowi Kurtis pozostało tylko nadal utrzymać drogę od dwudziestu czterech godzin obraną. Pasażerowie nie umiejąc oryentować się na Oceanie i nie ciekawi wskazówki busoli, naturalnie nie zauważyli żadnej zmiany, a Chancellor pełnemi żaglami płynie ku Antyllom od których jeszcze 600 mil go oddziela.

Na zapytanie pana Letourneur dla czego zmieniono kierunek okrętu, Robert Kurtis odpowiedział, że nie chcąc płynąć pod wiatr zwraca się ku zachodowi, ażeby korzystać z dogodniejszego prądu. Zmiana więc kierunku Chancellora, tę jedyną wywołała uwagę. Dzisiaj 21 października położenie w niczem się nie zmieniło. Pasażerowie sądzą że podróż odbywa się w porządku i wszystko na pokładzie idzie swoim trybem. Zresztą nie widać rozszerzenia się pożaru co jest dobrym znakiem. Klapy tak hermetycznie zamknięto że nie przepuszczają nawet najmniejszego dymu któryby zdradził pożar wewnątrz płonący. Może ogień skoncentruje się na spodzie, a może zgaśnie z braku powietrza i nie objąwszy całego ładunku. Tak się przynajmniej spodziewa Robert Kurtis który przez zbytek ostrożności kazał pozakrywać otwory pomp, których rury przechodzące aż do dna okrętu mogłyby przepuszczać odrobinę powietrza. Oby niebo przybyło na nasz ratunek, bo sami w niczem sobie pomódz nie możemy.

Dzień dzisiejszy przeszedł by beż żadnego wypadku, gdyby nie pochwycone kilka słów z rozmowy z której dowiedziałem się, że położenie nasze które uważałem jako bardzo ciężkie tylko w rzeczywistości jest straszne. Siedząc na werendzie usłyszałem po cichu rozmawiających inżyniera Falsten z kupcem Ruby. Sądzieli oni że nikt ich nie słyszy. Uwagę moją zwróciło parę wyrazistych gestów inżyniera, zdającego się robić żywe wymówki swojemu towarzyszowi. Mimowolnie zacząłem słuchać.

– Ależ to szaleństwo, powtarzał Falsten, jak można być do tego stopnia nieostrożnym.

– Ba! odpowiedział Ruby, nic się nie stanie.

– Ależ przeciwnie, stąd może wyniknąć największe nieszczęście.

– Niby to ja pierwszy raz tak wożę.

– Wszak dosyć jednego uderzenia ażeby spowodować wybuch.

– Pudełko jest doskonale zawinięte, panie Falsten i powtarzam panu, że nie ma się czego lękać.

- Dla czegoż nie było uprzedzić kapitana?
- Eh! dla tego, że nie byłby przyjął na okręt mojego pakunku.

Wiatr ucichł i nie słyszałem reszty rozmowy. Widocznie jednak inżynier nalegał, Ruby zaś ruszał tylko ramionami.

Po chwili znów doleciał do mnie urywek rozmowy.

– Tak, tak, wołał Falsten, trzeba dać znać kapitanowi, trzeba wrzucić to pudełko w morze, nie mam wcale ochoty być wysadzonym w powietrze!

– Być wysadzonym! Zerwałem się usłyszawszy to. Co znaczą te słowa inżyniera? o czym on mówi? Wszak on nie zna stanu Chancellora, nie wie o pożarze niszczącym ładunek! Ale jedno słowo, słowo przerażające: pikrat potassu kilkakrotnie powtórzony, nie pozwoliło mi wytrwać dłużej. W jednej chwili przyskoczyłem i porwawszy z całej siły Rubego za kołnierz krzyknąłem:

- Czy jest pikrat na okręcie?
- Tak, odrzekł Falsten, pudełko zawierające około trzydziestu funtów?
- Gdzie?
- Na spodzie z innymi towarami...

## XI.

*Dnia 21 października (dalszy ciąg).* Trudno wypowiedzieć co się ze mną zrobiło, kiedy usłyszałem odpowiedź Falstena. Zaręczam jednak, że nie był to strach tylko uczucie najzupełniejszego poddania. Wydało mi się, że okoliczność ta dopełnia odpowiednio sytuacji, sprowadzając szybsze rozwiązanie! Z najzimniejszą więc krwią poszedłem na przód statku, donieść o tem Kurtisowi.

Dowiedziawszy się, że pudło z 30-ma funtami pikratu, wystarczającego do wysadzenia góry w powietrze, znajduje się na okręcie wewnątrz spodu, w samym ognisku pożaru i że Chancellor może każdej chwili wybuchnąć, Robert Kurtis nie zmrużył nawet oczami, tylko źrenice mu się rozszerzyły i czoło sfałdowało.

- Dobrze i to, powiedział, nie ma co mówić. Gdzie Ruby.
- Na wystawce.

– Choć ze mną panie Kazallon.

Poszliśmy razem na wystawkę, gdzie inżynier i kupiec jeszcze siedzieli.

Robert Kurtis przystąpił do Rubego pytając:

– Więc pan to rzeczywiście zrobiłeś?

– A no tak, cóż wielkiego, odrzekł najspokojniej Ruby, sądząc się być winnym tylko defraudacyi.

Przez chwilę zdawało mi się, że Robert Kurtis zmiażdży tego nieszczęśliwego pasażera, nie mogącego ocenić okropnych skutków jakie pociągnąć za sobą może zwyczajna nieostrożność.

Porucznik powstrzymał się i założył w tył ręce, jakby broniąc się gwałtownej chęci porwania Rubego za gardło.

Następnie zimnym głosem zaczął wypytywać o szczegóły. Ruby potwierdza wszystko co mówiłem. Pomiędzy kuframi składającymi jego bagaże, znajduje się w pudełku około 30 funtów materii wybuchowej.

Pasażer ten działał w tej całej sprawie z wrodzonym rasie Anglosaksonów niedbalstwem i nierozwagą, pozwalającą wepchnąć pomiędzy ładunek okrętu pakę pikratu z taką spokojnością, z jaką Francuz położyłby zaledwie butelkę wina. Dla tego zaś nie oznaczył jakości przedmiotu, że kapitan z pewnością by na pokład go nie przyjął.

– Zresztą nie powieszcie mnie przecież za to, i jeżeli moje pudełko robi panom jaką subiekcyę, to wyrzucie je w morze! Moje bagaże są ubezpieczone!

Usłyszawszy taką odpowiedź nie mogłem powstrzymać gniewu, a ponieważ nie mam zimnej krwi Roberta Kurtis, rzuciłem się więc ku Rubemu zanim porucznik mógł mnie powstrzymać.

– Czy ty wiesz nędzniku, krzyknąłem, że okręt się pali. Cóż byłbym dał za to, ażeby cofnął te kilka słów, było jednak zapóźno.

Trudno opisać jaki one skutek wywarły na Rubego. Ciało sparaliżowane tetaniczną sztywnością, włosy najeżone, oko bez miary otwarte, oddech rżący jak u astmatyka, stracił mowę... Strach doszedł u niego do ostatnich krańców. Nagle zaczął ruszać ramionami i patrząc na pokład Chancellora, mogącego w każdej chwili wylecieć w powietrze, wyskakuje z wystawki, pada, podnosi się i biega po okręcie, machając rękami jak waryat.

Nagle odzyskał mowę i z ust jego wyrzywa się okropny krzyk:

– Okręt się pali! Okręt się pali!

Na ten krzyk cała załoga sądząc, że ogień wybuchnął na zewnątrz i że należy szukać ratunku w łodziach, zbiegła się na pokład.

Wszyscy pasażerowie także nadbiegli. Robert Kurtis, nadaremnie chce uspokoić obłąkanego Ruby.

Nieład dochodzi do najwyższego stopnia. Pani Kear upada bez zmysłów. Jej męża nic to nie obchodzi, odszedł pozostawiając żonę opiece panny Herbey.

Majtkowie już odwiązali sznury szalup, chcąc je spuścić na morze.

Jednocześnie powiedziałem panom Letourneur o pożarze na spodzie okrętu. Ojciec ujął syna w ramiona jak gdyby chcąc go chronić od klęski. Młodzieniec nie stracił zimnej krwi, uspokaja i przekonywa ojca, że niebezpieczeństwo nie jest jeszcze tak bliskie.

Jednocześnie Robert Kurtis przy pomocy porucznika zdołali zatrzymać załogę. Zapewnia ich, że pożar nie rozszerza się, że Ruby jest bez przytomności, że nie należy nigdy zbyt pośpiesznie działać, że w danej chwili on sam także porzuci okręt. Większa część majtków usłuchała głosu kochanego i szanowanego przez nich porucznika. Szalupy więc wróciły na swoje miejsce, czego kapitan Huntly nigdy nie zdołałby dokazać. Na szczęście Ruby nic nie mówił o pikracie zamkniętym pod pomostem. Gdyby załoga wiedziała, że okręt ich jest tylko wulkanem mogącym w każdej chwili pęknąć pod ich nogami, upadliby na duchu i uciekali bądź co bądź, bez możliwości zatrzymania. Kurtis, Falsten i ja wiemy w jaki okropny sposób skomplikował się pożar okrętu, nikt więcej o tem wiedzieć nie będzie.

Kiedy już przywrócono porządek, wróciliśmy z Kurtisem na wystawkę do Falstena. Inżynier siedział ciągle w tym samym miejscu rozwiązując w myśli jakąś mechaniczną zagadkę. Na usilne nasze prośby przyrzekł ani słowa nie mówić o nowem niebezpieczeństwie grożącym okrętowi. Robert Kurtis podjął się zawiadomić kapitana o całej okropności naszego położenia. Poprzednio jednak należy zabezpieczyć osobę Rubego, albowiem nieszczęśliwy dostał zupełnego obłąkania zmysłów i biega ciągle po pokładzie wołając: pali się! pali się!

Porucznik wydał majtkom rozkaz ujęcia pasażera, którego wreszcie związano i zakneblowano.

W końcu przeniesiono go do kajuty i zostawiono pod strażą.

Okropna tajemnica nie wymknęła się z ust jego!

## XII.

*Dnia 22 i 23 października.* Robert Kurtis zawiadomił o wszystkim

kapitana Huntly, jako swojego naczelnika, jeżeli nie *de facto* to chociaż *de jure*, nie miał więc prawa co bądź nastąpiło ukrywać przed nim.

Kapitan wysłuchawszy, nic nie powiedział, następnie potarł ręką czoło, jakby chcąc odegnać natrętną myśl, i wrócił do kajuty, nie wydawszy żadnych rozkazów.

Robert Kurtis, Walter, Falsten i ja zeszliśmy się na naradę i doprawdy z podziwienia wyjść nie mogłem patrząc na zimną krew w takich okolicznościach.

Rozbieramy wszystkie szanse ocalenia, wreszcie Robert Kurtis tak skreśla położenie rzeczy:

– Pożaru wstrzymać nie można, na przodzie upał jest nie do zniesienia. Lada chwila więc natężenie ognia wzrośnie do tego stopnia, że płomienie wybuchną na zewnątrz.

Jeżeli przed tą katastrofą stan morza pozwoli, spuścimy łodzie i opuścimy okręt. W przeciwnym razie pozostaniemy do ostatka, broniąc się od ognia całymi siłami.

Być może łatwiej go będzie opanować jeżeli wydostanie się na wierzch. Wolę walczyć z widzialnym, aniżeli z ukrytym nieprzyjacielem!

– To jest właśnie moje zdanie, najspokojniej odzywa się inżynier.

– I moje także, dodałem. Ale panie Kurtis proszę nie zapominać o 30 funtach pikratu, grożących nam w każdej chwili wybuchem?

– Nie panie Kazallon, to jest rzecz uboczna, z którą nie ma co się rachować? Zresztą co tu na to poradzić. Czy można wejść w środek ognia i wynieść pudło? Nie! Pocóż więc łamać nad tem głowę! Zanim dokończę tego zdania pikrat może wybuchnąć? Nieprawdaż? Albo ogień dojdzie do pudła, albo nie dojdzie.

Okoliczność więc o której pan wspominasz, dla mnie żadnego nie posiada znaczenia. Jest to rzecz Pana Boga, ale nie moja, strzedz nas od tej ostatniej zagłady...

Robert Kurtis wyrzekł poważnie te słowa; my zaś skłoniliśmy głowy nic nie odpowiadając. Trzeba zapomnieć o tej drobnostce, bo stan morza nie pozwala myśleć o odpłynięciu.

– Wybuch nie jest konieczny, powiedziała by jaki formalista, jest tylko możliwy, dodał inżynier z najzimniejszą krwią w świecie.

– Bądź pan tak łaskaw panie Falsten odpowiedzieć nam na jedno pytanie. – Czy pikrat potasu może zapalić się i bez uderzenia?..

– Bez wątplenia, odrzekł inżynier. W zwyczajnych warunkach pikrat nie jest zapalniejszym od zwyczajnego prochu, ale właśnie tak samo zapalnym.

Ergo... Falsten rzekł „ergo” jak na katedrze przy wykładzie chemii.

Zeszliśmy na pokład. Wychodząc z pod wystawy Kurtis rzekł biorąc mnie za rękę i nie ukrywając wcale wzruszenia, z którym dotąd ukrywał się.

– Panie Kazallon, ten Chancellor, to wszystko co kocham na świecie, widzieć go tak rzuconym na pastwę ognia i nie móc nic zrobić dla uratowania go, to rozpacz bierze, nic! nic!

– Panie Kurtis to wzruszenie...

– Już przeszło! Pan tylko jeden wiesz ile cierpię, ale nie trzeba dać bóleści ani na chwilę się opanować.

– Czy położenie nasze jest tak dalece rozpaczliwe.

– Nasze położenie? Czyż pan go nie znasz panie Kazallon, jesteśmy przykuci do miny z zapalonym lontem! Idzie o to tylko czy lont ten jest dłuższy czy krótszy!

Powiedziawszy to odszedł odemnie.

W każdym razie załoga i pasażerowie nie wiedzą o pogorszeniu naszego losu.

Odtąd pożar przestał być tajemnicą, pan Kear zajął się zebraniem najdroższych swoich rzeczy, nie zajmując się wcale żoną.

Wydawszy rozkaz porucznikowi ażeby natychmiast kazał ugasić ogień i złożywszy nań całą odpowiedzialność za wszelkie złe następstwa, oddał się do kajuty na tyle okrętu, nie wychodząc więcej na pokład.

Pani Kear jęczy ciągle i doprawdy ta biedna kobieta, pomimo całej śmieszności wzbudza litość w patrzących.

Panna Herbey rozciągnęła nad nią najserdeczniejszą opiekę, postępując ciągle z największym poświęceniem.

Uwielbiam tę zacną dziewczynę, dla której obowiązek jest wszystkim.

Nazajutrz 23 października kapitan Huntly, wezwał Kurtisa do kajuty, gdzie odbyła się pomiędzy nimi taka rozmowa, która następnie Kurtis mi powtórzył.

– Panie Kurtis, zaczął kapitan, którego błędne oczy dostatecznie malowały chorobliwy stan umysłu, powiedz mi pan, czy ja jestem marynarzem?

– Tak panie.

– Więc wystaw pan sobie, że zupełnie zapomniałem swojego fachu... nie wiem co się zemną zrobiło, ale nic nie pamiętam, nic nie wiem... Czy od wyjazdu z Charleston dążemy ciągle ku północo-wschodowi?

– Nie kapitanie, stosownie do twojego rozkazu popłynęliśmy na południo-wschód.

– A jednak ładunek mamy odstawić do Liverpool.

– Naturalnie.

– Więc ten... panie Kurtis jak, się nazywa okręt.

– Chancellor.

– Prawda! Chancellor! gdzie się teraz znajduje.

– Na południe zwrotnika!

– W takim razie panie Kurtis, nie podejmuję się wcale doprowadzić go napowrót na północ. Nie... nie mogę... Mam zamiar wcale nie wychodzić z kajuty. Widok morza przykrość mi sprawia.

– Kapitanie, mam nadzieję, że starania...

– Tak, tak, zobaczymy. Tymczasem zaś chcę panu wydać rozkaz, ostatni jaki pan odbierzesz odemnie.

– Słucham pana kapitana.

– Od tej chwili, zrzekam się jakiegokolwiek znaczenia na pokładzie, pan obejmij dowództwo statku. Niezależnie odemnie okoliczności złamały mnie. Tracę głowę. Ach! panie Kurtis jak ja cierpię! dodał biedny Silas ściskając czoło obiema rękami.

Porucznik uważnie popatrzył na swojego dawnego komendanta i odpowiedział krótko:

– Dobrze kapitanie.

Wróciwszy na pokład, zawiadomił mnie co się stało.

– Tak, rzekłem, ten biedny człowiek ma silnie zaatakowany mózg, jeżeli nie jest waryatem zupełnym; lepiej więc, że złożył dobrowolnie dowództwo.

– W ciężkich warunkach obejmuję po nim komendę, ale cóż zrobić, trzeba spełnić obowiązki.

W chwilę potem, Kurtis polecił przechodzącemu majtkowi, ażeby zawołał bossemana, który też natychmiast się zjawił.

– Bossemanie, rzekł Robert, każ załodze, ażeby zebrała się u stóp wielkiego masztu.

W kilka chwil potem stało się zadość rozkazowi i ludzie szybko się zeszli.



Wtedy Robert Kurtis wszedłszy pomiędzy nich rzekł spokojnie:

– Chłopcy, z powodów mnie wiadomych, kapitan Huntly uznał za stosowne, zdać na mnie dowództwo okrętu. Od tej chwili, ja wydaję rozkazy na statku.

W ten sposób odbyła się zmiana, która pociągnie za sobą korzystne następstwa. Mamy na czele, człowieka energicznego i pewnego, który dla dobra ogółu nie cofnie się przed niczem. Panowie Letourneur i Falsten wraz z zemną złożyli powinszowania nowemu kapitanowi, do czego przyłączyli się także porucznik i bosseman.

Kierunek pozostawiono ten sam, i Robert Kurtis rozpuściwszy wszystkie żagle pędzi ku Antyllom szukając ocalenia w ucieczce.

### XIII.

*Od 24 do 29 października.* Przez następne pięć dni morze ciągle wzburzone. Chancellor silnie jest miotany, pomimo tego że pędzi z wiatrem i falą, zamiast walczyć przeciw nawałnicy. Ani chwili spokojnej nie mamy na tym płynącym zarzewiu. Otaczająca nas woda czaruje, pociąga i wabi ku sobie!

– Dla czego pan nie przedziurawisz okrętu, panie Kurtis? Czemu nie rzucisz prądu wody na spód? Jeżeli napełnimy okręt cóż będzie złego. Po ugaszeniu pożaru, pompy wyrzucą wodę!

– Panie Kazallon, mówiłem i powtarzam to panu, że jeżeli zrobimy najmniejszą nawet szparę, przez które powietrze mogłoby wcisnąć się, ogień rozszerzy się gwałtownie i w jednej chwili cały okręt płomienie ogarną aż do szczytu masztów. Jesteśmy skazani na bezczynność, a są wypadki, w których największym dowodem odwagi jest: nic nie robić. Tak! pozatykać hermetycznie wszelkie otwory, jest to jedyny sposób i jak na teraz jedyne zajęcie załogi.

Pomimo to ogień bezustannie się wzmaga, może nawet prędzej niżeli myślimy. Gorąco coraz większe zmusza pasażerów do ciągłego pozostawiania na pokładzie. Dwie tylko kajuty na tyle okrętu, z wielkimi oknami, są zamieszkalne.

Pan Kear zajął jedną, w drugiej zamknięto obłąkanego Ruby. Kilkakrotnie odwiedziłem biednego szaleńca; bezustannie leży związany, inaczej rozwaliby drzwi kajuty. Dziwna rzecz, w obłąkaniu pozostało mu uczucie ciągłego panicznego strachu, wydaje okropne okrzyki, jak gdyby pod wpływem objawów fizjologicznych cierpiał od oparzelizny. Bywam także u ex

kapitana, który zawsze zachowuje się najspokojniej i rozmawia z całą przytomnością, pomijając to co dotyczy jego zawodu; na tym punkcie władze jego umysłowe działać przestały. Ofiarowałem się na jego usługi, czego nie przyjął, i nie wychodzi wcale z kajuty. Dziś rano kwaterę załogi zalał dym ostry i duszący, który się wydostaje przez otwory przepierzenia. Widocznie ogień posuwa się w tę stronę, wyraźnie nawet słyhać jak gdyby głucho sapanie. Skąd ten ogień dostaje ożywczego powietrza? Gdzież jest ten otwór, którego odkryć nie możemy? A więc nie ma sposobu uniknięcia strasznej katastrofy! Za parę dni, za parę godzin, za parę minut pikrat wybuchnie, a na nieszczęście morze jest tak wezbrane, że ani myśleć o ucieczce na szalupie!

Na rozkaz kapitana Kurtis, przepierzenie okryto płótnem, które bezustannie polewają. Pomimo wszystkich możebnych starań, dym wydostający się ciągle, i gorąco wilgotne jakie panuje na przodzie okrętu, robi powietrze prawie niepodobnym do oddychania.

Na szczęście wielki przedni maszt jest z żelaza. Gdyby zapalone od spodu padły na okręt, zginęlibyśmy bez ratunku.

Robert Kurtis rozwinął wszystkie żagle, i przy sprzyjającym wietrze północno-wschodnim, Chancellor posuwa się z szybkością.

Czternaście dni minęło odkąd pożar jest jawnym, postępy jego są bezustanne, a zwalczyć je jest niepodobieństwem dla nas. Kierowanie statkiem staje się coraz trudniejsze. Na wystawce pokładu która nie jest w związku bezpośrednim z pomostem okrętu, można jeszcze utrzymać nogi, ale na pokładzie nie sposób chodzić nawet w bardzo grubym obuwiu. Woda nie wystarcza już na ochładzanie desek, które ogień od spodu dotyka, i które kołyszają się na sztabach.

Żywica występuje około sęków, spojenia paczą się, smoła rozpuszczona do ognia spływa na około w fantastycznych strumieniach, skręcając się w różne strony, stosownie do kołysania statku. Na domiar nieszczęścia wiatr raptownie skręcił ku północo-zachodowi i dmie z wściekłością! Jest to prawdziwy uragan, jaki niekiedy zrywa się w tych stronach i oddala nas od tych Antyllów, do których dążymy z taką rozpaczą.

Robert Kurtis chcąc mu się oprzeć, rozkazał lawirować, ale wiatr jest tak silny że Chancellor zmuszony jest do ucieczki, aby uniknąć bałwanów, które bywają bardzo groźnymi jeżeli uderzają na okręt z boku.

*29 października.* Burza w całej wściekłości, ocean rozszalał się, a rozprysnięte bałwany zalewają okręt. Nie można marzyć o spuszczeniu łodzi na morze; w tej chwili musiałyby zatonać. Schroniliśmy się jedni na wystawkę, drudzy na sam przód okrętu, patrzyliśmy się na siebie nie śmiejąc odezwać się. Co do pudła pikratu przestaliśmy o niem myśleć. Szczegół ten podług wyrażenia Kurtisa został zupełnie zapomniany. Nie wiem doprawdy czy nie byłoby pożądanem wysadzenie w powietrze okrętu, które rozwiązałoby odrazu sytuację. Sądzę, że moje zdanie podzielają wszyscy, będący na okręcie. Człowiek, któremu długo zagraża niebezpieczeństwo, przychodzi do tego, że nareszcie pragnie, aby co się ma stać, raz się stało. Oczekiwanie częstokroć bywa straszniejsze niżeli sama rzeczywistość.

Dopóki można było jeszcze Kurtis kazał wydobyć żywność złożoną w spiżarni okrętowej, do której teraz dostać się niepodobna. Gorąco zniszczyło dużo żywności; pozostałych kilka baryłek solonego mięsa i sucharów, beczka wódki, oksefty z wodą wystawiono na pokładzie, przyczem, na wypadek koniecznej potrzeby opuszczenia okrętu, położono także kołdry, instrumenta, busole i żagle.

O ósmej wieczorem, pomimo huku burzy na raz dało się słyszeć gwałtowne syczenie. Klapy parcie przez rozgrzane powietrze, otworzyły się i kłęby czarnego dymu wydobywają się z nich jak para wypuszczona z kotła maszyny parowej klapą bezpieczeństwa.

Załoga rzuciła się ku Robertowi Kurtis żądając rozkazów; jedyna myśl opanowała wszystkich, uciekać z tego wulkanu, co lada chwilę wybuchnie pochłaniając nas.

Kurtis spojrzął na ocean do głębi rozhukany. Do szalupy zbliżyć się nie można, albowiem wisi na środku pokładu, można jednak zużytkować czołno z prawej strony przyczepione i łódź zawieszoną z tyłu okrętu. Majtkowie rzucili się do czołna.

– Nie! zawołał Robert Kurtis, nie! po co narażać ostatnią naszą szansę ocalenia!

Kilku majtków oszalało z trwogi, z Owenem na czele, koniecznie chcieli opanować czołno.

Kurtis wskoczył na wystawę i pochwycając topór, zawołał: – Rozwalę łeb każdemu, kto dotknie się liny!

Majtkowie cofnęli się. Jedni z nich weszli na drabiny masztowe, kilku wlaźło na bocianie gniazdo. O jedenastej dał się słyszeć pod pokładem kilkakrotnie silny huk.

To przepierzenia tak pękają, przepuszczając dym i rozpalone powietrze. Kłęby dymu buchają z koszar przednich i strumień ognia objął przedni maszt.

Krzyk najokropniejszy rozlega się na okręcie. Pani Kear podtrzymywana przez pannę Herbey wybiega szybko z pokojów, do których się ogień dostaje. Następnie Silas Huntly ukazał się z twarzą od dymu poczerniałą, przeszedł po pokładzie, skłonił się Kurtisowi, następnie zwrócił się ku drabinie sznurowej tylnego masztu i usiadł na bocianiem gnieździe. Widok Silasa Huntly przypominał mi, że drugi jeszcze człowiek jest zamknięty pod pokładem, w kajucie, którą płomienie już może objęły.

Czy można pozwolić na zgubę nieszczęśliwego Ruby...

Rzucam się na schody. Waryat jednak zerwawszy krępujące go pęta nagle ukazał się z upalonymi włosami i w płonącym ubraniu. Nie wydając najmniejszego krzyku chodzi po pokładzie bez oparzenia nóg. Rzucą się w kłęby dymu, a dym go nie dusi, jest to salamandra ludzka kręcąca się w płomieniach!

Nowy huk się rozległ. Szalupa rozpadła się w kawały. Środkowa kłapa wyskoczyła rozdzierając płótno a płomień ognia długo tłumione wzbiły się do połowy masztu. W tej chwili waryat zaczął krzyczeć przeraźliwie:

– Pikrat! pikrat! wyskoczmy w powietrze!... I zanim zdołano go zatrzymać rzucił się przez kłapę w przepaść płomienną...

#### XIV.

*Noc 29 października.* Co za przerażająca scena! Każdy z nas uczył jej straszną grozę, pomimo całej okropności położenia w jakim się znajdujemy. Ruby zginął ale ostatnie jego słowa mogą mieć dla nas najokropniejsze następstwa. Majtkowie słyszeli krzyk jego: Pikrat! pikrat! i zrozumieli, że okręt w każdej chwili może być wysadzonym w powietrze, że już nie tylko pożar ale i eksplozja nam grozi. Kilku ludzi straciwszy najzupełniej przytomność chce uciekać natychmiast bądź co bądź.

– Czólno! czólno! wołają.

Ci ludzie nie widzą, nie chcą nawet widzieć szaleni, że ocean rozkiełznany rozbije każdą łódkę lub zatopi bałwanami niesłychanej wysokości! Nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Nie słuchają głosu kapitana, który napróżno rzucił się pomiędzy załogę. Owen podburza towarzyszków, którzy odcięli pasy przytrzymujące czólno i spychają je na wodę.

Czólno bujało się chwilę w powietrzu i kołysząc się wraz z okrętem uderzało o jego brzegi. Majtkowie ostaniem wysileniem odczepili je. Za chwilę ma upaść na morze, kiedy nagle olbrzymi bałwan chwytą je z dołu, kołysze chwilę rzucając i gwałtownie rozbija obok okrętu. Szalupa i czólno są stracone! pozostała nam tylko maleńka łódka. Majtkowie przerażeni cofnęli się, słysząc tylko szum ognia i świst wiatru. Płomień bucha ciągle z wnętrza okrętu a potoki dymu unoszą się przez kłapę ku niebu. Z przodu okrętu nie widać werendy. Zapora z płomienia rozdziela Chancellora na dwie części. Pasażerowie i dwóch lub trzech majtków zbiegli na wystawkę. Pani Kear upadła bez zmysłów na klatkę z kurami, panna Herbey jest obok niej, pan Leturneur ujął syna w objęcia. Mnie opanował atak nerwowy którego uspokoić nie mogę, inżynier Falsten patrzy na zegarek i notuje godzinę w dzienniku.

Co się dzieje na przodzie okrętu? Gdzie są majtkowie, porucznik i bosman nie możemy wiedzieć. Wszelka komunikacja pomiędzy nami jest zerwana, przez płomień przedrzeć się niepodobna. Zbliżywszy się do Roberta Kurtis zapytałem:

– Czy wszystko stracone?

– Nie, odpowiedział, ponieważ kłapa otworzyła się, rzucimy potoki wody i może zagasimy pożar.

– Ależ panie Kurti jakże dostać się do pomp na tym palącym pokładzie? jak przez płomienie rozkazy wydawać?

– Robert Kurtis nic na to nie odpowiedział

Więc wszystko stracone? powtórzyłem...

– Nie panie, odrzekł mi Kurtis. Nie tracę nadziei dopóki choć jedna deska z tego okrętu trzyma się pod moimi nogami!

Pomimo to pożar gwałtownie wzrasta, oblewając fale morskie potokami czerwonego światła. Ogromna łuna roztoczyła się na niebie. Długi płomień ognia wiją się około drzwiczek. My sami schroniliśmy się na zakończenie okrętu po za werendą. Panią Kear włożono do łóżki zawieszanej na łańcuchach, panna Herbey usiadła obok niej.

Cóż za noc okropna, jakie pióro zdoła opisać całą jej grozę? Uragan z całą gwałtownością jak niezmierny wentylator rozszarpał żołądek.

Chancellor pędzi w ciemnościach jak niezmierna pochodnia.

Zostały nam dwie alternatywy. Albo się rzucić w morze albo się spalić w płomieniach!

Ależ ten pikrat czy on się wcale nie zapali! Czy ten wulkan nie myśli wybuchnąć pod nami, więc Ruby skłamał i nie ma na okręcie żadnej materii wybuchowej.

O jedenastej kiedy burza najokropniej szalała huk szczególnego rodzaju, tak przeraźliwy dla marynarzy dał się słyszeć przed nami, w chwilę potem usłyszeliśmy krzyk na przodzie: – Skały! skały! z prawej strony.

Robert Kurtis wyskoczył na parapet, rzucił okiem na spienione bałwany i zwracając się do sternika zawołał: – Drag na prawy cały

Już zapóźno. Uczułem, że olbrzymi bałwan wznosi nas i nagle rzuca na skałę. Uderzony okręt zachwiał się kilka razy, a tylny maszt złamany przy samym pokładzie wpadł w morze. Chancellor stanął nieruchomy jak mur.

*W nocy dnia 29 października (ciąg dalszy)*

Nie ma jeszcze północy, ciemność najzupełniejsza rozpostarła się na około, nie wiemy w którym miejscu okręt osiadł na mieliznie. Czy gwałtownie popychany uraganem doleciał do brzegów Ameryki, którą jutro może ujrzymy?. W kilka chwil po utknięciu Chancellora szczęk łańcuchów na przodzie okrętu dał poznać Kurtisowi że zarzucono kotwicę.

– Dobrze, dobrze, zawołał, porucznik i bosman spuścili obie kotwice, mam nadzieję że nas utrzymają.

Raptem spostrzegam, że Kurtis zbliża się do balustrady, aż do granicy zakreślonej przez płomienie. Wychylił się za parapet i nachylony słuchał przez kilka minut czegoś uważnie pomimo huku fali. Można sądzić że śledzi uchem jakiś niezwykajny szmer. Nareszcie powrócił na werendę.

– Woda wchodzi do okrętu, zawołał, a woda ta jeśli nam Bóg dopomoże, da sobie radę z pożarem.

– A później rzekłem...

– Panie Kazallon, później jestto przyszłość, która jest w ręku Boga. Myślmy tylko o terażniejszości.

Należałoby w tej chwili przystąpić do sondowania przy pompach, w pośród płomieni jednak nie podobna do nich dostąpić. Widocznie kilka desek złamanych przepuszcza w głąb okrętu masę wody, i zdaje mi się, że gwałtowność ognia już się zmniejszyła. Słychać przerażający świst, spowodowany walką dwóch żywiołów. Widocznie woda dosięgła podstawy ognia, zatapiając spodnie warstwy bawełny. Tem lepiej, niech ugasi pożar, my sobie z nią damy radę. Woda to żywioł marynarza, on umie z nią walczyć i zwyciężać.

Trudno opisać niespokojność w jakiej pozostawaliśmy przez trzy godziny tej nocy, która nam się wiekiem wydawała.

Gdzie jesteśmy? widocznie woda opada i ogień się zmniejsza. Chancellor więc uwiązał na mieliznie, w godzinę po największym przyptywie, bez rachunku jednak i obserwacji na pewno nic wiedzieć nie możemy. Spodziewam się jednak że w razie ugaszenia ognia przy najpierwszym przyptywie odpłyniemy dalej. O wpół do piątej rano zgasła zasłona ogniowa rozdzielająca okręt na dwie połowy, i spostrzegliśmy grupę ludzi schronionych na wązkim przodzie. Wkrótce potem przywrócono komunikację pomiędzy kończynami okrętu. Porucznik i bosman przeszli do nas po krawędzi, bo na pokład stąpić jeszcze nie można. Uradziliśmy z oficerami że przededniem nic działać nie można. Jeżeli jesteśmy blisko ziemi i morze na to pozwoli, dopłyniemy do lądu na łódce lub na tratwie. Jeżeli zaś nie będzie widać ziemi, jeżeli Chancellor osiadł na samotnej skale, postaramy się go naprawić ażeby dopłynąć do najbliższego brzegu.

– Jednakże, powiedział Robert Kurtis, na co porucznik i bosman zupełnie się zgodzili, trudno jest oznaczyć gdzie jesteśmy, bo wiatr północno-

zachodni musiał nas daleko odpędzić popychając Chancellora na południe. Oddawna już nie mogłem brać wysokości a że w tej stronie Atlantyku nie znamy żadnych skał, prawdopodobnie uwięźliśmy przy brzegu Ameryki południowej.

– Tak, powiedziałem, ale jesteśmy ciągle zagrożeni przez eksplozyę, czy nie możemy opuścić Chancellora i uciec.

– Czy na tę rafę, odpowiedział Kurtis. Ależ jak ona wygląda, czy morze jej nie zalewa? czy możemy rozpoznać się w tej ciemności? Niech dzień nadejdzie, a zobaczymy.

Powtórzyłem te słowa kapitana innym pasażerom. Nie są one zupełnie zaspakajające, jednak nikt nie przypuszcza, że nowe nieszczęście rozbicia się w środku oceanu, o setkę mil od lądu może zagrażać okrętowi. Uwaga wszystkich zwróconą jest na wodę zalewającą pożar, a tem samem i usuwającą możliwość eksplozyi.

W istocie, zamiast płomieni coraz więcej dymu wydobywa się z klapy. Strumienie ognia ukazujące się niekiedy, gasną natychmiast. Po trzasku ognia, nastąpił świst zamieniającej się w parę wody. Morze więc to spełnia, czego ani pompy, ani sikawki nie zdołałyby zrobić.

Na ugaszenie pożaru tlejącego pośród tysiąca siedmiuset pak bawełny, potrzeba było nic więcej, jak tylko zalewu.

## XVI.

*30 października.* Pierwszy brzask jutrzeńki rozjaśnił niebo, ale mgła ogranicza dotąd widnokrąg naszego widzenia, do ścieśnionej bardzo przestrzeni.

Nie widać nigdzie ziemi, pomimo że oczy nasze z niecierpliwością przebiegają południową i zachodnią część oceanu.

Morze ustąpiło zupełnie, i na około okrętu biorącego w pełnym ładunku 15 stóp, jest zaledwie 6 stóp wody. Gdziekolwiek widać szczyty skał bazaltowych. Jakim sposobem Chancellor wpadł na te rafy? Widocznie olbrzymi bałwan uniósł go, jak to nawet uczułem na chwilę przed uwięzieniem.

Po zbadaniu otaczających nas skał, daremnie chcę wynaleść sposób wyjścia z pomiędzy nich.

Chancellor jest silnie pochylony ku przodowi, co utrudnia chodzenie na

pokładzie, nadto przy odpływie morza coraz więcej poddaje się na lewy bok, i do tego stopnia, że Kurtis zaczął być niespokojnym, jednak po jakimś czasie, położenie wzmocniło się tak, iż nie mamy się czego lękać.

Około szóstej, usłyszeliśmy gwałtowne uderzenie. Tylny maszt złamany przypląnął bijąc w bok okrętu. Jednocześnie rozległy się krzyki w których powtórzono kilkakrotnie nazwisko Roberta Kurtis.

Biegniemy w stronę skąd słychać krzyk i przy półświecie poranku, ujrzeliśmy człowieka uczeponego przy bocianim gnieździe.

To Silas Huntly, którego pociągnął w morze złamany maszt, powrócił do okrętu cudownie ocalony od śmierci.

Robert Kurtis rzucił się na ratunek dawnego zwierzchnika, i pomimo tysiącznych niebezpieczeństw wydobył go na okręt.

Silas Huntly nie rzekłszy ani słowa, usiadł w najodleglejszym zakątku.

Ten człowiek to najzupełniej bierna istota, nie wchodzi zupełnie w rachunek.

Pochwycony maszt silnie przytwierdzono do okrętu, ten szczątek może przydać się kiedy na co. Rozwidniło się zupełnie i mgła ustąpiła. Wzrok nasz może przebieść cały widnokrąg; na trzy mile jednak w około, nie widać nic podobnego do brzegów.

Skały rozciągają się od południo-zachodu ku północo-wschodowi przeszło milę. Na północ widać rodzaj wyspy nieregularnie zakreślonej. Jest to jakieś przypadkowe nagromadzenie skał, odległe o jakie dwieście stóp od Chancellora, i wzniesione na 50 stóp.

Niewątpliwie więc, w czasie największego nawet przypląwu woda go nie zalewa. Wązki pasek przy odpływie pozwoli nam dojść do wysepki, jeżeli okaże się tego potrzeba. Na zewnątrz, morze ma ciemną barwę, tam kończą się skały i zaczyna głębia.

Głębokie z wątpliwość, spowodowane położeniem okrętu ogarnęło wszystkich; obawiamy się że te skały nie przylegają do żadnego lądu. W tej chwili dzień już jasny zupełnie, na około nic nie widać, linia wody i linia nieba zlewają się wszędzie, morze zajmuje całą przestrzeń. Robert Kurtis, nieruchomy, obserwuje ocean, szczególnie w części zachodniej.

Ja i Letourneur stojąc w bliskości, śledzimy najdrobniejsze jego ruchy, każde drgnięcie mięśni twarzy, zdradzające pracę duchową. Zadziwienie jego nie ma granic, sądził, że pędząc od czasu objęcia statku na południe zbliżył się ku lądowi, teraz zaś nawet śladu ziemi nie widać w bliskości.

Zaraz potem Robert zszedł z wystawki, przebiegł po balustradzie aż do przedniego masztu, uchwycił się drabiny sznurowej i wdrapał się na sam szczyt masztu, gdzie zawieszony na beleczce, przez kilka minut badał widnokrąg z największą uwagą, potem spuścił się powoli na pokład i wrócił do



nas.

Zapytujemy go wzrokiem.

– Nie ma wcale ziemi! odpowiedział z całą spokojnością.

Pan Kear zbliża się i zagniewanym głosem pyta:

– Gdzie jesteśmy, panie kapitanie?

– Dotąd, nie wiem jeszcze.

– Pan powinien wiedzieć, głupio odezwał się nafciarz.

– Niech i tak będzie, ale nie wiem!

– Otóż ja panu mówię, rozumiesz pan, że nie myślę wiekować na pańskim okręcie, i wzywam pana żebyś natychmiast odpłynął.

Robert Kurtis poprzestał na ruszeniu ramionami. Potem zwracając się do pana Letourneur i do mnie, rzekł:

– Wezmę wysokość jak tylko słońce się ukaże, a wtedy dowiemy się, na który punkt Atlantyku burza nas poniosła.

Kurtis rozdał żywność pasażerom i załodze. Potrzebowaliśmy jej rzeczywiście, wycieńczeni od głodu i trudów. Każdy więc ze smakiem zjadł podany kawałek suchara i suszonego mięsa. Potem rozpoczęto przygotowawcze działania, do spuszczenia na powrót Chancellor'a na morze.

Pożar bardzo się zmniejszył, tak, że nie tylko płomienia wcale nie widać, ale i dym chociaż jeszcze czarny, rzednieje stopniowo.

Nie ulega kwestyi, że Chancellor ma w głębi masę wody, przekonać się o tem jednak trudno z powodu rozgrzania desek pokładu.

Wrócono więc do pomp, a w dwie godziny pokład ochłodzony dał możność rozpocząć sądowanie, do którego przystąpili majtkowie pod kierunkiem bosmana.

Okazało się, że na dnie jest 5 stóp wody, której kapitan nie każe wyrzucać, zanim nie dopełni swojego zadania to jest ugaszenia pożaru. Najprzód ogień, później woda.

A może lepiej byłoby opuścić okręt i schronić się na rafy. Oficerowie słuchać o tem nie chcą, bo i rzeczywiście przy wzburzonym morzu, wysokie bałwany oblewają te skały, nie pozwalając utrzymać się na nich.

Prawdopodobieństwo wybuchu także obecnie zmniejszyło się; woda zapewne zalała część, w której były bagaże Rubego, a z niemi i pudełko pikratu.

Na tyle okrętu urządzili rodzaj koczowiska, oddając pozostałe materace

na usługi pasażerek. Załoga, która uratowała także swoje worki z rzeczami, umieściła się na przodzie statku i tam pozostanie, bo koszary są zupełnie zniszczone.

Szczęściem spiżarnia mało ucierpiała, większa część żywności i wody, wcale jest nie uszkodzona.

Skład zapasowych żagli także nietknięty.

Zdaje się, że próby, które przechodziliśmy, skończyły się nareszcie.

Wiatr złagodniał i pełne morze znacznie się uspokoiło, z czego wszyscy się cieszymy, bo w przeciwnym razie bałwany zagrażałyby w każdej chwili zmiążdżeniem Chancellora na tym twardym bazalcie.

Pp. Letourneur, wiele rozmawiali ze mną o zachowaniu się oficerów i załogi w niebezpiecznych chwilach.

Wszyscy okazali odwagę i energię. Walter, bosman i cieśla Daoulas najwięcej się odznaczyli. Są to dzielni marynarze i zacni ludzie na których liczyć można. Co do Roberta Kurtis, nie mamy dość słów na jego pochwałę.

W każdej chwili jest wszędzie, dodaje ducha, przykładem zachęca, największe trudności łamie wiedzą i pracą, krótko mówiąc, stał się duszą ślepo mu wierzącej załogi.

Od siódmej rano morze ciągle przybiera. Teraz o 11-ej wierzchołki skał woda zakryła. W miarę wznoszenia się poziomu morza, spód coraz więcej się zalewa zatapiając nowe warstwy bawełny, czego powinszować sobie możemy. Na około nas widać tylko krawędzie basenu okrągłego, do dwustu pięćdziesięciu stóp mającego obwodu.

Chancellor zajął jego kąt północny.

Morze w basenie jest zupełnie spokojne, bałwany nie dochodzą do okrętu, co także nam sprzyja, w przeciwnym razie uderzałyby na statek jak na skałę.

O wpół do dwunastej jak na zawołanie, chmury rozsunęły się i słońce zajaśniało w całym blasku.

Kapitan który rano zanotował jeden kąt, obecnie wziął wysokość południka, robiąc bardzo dokładne obserwacje.

Potem zszedł do kajuty, obrachował punkta i wrócił na wystawkę, gdzie nie tylko nic nie ukrywając, ale przeciwnie chcąc wtajemniczyć w każdy szczegół tak pasażerów jak i załogę, rzekł do nas:

– Chancellor uwiązał na  $18^{\circ} 5'$  szerokości północnej, a  $45^{\circ} 53'$  długości zachodniej, na skale, która dotąd na mappie nie była oznaczona. Jakim sposobem tak potężne rafy, mogą egzystować na oceanie bez oznaczenia na planach, nie rozumiem...

Czyżby ta wyspa powstała w skutek zupełnie świeżego wybuchu wulkanicznego? Inaczej trudno sobie wytłómaczyć.

Bądź co bądź – odległość wyspy od najbliższego lądu to jest od Gujanny wynosi 800 mil, jak to dowodzi oznaczony punkt na planach.

Chancellor został więc popchnięty na południe aż do 18 równoleżnika, najprzód przez bezmyślny upór kapitana Huntly, następnie zaś przez uragan, który zmusił nas do ucieczki.

Skutkiem tego Chancellor musi przepłynąć 800 mil, ażeby dosięgnąć najbliższego lądu.

Oto jest nasze położenie. Ciężkie bez wątpienia, a jednak wyjaśnione przez Kurtisa nie zdawało nam się groźnym, przynajmniej na teraz.

Jakież nowe niebezpieczeństwa mogą dorównać tem, które dotąd przebyliśmy, dorównać pożarowi i eksplozyi. Zapominamy o tem, że statek jest zalany wodą, że ląd daleko, że Chancellor może zatonać w drodze... Umysły są pod wrażeniem przeszłości i z odrobiną spokoju już powraca do nich i ufność.

Robert Kurtis dopełni wszystkiego, co nakazuje zdrowy rozsądek; najprzód zagasi pożar, następnie wyrzuci w morze część ładunku, nie zapominając o pudełku z pikratem, potem zatka dziurę w okręcie, który ulżony wymknie się z tych skał przy którymkolwiek przypląwie morza.

## XVII.

*30 października (ciąg dalszy).* Rozmawiałem długo z p. Letourneur chcąc go przekonać o tem, że pobyt nasz na tych rafach, nie może się długo przeciągnąć.

– Przeciwnie, wątpię ażebyśmy tak prędko stąd się wydobyli.

– Dla czego, panie Letourneur. Wyrzucić kilkaset pak bawełny w morze, nie jest zbyt trudną rzeczą, w dwa dni załatwimy się z tą robotą.

– No tak, panie Kazallon, można byłoby to zrobić bardzo prędko, gdyby tylko dziś majtkowie potrafili zejść na spód, co jak pan wiesz jest niemożliwem z powodu zepsutego powietrza, i wiele dni może jeszcze upłynąć zanim zdołamy tam się dostać, tembardziej że górne warstwy bawełny palą się ciągle. Zresztą po opanowaniu ognia, nie możemy natychmiast odpływać. Najprzód należy sporządzić otwór wybity w okręcie, i to sporządzić go z całą ostrożnością, jeżeli uniknąwszy spalenia, nie chcemy utonąć! Nie, panie

Kazallon, łudzić się nie można, i uważałbym się za najszcześniejszego, jeżeli za trzy tygodnie opuścimy te rafy. Daj Boże tylko, żeby jaka burza nie zerwała się, zanim stąd odbijemy, albowiem Chancellor musiałby rozbić się jak szklanka, i te skały grobem naszym mogłyby stać się!

I rzeczywiście to jest największe z niebezpieczeństw, które nam zagrażają. Pożar ugasimy, statek spuścimy na morze, przynajmniej tak sądzę; ale oprócz tego jesteśmy na łasce losu silniejszego wiatru. Przypuszczając, że najwyższa część wysepki da nam schronienie na czas burzy, co stanie się z nami w razie rozbicia na kawałki Chancellora?

– Powiedz mi panie Letourneur, czy masz zaufanie do Roberta Kurtis.

– Najzupełniejsze, i uważam to jako łaskę boską, że Huntly zdał na niego dowództwo okrętu. Jestem pewnym, że wszystkiego co można będzie dokonać dla wyratowania nas, Kurtis z pewnością dokona.

Zapytałem kapitana jak długo spodziewa się pozostawać na tej skale, na co mi odpowiedział, że będzie to zależy od okoliczności sprzyjających, co do pogody zaś, ta nie zdaje się nam zagrażać.

Barometr wznosi się bez żadnych oscylacyj, jakie zdarzają się w razie nieuspokojenia dolnych warstw powietrza. Ta przepowiednia szczęśliwie wróży o naszych dalszych staraniach.

Nie tracąc ani jednej chwili, każdy zajął się wyznaczoną sobie pracą.

Przedewszystkiem Robert Kurtis zajął się ugaszeniem pożaru do reszty; po nad poziomem, do którego woda dosięgła, paki w najlepsze się palą. O wyratowaniu ładunku nie ma zupełnie co myśleć. Potrzeba więc zadusić ogień pomiędzy dwiema wodami. Pompy zaczynają grać na nowo.

Przy pierwszych pracach załoga wystarcza na obsłużenie pomp obywatąc się bez pomocy pasażerów, gotowych zresztą w każdej chwili. Może być, że nas wezwą do wyrzucania pak z bawełną.

Zanim to nastąpi, chodzimy rozmawiając z p. Letourneur, czytamy, zresztą ja codzień przez kilka godzin piszę ten dziennik.

Inżynier Falsten, nie lubiący wchodzić w bliższe stosunki z nikim, zajmuje się cały dzień rachunkami lub kreśli wzory machin z przecięciami, planami i elewacją. Jakby to było dobrze, żeby on wynalazł jaki przyrząd do wydobywania się stąd Chancellora!

Co do panów Kear, ci zawsze na uboczu, oszczędzają nam nudnego słuchania wiecznych zażaleń; szkoda tylko, że panna Herbey przez to nie może przyjść do nas, tak, że wcale prawie jej nie widzimy.

Silas Huntly, nie miesza się do niczego, co jakkolwiek bądź związek ma z okrętem. Marynarz przestał w nim żyć, człowiek zaś wegetuje za ledwie.

Hobbart gospodarz statku, pełni swoje obowiązki jak gdyby nic szczególnego nie zaszło. Ten Hobbart jest to lizus, fałszywy i wiecznie żyjący

w niezgodzie z kucharzem Jynxtrop, murzynem z obrzydłą twarzą, ordynaryjnym impertynentem, mającym wiecznie konszachty z majtkami.

Rozrywek zatem na pokładzie zbyt wiele nie ma. Na szczęście przyszła mi do głowy myśl obejrzenia wyspy, przy której Chancellor uwiążeł. Nie będzie to ani zbyt długa, ani też urozmaicona wyprawa, w każdym razie na kilka godzin opuścimy okręt i zbadamy grunt zagadkowego pochodzenia. Oprócz tego należy wnieść na plany figurę tej wyspy z całą starannością. Nie wątpię, że panowie Letourneur wraz ze mną zdołają dokonać tej pracy hydrograficznej, pozostawiając uzupełnienie Kurtisowi po nowem obliczeniu rzędnych, z możliwą dokładnością.

Pp. Letourneur przyjęli ten projekt, i łódka z linkami do sondowania została nam oddana, nadto jeden z majtków odkomenderowany dla popłynięcia z nami.

31 października rano odpłynęliśmy z Chancellora.

## XVIII.

*Od 31 października do 5 listopada.* Rozpoczęliśmy naszą wędrówkę od opłynięcia na około raf, których długość wynosi około ćwierć mili, przyczem z sondami w ręku przekonał się, że brzegi skał wszędzie prostopadle prawie wpadają w wodę, nadzwyczajnie głęboką u samych stóp rafy, więc bez najmniejszej wątpliwości należy przypuszczać, że tylko gwałtownie wypchnięcie skał partych ogniami plutonicznymi mogło wysadzić po nad wodę całą tę wysepkę.

Co do natury skał, także bez namysłu musimy je uznać za wulkaniczne.

Na około są to słupy bazaltowe, w porządku rozstawione, których kształt foremny, przypomina jakąś olbrzymią krystalizacją.

Morze zupełnie przezroczyste przy konturach skał, daje widzieć ciekawe wiązki kolumn graniastosłupowych, na których wyspa jak kopuła się unosi.

– A to szczególna wysepka, mówi pan Letourneur, jej powstanie niedawno nastąpić musiało.

– Tak ojczy, jest to zupełnie podobny fenomen do tego, co miało miejsce z wyspą Julia przy brzegach Sycylii z grupą Santorin na Archipelagu. Natura wyrzuciła tę wysepkę umyślnie dla tego, ażeby Chancellor mógł na niej uwięznąć.

– Rzeczywiście, dodałem, musiał nastąpić w tej stronie oceanu jakiś

wybuch podwodny, inaczej skały te byłyby bez wątpienia oznaczone na planach Atlantyku, dość w tych stronach zwiedzanego. Zbadajmy je więc z całą starannością i dajmy poznać marynarzom.

– Dobrze, ale czy one nie znikną przy powtórzeniu się wybuchu który je stworzył? odpowiedział Andrzej. Czy wierzy pan, pani Kazallon że niektóre wyspy wulkaniczne mają tylko chwilową egzystencją, i ta więc może zniknąć zanim geografowie zdążą oznaczyć ją na mappach.

– Nic nie szkodzi mój synu, lepiej jest oznaczyć niebezpieczeństwo którego nie ma, niżeli opuścić niebezpieczeństwo które jest; możesz być nawet pewny, że marynarze wcale nie będą się skarżyli, jeżeli nie znajdą tam rafy gdzie ją naznaczymy na mappie.

– Masz słuszność drogi ojczy, zresztą te skały mogą istnieć tak długo jak i lądy nasze. Jeżeli jednak miałyby zginać, to dla Kurtisa i dla nas byłoby najdogodniej, ażeby to stało się po wyrestaurowaniu okrętu, tym sposobem uniknęlibyśmy trudów spychania na morze.

– Wyborny jesteś mój Andrzeju! chciałbyś rządzić jak władca siłami natury! Chcesz ażeby ona wznosiła lub pochłaniała skały, według twojej woli lub twoich osobistych potrzeb, i po stworzeniu tej rafy wyłącznie dla zatrzymania Chancellora, kiedy już ustanie potrzeba, ażeby ją usunęła, gdzie chce, byle nam tylko nie robić subiekcyi.

– Ależ nie, panie Kazallon, owszem najserdeczniej się modłę, dziękując Bogu, za widomą łaskę nad nami, i proszę ażeby dopomógł wyjść chociażby dzisiaj z niebezpieczeństw tej podróży.

– My zaś ze swojej strony także przeszkadzać Panu Bogu nie będziemy, jeżeli udzieli nam ratunku? nieprawdaż?

– Tak, panie Kazallon, obowiązkiem człowieka jest, ażeby sam sobie dopomagał. Pomimo to Andrzej ma słuszność nie tracąc wiary w pomoc Boga. Prawda, ludzie żeglując po morzu, dowodzą tem samem, że umieją zdobyć władzę, której natura im odmówiła; jednakże na tym oceanie bez granic, kiedy żywoły rozpasają się w chaosie straszliwym, jakże wtedy czujemy że statek nasz jest kruchy, a my sami tacy bezbronni, tacy słabi! Godłem marynarza powinno być: „ufność w siebie, i wiara w Boga!”

– Jest to zupełnie słuszne panie Letourneur. Dla tego też mało widziałem marynarzy, których dusze byłyby zamkniętymi na uczucie pobożności!

Tak rozmawiając, zbadaliśmy starannie skały formujące spód wysepki i coraz więcej przekonywamy się, że niedawno powstała z łona morskiego.

Ani jedna muszla, ani kawałek rośliny morskiej nie przylgnał do tych bazaltowych słupów. Zwolennik historii naturalnej nie miałby po co się schylić wśród tych skał, nietkniętych dotąd dłonią nawet roślinności a tem samem niedostępnych dla świata zwierzęcego. Mięczaków i zwierzokrzewów nie znaleźliśmy wcale. Wiatr nie doniósł tam jeszcze nasion, ptaki morskie gniazd sobie nie usłały. Jeden tylko geolog może znaleźć tutaj przedmiot do badania

nowych formacji wulkanicznych, wpośród tych złamów bazaltu.

Przed powrotem na Chancellor, zaproponowałem towarzyszom, ażeby przejść się trochę po ziemi, na co z ochotą zgodzili się.

– Należy koniecznie ażeby ludzie zwiedzili tę wysepkę, zanim ją napowrót fale pochłona, rzekł śmiejąc się młody Andrzej.

Łódka przybiła, i weszliśmy na te skały z bazaltu. Andrzej szedł naprzód, na łądzie biedny kaleka może chodzić bez opierania się na cudzem ramieniu. Ja szedłem z jego ojcem i tak po bardzo lekkim spadku w kwadrans doszliśmy do szczytu rafy. Tam usiadłszy na pryzmie bazaltowej, Andrzej Letourneur wydobyl z kieszeni karnet i zaczął rysować ołówkiem kontury wysepki żywo odrzynające się na zielonem tle morza.

Niebo czyste, morze opadło, odkrywając najdalsze ku południowi rafy, pomiędzy które wpadł Chancellor.

Kształt wysepki jest dość oryginalny, przypomina bowiem szynkę Yorkską z nabrzmieniem w tem miejscu gdzie my siedzimy. Kiedy więc Andrzej skończył rysunek, ojciec rzekł do niego:

– Ależ moje dziecko, wszak ty wyrysowałeś szynkę!

– Tak ojcze, szynkę bazaltową, której by nie podolał nawet żarłoczny Gargantua, i jeśli kapitan Kurtis zezwoli, nadamy jej nazwę Ham-Rock!

– Z pewnością zgodzi się, zawołałem, na tak trafnie dobrane nazwisko, skała Ham-Rock! Niechaj jednak marynarze trzymają się od niej z daleka, bo nie łatwo ją zgryźć.

Chancellor utknął w południowej części wyspy t. j. w samej golonce; ciągle się trzyma pochylony na prawo, co szczególnie teraz przy niskiem morzu najlepiej daje się widzieć. Kiedy Andrzej Letourneur skończył swój rysunek, zeszliśmy ku zachodniej pochyłości, kiedy nagle prześliczna grota wpadła nam w oczy. Widząc ją można było sądzić, że to jakie dzieło architektury w rodzaju tych które natura ozdobiła wyspę Staffa leżącą w gromadzie Hebrydów.

Panowie Letourneur, którzy widzieli grootę Fingala znaleźli tutaj jej powtórzenie w zmniejszonych rozmiarach. Toż samo rozstawienie współśrodkowych graniastostupów, którego trzymają się zawsze stygnące bazalty; też same stropy z czarnych belek, których końce spojone są żółtawą materyą; też sama czystość krawędzi pryzm, której nożyce najlepszego sztukatora nic nie mogłyby zarzucić; nareszcie tenże sam szmer powietrza rozbijającego się pomiędzy bazaltowemi słupami, z którego poeci potrafili stworzyć dźwięk arf Fingala.

W Staffie podłogę zastępuje tafla wody, tutaj zaś morze tylko dostaje się w czasie wielkiej burzy i szczerlnie spojone słupy pryzmatyczne, formują brak wiekuistej trwałości.

– Doprawdy, zauważył Andrzej Letourneur, grota Fingala jest olbrzymią

gotycką świątynią, ta zaś jest zaledwie kaplicą przy tej katedrze. Któż jednak mógł się spodziewać, że tak cudowną rzecz możemy spotkać w pośrodku oceanu, na brzegu tych raf nieznanych!

Odpocząwszy z godzinę w grocie, wróciliśmy ponad brzegiem do okrętu, gdzie zawiadomiliśmy Roberta Kurtis o naszych odkryciach, ten zaś zapisał wyspę na mapie pod imieniem wymyślonym przez Andrzeja Letourneur.

Podczas następnych dni codziennie powracaliśmy do groty Ham-Rock, gdzie mile nam czas upływał. Robert Kurtis także ją zwiedził wraz z nami; zbyt jednak wiele ma na głowie kłopotów, ażeby miał jeszcze czas na uwielbianie cudów natury. Falsten także raz tam poszedł zbadać naturę skał i za skrupulatnością geologa obtłuc kilka kawałków. Pan Kear nie chciał sobie robić subiektywnego schodzenia z okrętu; proponowałem pani Kear ażeby nam kiedy towarzyszyła w naszych wycieczkach, obawia się jednak wsiąść w łódkę; myśl zaś najmniejszego zmęczenia już ją przeraża. Pan Letourneur proponował także pannie Herbey czy by nie zechciała zwiedzić wysepki. Dziewczę z radością przyjęło tę propozycję. Szczęśliwa że choć na chwilę uniknie kapryśnej tyranii swojej pani. Kiedy jednak prosiła pani Kear o pozwolenie odpłynięcia z pokładu, pani Kear stanowczo odmówiła. Oburzyło mnie takie szkaradne postępowanie i ująłem się za miss Herbey. Samolubna pasażerka widząc że kilkakrotnie świadczyłem jej rozmaite grzeczności i że może ich nadal jeszcze potrzebować, zgodziła się nareszcie pozwalając raz na zawsze pannie Herbey dotrzymywać nam towarzystwa, w przechadzce pomiędzy skałami. Łowiliśmy często ryby przy brzegach półwyspu, wesoło wyprawiali śniadanka w grocie, przy dźwięku skał bazaltowych. Szczęściem prawdziwym dla nas jest widzieć, jaką przyjemność sprawiamy pannie Herbey, temi kilkoma godzinkami wolności. Na tej małej wysepce, biedna kobieta znalazła więcej szczęścia, niż świat cały dał jej od urodzenia. My wszyscy także przywiązaliśmy się bardzo do tej nagiej skały, której każdy kamyczek i każdą ścieżkę znamy już doskonale, bo kilkakrotnie przebiegaliśmy ją wesoło.

W porównaniu z pokładem Chancellora obszerne to mieszkanie, które porzucimy z żalem w chwili odjazdu, przynajmniej niektórzy.

Wspominając wyspę Staffa Andrzeja Letourneur dodał że należy do rodziny Mac-Donald, która ją wypuszcza w dzierżawę za 300 franków rocznie.

– Czy sądzicie panowie, że za wynajęcie wyspy, zapłacił by kto rocznie choć setną część tej summy? zapytała miss Herbey.

– Ja sądzę miss, że ani grosza niktby nie dał. Czy pani ma zamiar zabrać ją na własność?

– Nie panie Kazallon, odrzekło dziewczę, a jednak, to jedyny kącik na świecie gdzie wolno mi było być szczęśliwą.

– I gdzie ja byłem szczęśliwy, szepnął Andrzej.

Wieleż cierpień ukrytych mieści się w tej odpowiedzi panny Herbey. Biedna dziewczyna, sierota, bez przyjaciół, znalazła chwilę szczęścia na



bezludnej skale, wpośród Atlantyku.

## XIX.

Przez pierwsze pięć dni po utknięciu, ostry i gęsty dym wydobywał się z wnętrza Chancellora, potem zmniejszając się coraz więcej znikł nareszcie, tak że od szóstego listopada uważamy pożar, jako ugaszony. Ażeby nie zaniedbać jednak wszelkich środków ostrożności Robert Kurtis każe bezustannie pompować wodę, tak że pudło okrętu zalane jest prawie całkowicie aż do samego pomostu. Z odpływem jednak morza, woda opada w okręcie i dwie płynne powierzchnie układają się do jednakowego poziomu, co dowodzi podług zdania Kurtisa że otwór musi być bardzo znaczny, jeżeli woda tak szybko może odpływać. Rzeczywiście jeden z majtków zanurzywszy się podczas niskiego morza znalazł miejsce i zmierzył otwór wynoszący przeszło cztery stopy kwadratowe. Woda otworzyła sobie drogę w odległości trzydzieści stóp od rudła i szczyt skał roztrzaskał trzy deski o parę stóp od głównego wiązadła spodu. Uderzenie nastąpiło z nadzwyczajną gwałtownością, z powodu wzburzenia morza i ciężkiego obładowania statku.

Dziwić się nawet wypada, że pudło okrętu nie rozpękało się odrazu w wielu miejscach. Po wydobyciu dopiero ładunku cieśla będzie mógł osądzić, o ile uszkodzenie da się tymczasowo naprawić. Całych dwóch dni jednak potrzeba na to, ażeby dostać się wewnątrz Chancellora i wydobyć paki bawełny niespalonej. Przez ten czas Robert Kurtis i załoga nie tracili ani jednej minuty, dokonywając przygotawczych prac.

Podniesiono więc złamany przy utknięciu, następnie zaś schwytany maszt tylny. Pozostały pień cieśla Daulas zafugował i obie części złamane spojono silnem okuciem żelaza. Kurtis odbył przegląd całego opatrzenia okrętu; żagle, liny, na nowo umocniono, bocianie gniazdo przyprowadzono do porządku, tak że będziemy mogli puścić się na morze z zupełnem bezpieczeństwem. Na kończynach okrętu wiele pozostało do roboty, albowiem pożar silnie uszkodził koszary i werendę. Trzeba to wszystko przyprowadzić do poprzedniego stanu, co wymaga wiele czasu i starań. Czasu nam nie brak zupełnie, starań także nie szczędzimy, robota więc szybko postępowała i powróciliśmy nareszcie do naszych kajut.

Ósmego dopiero przystąpiono do zupełnego wyładowania okrętu. Paki bawełny zalanej wodą i po większej części zniszczonej, są tak ciężkie że musieliśmy dopomagać załodze przy wyciągnięciu każdej sztuki za pomocą ustawionych umyślnie bloków. Każdą z tych pak osobno przewieźliśmy na łódce i wyrzucili na skały.

Po usunięciu w ten sposób pierwszej warstwy należało wziąć się do wyciągnięcia wody napełniającej spód okrętu, a stąd wypłynęła konieczność

zatkania jak najszczelniej otworu wybitego przez skały w pudle okrętu. Trudna to praca, a jednak majtek Flaypol i bosman wywiązali się z niej z gorliwością przewyższającą wszelkie pochwały. Potrafili oni nurzając się w czasie niskiego morza aż do samego dna okrętu, zakryć dziurę kawałem blachy miedzianej. Z obawy jednak że blacha nie zdoła wytrzymać zewnętrznego parcia, kiedy pompy obniżą poziom wody napełniającej okręt. Robert Kurtis spróbował wzmocnić opór naładowaniem skrzyń bawełny na przedziurawione deski. Materiału nie zabrakło, wkrótce więc wewnątrz Chancellora wywatowano ciężkimi i nieprzesiękającymi pakami, przy których pomocy spodziewano się nadać blasze wystarczającą siłę oporu.

Pomysł kapitana udał się wybornie: widać to w miarę działania pomp. Poziom wody obniża się coraz więcej w środku okrętu i załoga może usuwać jedną po drugiej pakę bawełny. Okazuje się z tego że będziemy w możności dostać się do otworu i wyreperować go ze środka. Zapewne byłoby lepiej przewrócić okręt na bok i zmienić strzaskane deski, brak jednak środków do wykonania tak wielkiej roboty. Zresztą obawiamy się ażeby nie pogody nienastąpił w czasie kiedy okręt leżał by na boku, zdany na łaskę gwałtowności morza. Mam sobie za obowiązek nawet uspokoić was, powiedział Kurtis, że wstrzymamy zupełnie dostawanie się wody do środka i nie zadługo spróbujemy dopłynąć do lądu w warunkach dostatecznego bezpieczeństwa.

Po dwóch dniach pracy wylano znaczną część wody i wyładowanie ostatnich pak bawełny nastąpiło bez żadnej szkody. Musieliśmy także z kolei pomagać załodze, co też każdy pełnił z całą sumiennością i o ile siły na to pozwalały. Nawet Andrzej Letourneur pomimo kalectwa nie dał wyprzedzić się nikomu. A jednak to męcząca praca pompowanie; długo wytrzymać nie można bez odpoczynku. Ręce i nogi omdlewają wkrótce od drąga, nie dziwię się więc że majtkowie tak się lękają tej roboty. Nadto wykonywamy ją w szczęśliwych okolicznościach, bo statek jest na twardym punkcie nie zaś na otchłani mogącej nas pochłonać. Nie bronimy życia swojego przeciwko natarciu morza, nie ma walki pomiędzy nami i wodą, któraby wracała w miarę jak ją wylewają. Niech niebo nas strzeże od podobnej próby na tonącym okręcie.

## XX.

*Od 15 do 20 października.* Dzisiaj zwiedzono całe wnętrze okrętu, przyczem znalezionem zostało i pudło pikratu w tyle okrętu w miejscu do którego ogień na szczęście nie doszedł. Pudło jest nietknięte, nawet woda nie zepsuła materii wybuchowej. Złożono je na końcu wysepki. Nie wiem dla czego nie wrzucili go zaraz morze. Robert Kurtis i Daulas przekonali się że pomost i podtrzymujące go belki mniej ucierpiały niżeli się spodziewali. Silne gorąco, na które te grube deski i potężne podpory były wystawione

powyginało je, nie przepalając do głębi. Działanie zaś ognia daleko silniej wywarło się na pudło statku. W istocie na bardzo długiej przestrzeni podbitka jest strawiona od ognia. Końce krzywek zwęglone, sterczą tu i ówdzie; cały szkielet silnie jest uszkodzony. Pakuły wyskoczyły we wszystkich spojeniach i można uważać za cud że okręt nie rozstał się od dawna. Są to bardzo smutne okoliczności, z którymi musimy się rachować. Chancellor jest tak silnie uszkodzony, że Robert Kurtis widocznie nie może wyłatać go przy skromnych środkach jakimi rozporządza i nie będzie w stanie dać okrętowi pewności przebycia długiej podróży. Stąd kapitan i cieśla bardzo są zakłopotani, szkody są tak znaczne, że gdybyśmy znajdowali się na wyspie nie zaś na skale z której ocean w każdej chwili mogłby nas znieść, Kurtis nie wahałby się ani chwili rozebrać statek i zbudować mniejszy, któremu możnaby na pewno zawierzyć. Kurtis szybko się zdecydował, zabrał nas wszystkich pasażerów i załogę na pokład Chancellora i powiedział:

– Moi przyjaciele, okręt jest daleko więcej zepsuty niż przypuszczaliśmy, szczególnie się to odnosi do samego pudła. Ponieważ z jednej strony nie mamy środków zreperowania go, z drugiej zaś na tej wyspie skalistej gdzie jesteśmy na łasce morza, nie możemy pozostawać aż do zrobienia nowego statku, proponuję więc, żeby zatkać otwór jak najmocniej i dążyć do najbliższego lądu. Stąd do Guyany holenderskiej jest wszystkiego 800 mil, którą to drogę przy pomyślnym wietrze w ciągu 10 do 12 dni przebyć możemy, dostając się do Paramaribo na samej północy Guyany leżącego.

Nic innego nie pozostaje do zrobienia; tak więc wniosek kapitana wszyscy jednogłośnie przyjęliśmy.

Daulas z pomocnikami wziął się do załatania ze środka otworu i do wzmocnienia o ile się da wiązań zniszczonych przez ogień.

Widocznie jednak Chancellor nie przedstawia już dostatecznego bezpieczeństwa i w pierwszym porcie musi być rozebrany.

Cieśla załatał także zewnętrzne spojenia desek, w części pudła ukazującej się przy niskim morzu, nie może się jednak dostać do części ukrytej pod wodą i ze środka ją tylko reperuje.

Różne te prace trwały aż do 20. Kiedy już ukończono wszystko co było w mocy ludzkiej, ażeby doprowadzić okręt do stanu używalności, Robert Kurtis zdecydował się spuścić go na morze.

Podczas wyładowania Chancellor unosił się na wodzie nawet w czasie odpływu morza. Dla zabezpieczenia się od wpadnięcia na rafy spuszczone przednią i tylną kotwicę i tym sposobem pozostał w basenie naturalnym, broniony na prawo i na lewo przez skały, nie zatapiające się nawet w czasie przyływu morza.

Basen jest tak szeroki że pozwoli wykręcić okręt przy pomocy drągów wspartych na skałach. Zdaje się więc że wydobyć się Chancellora na morze odbędzie się z łatwością, przy podniesionych żaglach jeśli będzie wiatr pomyślny, albo też holowaniem jeśli będzie przeciwny.

Cała czynność jednak przedstawia trudności do zwalczania. Sam wchód w przejście jest zabarykadowany rodzajem grzebienia z bazaltu, ponad którym przy największym przyptywie głębokość wody zaledwie wystarcza na przeciągnięcie Chancellora, chociażby zupełnie próżnego. W czasie utknięcia statek podrzucony przez olbrzymią falę, która go podniosła i rzuciła następnie w bassen przeskoczył przez grzebień. Oprócz tego wówczas przybór z powodu nowiu księżyca i porównania dnia z nocą, był z całego roku największy.

Robert Kurtis nie może czekać kilka miesięcy, i musi korzystać z pełnego morza, aby wyswobodzić okręt.

Wiatr jest dobry, bo wieje z północo-wschodu a więc w kierunku przesmyku. Ale kapitan słusznie nie spieszy się z rozwinięciem wszystkich żagli okrętu, którego moc jest bardzo wątpliwa, i który może być zatrzymany za najmniejszą przeszkodą. Po naradzeniu z porucznikiem Walterem, cieślą i bosmanem, kapitan zdecydował się za pomocą lin przyciągnąć okręt. Na wszelki przypadek, gdyby to przedsięwzięcie nie udało się, kotwicę przymocowano w tyle, aby powrót mieć zabezpieczony; dwie drugie kotwice umieszczono na zewnątrz przesmyka, którego długość nie przechodzi dwustu stóp. Łańcuchy przyczepiono do wind, załoga wzięła się do dragów i o czwartej godzinie z wieczora Chancellor zaczyna się ruszać.

O godz. czwartej minut 23 przyptyw ma nastąpić a więc na dziesięć minut przedtem dociągnęliśmy okręt, jak można było najdalej, to jest dopóki przód pudła nie dotknął zapory.

Teraz więc Robert Kurtis, ażeby oprócz pracy wind zużytkować siłę wiatru, kazał ponieść żagle górne i dolne.

Stanowcza chwila nadeszła. Morze doszło najwyższej wysokości. Podróżni i załoga trzymają za dragi od wind, pp. Letourneur, Falsten i ja podpieramy z prawej strony. Kapitan stanął na wystawce z uwagą zwróconą na żagle, porucznik na przodzie, bosman przy rudlu.

Chancellor drgnął kilka razy, i wzdymające się, ale na szczęście zupełnie spokojne morze z łatwością go unosi.

– Razem bracia, woła Kurtis spokojnym i wzbudzającym zaufanie głosem, ostro i razem. Jazda!

Windy poruszone, słychać szcęk łańcuchów przyczepionych do otworów na przodzie okrętu będących. Wiatr także silniej dmie i maszty gną się pod jego powiewem. Przeszliśmy dwadzieścia stóp. Jeden z majtków zaśpiewał piosenkę, gardłowym wprawdzie głosem, ale rytm jej wybornie pomagał do ujednostajnienia poruszeń.

Dołożyliśmy siły, co tylko się dało, Chancellor drga. Próżne jednak starania, morze zaczyna odpływać. Nie przejdziemy.

Odtąd przekonaliśmy się że okręt nie przejdzie, nie można pozwolić ażeby choć chwilę pozostał oparty na zaporze jak huśtawka; przy znizeniu

wody, pękłby niezawodnie w samym środku. Zwinęliśmy więc natychmiast żagle i kotwica z tyłu zapuszczona, posłużyła nam do cofnięcia się. Nie mamy jednej chwili do stracenia, kręcą windami napowrót i po chwili straszliwej obawy, Chancellor zsunął się na pudle i powrócił do basenu, z którego jak z więzienia pragnął wydostać się.

- A więc kapitanie, zapytał bosman, co dalej robić, jakże przejdziemy.
- Niewiem jeszcze, odrzekł Kurtis, ale przejechać musimy.

## XXI.

*Od dnia 21 do 23 listopada.* Trzeba nam koniecznie, bez namysłu porzucić ten szczupły basen. Pogoda sprzyjająca nam przez cały listopad, grozi odmianą. Barometr opadł od rana, i bałwany zaczynają się kołysać na około Ham-Rock. Wysepka nie będzie mogła ostać się wiatrom i Chancellor zostałby zupełnie zdruzgotany.

Tegoż wieczora Robert Kurtis, Falsten, bosman, Daulas i ja zwiedziliśmy podstawę bazaltową. Jeden jest tylko sposób utorowania przejścia, t. j. drągami szturmować podstawę dziesięć stóp na szerokość a sześć na długość mającą. Obniżenie na ósm lub dziewięć cali wody i staranne opatrzenie kanału powinno wystarczyć Chancellorowi do wydobycia się na miejsce, gdzie wody stają się nadzwyczaj głębokie.

– Ależ ten bazalt ma twardość granitu, robi uwagę bosman, i praca będzie bardzo długa, tem bardziej, że nie będzie mogła być prowadzoną, jak dwie godziny dziennie przy odpływie morza.

– A więc nie tracimy ani chwili, odpowiedział Kurtis.

– Eh! kapitanie, odzywa się Daulas, będzie roboty na miesiąc! Czy nie byłoby możebnem wysadzić w powietrze te skały. Proch jest na brzegu.

– W zamalej ilości, odpowiedział bosman.

Położenie jest nadzwyczaj ważne. Miesiąc pracy? Ależ przed upływem miesiąca statek zostanie zniszczony przez morze!

– Mamy coś lepszego od prochu, odezwał się Falsten.

– Cóż takiego? zapytał Robert Kurtis, odwracając się do inżyniera.

– Pikrat potassu! odpowiedział Falsten.

Pikrat potassu! zabrany przez nieszczęśliwego Ruby. Materya

wybuchająca, która o mało nie wysadziła w powietrze okrętu, usunie przeszkodę. Dziura prześwidrowana w bazalcie, skruszy grzebień.

Pudło z pikratem, jak już mówiłem, złożone jest na rafie w miejscu pewnym. Opatrzność sama czuwała nad nami, i przeszkodziła nam wrzucić go w morze, po wydobyciu ze spodu okrętu.

Majtkowie poszli po drągi a Daulas pod przewodnictwem Falstena zaczyna dziurę wydrążyć w miejscu z którego skutek może być najpewniejszym. Wszystko zdaje się nam przepowiadać że dołek będzie skończony w nocy, że nazajutrz ze wschodem słońca, eksplozja zrobi pożądaną skutek i przejście będzie wolne. Wiadomo że kwas pikratowy jest produktem krystalicznym i gorzkim, wytworzonym z smoły i węgla kamiennego i przez połączenie się z potassem tworzy sól żółtą, zwaną pikratem potassu. Siła wybuchowa tej materii jest niższą niżeli bawełny strzelniczej i dynamitu, ale wyższą od prochu zwyczajnego. Co do zapalenia, to można z łatwością je wywołać uderzeniem gwałtownem, do czego użyjemy kapiszona.

Robota Daulasa przy pomocy ludzi całą noc była prowadzoną gorliwie, ale daleką była do końca za nadejściem dnia. Rzeczywiście, tylko podczas odpływu morza, co trwa zaledwie godzinę, można świdrować dołek; wypływa więc z tego że 4 odpływy są niezbędne, aby mu dać wymagalną głębokość.

29 listopada robota została nareszcie skończoną. Podstawa bazaltowa przedziurawiona dostatecznym otworem do pomieszczenia 12 funtów soli wybuchowej, co bezwzględnie ma być wykonane.

W chwili kładzenia pikratu do dołka Falsten robi uwagę, że lepiej byłoby go pomieszać z prochem. To by nam pozwoliło podpalić minę lontem zamiast kapiszonem, bo wtedy wybuch trzeba by spowodować uderzeniem, a za pomocą lontu będzie daleko łatwiej. Zresztą jest dowiedzionem że użycie jednoczesne pikratu i prochu, lepszem jest do spowodowania wybuchu skał twardych. Pikrat z natury daleko gwałtowniejszy, ułatwi wybuch prochu, który powolniejszy do zapalenia posiada za to większą objętość i rozsądzi nakoniec bazalt.

Inżynier Falsten nie często mówi, ale jeśli mówi, to trzeba przyznać że dobrze. Jego radę wykonano. Zmieszano obie substancje, i po przeprowadzeniu knota aż do środka dziury, wsypuję tę mieszaninę która ją szczelnie wypełnia.

Chancellor jest o tyle oddalony od miny, że eksplozji nie potrzebuje się obawiać. Mimo to przez ostrożność, passażerowie schronili się na koniec skały do groty, i pani Kear musiała opuścić okręt. Następnie Falsten podpaliwszy knot, przyłączył się do nas.

Eksplozja nastąpiła. Była głuchą i daleko mniej huczną niżeli można było się spodziewać, ale to jest zwyczajny skutek min wydrążonych głęboko. Pobiegliśmy ku zawadzie. Operacja udała się doskonale. Podstawa bazaltowa została zupełnie w pył obroconą, i mały kanał, który morze przebywające zaczyna wypełniać, znosi przeszkodę i daje przejście wolne.

Hurrah! ogólne wybuchło. Drzwi od więzienia otwarte, i więźnie mogą uciekać!

Za przyptywem morza Chancellor ciągniony na kotwicach, przebywa przesmyk i buja na wolnym morzu. Ale jeszcze cały dzień musi pozostać w bliskości wysepki, bo w warunkach jakich się znajduje nie może być kierowanym, niezbędnym jest zaopatrzenie się w balast, aby zabezpieczyć równowagę. Przez dwadzieścia cztery godzin załoga pracuje nad ładowaniem kamieni, i najmniej uszkodzonych pak bawełny.

Przez cały ten dzień pp. Letourneur, miss Herbey i ja zwiedzamy bazalty te wysepki, której zapewne nigdy już nie ujrzymy, a na której przebyliśmy trzy tygodnie. Nazwisko Chancellora, skały, data osadzenia, są artystycznie wyrżnięte na jednej ścianie groty, i ostatnie pożegnanie jest powiedziane tym skałom, na których pobyt są tacy co zaliczą do najpiękniejszych dni swego życia.

Nakoniec 24 listopada z rannym przyptywem Chancellor rozpuścił dolne żagle, żagiel wielkiego masztu i rei na bocianiem gnieździe a w dwie godziny potem utraciliśmy z oczu ostatni szczyt Ham-Rock.

## XXII.

*Od 24 października do 1 grudnia.* Płyniemy więc na okręcie którego trwałość jest podejrzaną, na szczęście jednak nie myślimy o długiej podróży. Mamy tylko 800 mil do przebycia. Jeżeli wiatr północno-wschodni utrzyma się przez parę dni, Chancellor popychany nim z łatwością dobieje brzegów Guyanny.

Żeglujemy na południo-zachód. Pierwsze dni przechodzą szczęśliwie. Kierunek wiatru ciągle jest dobry, ale Robert Kurtis nie chce rozwinąć wszystkich żagli, obawiając się aby zbyt szybkie płynienie nie spowodowało zepsucia jakiego ze świeżo zreperowanych otworów.

Smutna bo to i przeprawa, jeżeli się nie ma zaufania do statku, który nas wiezie. Oprócz tego zamiast iść naprzód wracamy się. To też każdy pograża się w myślach, i na pokładzie brak tego ożywienia jakie zwykle panuje w czasie szybkiej i pewnej żeglugi.

29-go wiatr wykręcił się i więcej od północy, nie można więc trzymać poprzednio nadanego kierunku; musieliśmy zorientować żagle z linami z prawej strony, stąd dosyć silne pochylenie okrętu, którego aby uniknąć, jako zbyt niebezpiecznego dla Chancellora, Kurtis rozkazał zwinąć żagle bocianiego gniazda.

Podzieliliśmy najzupełniej zdanie kapitana, albowiem nie tyle nam idzie o szybką jak o pewną i bezpieczną przeprawę.

Noc z 29 na 30 była ciemna i mglista, wiatr coraz silniejszy pchał nas ku północo-wschodowi. Pasażerowie po większej części siedzą w kajutach, ale Kurtis i cała załoga ciągle zostaje na pokładzie. Okręt zawsze mocno się pochyla, pomimo zwinięcia wszystkich żagli górnych. Nad ranem około drugiej chciałem zejść do kajuty, kiedy jeden z majtków Burke, znajdujący się pod pokładem wybiegł żywo i zawołał: – Dwie stóp wody.

Kurtis i bosman szybko zbiegli po schodkach i przekonali się że smutna nowina była na nieszczęście zupełnie prawdziwą.

Czy otwór pomimo wszelkich starań znów się odkrył, czy też spojenia źle zmcowane rozstały się, nie wiemy; dość, że woda szybko przybiera na dnie okrętu.

Kapitan powróciwszy na okręt puścił z wiatrem oczekując dnia. Z pierwszym brzaskiem jutrzeńki sondowanie wykazało trzy stopy wody.

Spojrzałem na Kurtisa, zbladł ale nie stracił ani na chwilę zimnej krwi. Podróżni wybiegli na pokład; wyjawiono im całą prawdę, nie było bowiem racyi ukrywania.

– Czy nowe nieszczęście jakie? zapytał Letourneur.

– To było do przewidzenia, odpowiedziałem, ale nie daleko już jesteśmy od lądu i mam nadzieję, że nic złego nas nie spotka.

– Oby Bóg pana wysłuchał! Rzekł p. Letourneur.

– Alboż to Bóg jest na okręcie? zapytał Falsten.

– Jest panie, odezwała się miss Herbey.

Inżynier zamilkł przed tą odpowiedzią pełną wiary, która nie rezonuje.

Robert Kurtis wydał rozkaz pompowania. Załoga wzięła się do roboty z większą rezygnacją aniżeli zapalem; majtkowie wiedząc że w pompach cała ich nadzieja, na przemian zmieniali się przy drągach.

Podczas dnia znowu sądowano okręt i przekonano się że woda przybiera wolno ale bezustannie, wewnątrz okrętu. Na nieszczęście pompy przez częste używanie psują się często, i trzeba bezustannie je reperować. Czasem także zdarza się, że bywają zatkane przez popiół albo szmaty bawełny, stąd więc czyszczenie musi się powtarzać parę razy ze stratą pracy wykonanej.

Nazajutrz przekonano się, że wody jest na pięć stóp. Jeśliby więc zaszła jaka przeszkoda w pompowaniu, okręt napełniłby się. Było by to już tylko kwestią czasu i to bardzo krótkiego. Linia zanurzenia Chancellora wynosi już stopę, kołysanie jest coraz trudniejsze, bo bardzo ciężko okrętowi wznosić się



na falach. Uważam że kapitan Kurtis marszczy brwi za każdym raportem, zdany przez bosmana lub porucznika, to jest złą wróżbą.

Pompowanie trwało cały dzień i całą noc. Morze jeszcze nas zwyciężyło. Załoga jest wycieńczoną. Oznaki zniechęcenia rozszerzają się między ludźmi. Bosman i porucznik dają dobry przykład i pasażerowie zajmują miejsca przy pompach.

Położenie już nie jest to jakie było gdy Chancellor osiadł na lądzie stałym Ham-Rock. Statek nasz buja teraz nad przepaścią, która go lada chwila może pochłonać.

### XXIII.

*Od 2 do 3 grudnia.* Przez 24 godzin jeszcze walczymy z energią i przeszkadzamy wzrostowi wody wewnątrz okrętu; ale widocznym jest że wkrótce nadejdzie chwila kiedy pompy nie wystarczą nawet na wyrzucanie ilości wody równej przybierającej. Przez ten dzień kapitan Kurtis który ani chwili nie spoczywa, zwiedza osobiście dno okrętu, cieśla, bosman i ja towarzyszymy mu.

Odrzucono kilka pak bawełny, poczem usłyszeliśmy wyraźnie gulgotanie wody. Czy otwór znów się zepsuł, czy cały kadłub zrujnował się do reszty? Nie wiemy. Na wszelki wypadek Robert Kurtis, ażeby uczynić ściany okrętu mniej przemakającymi, kazał cały tył okrętu obciągnąć płótnem smołowcowem. W ten sposób może się uda przerwać napływ wody z zewnątrz. Przyczem natychmiast wypompowalibyśmy wodę i ulżyli okrętowi. Nie tak łatwo jednak dokonać jak się zdawało. Potrzeba najpierw zmniejszyć szybkość okrętu, następnie zaś płócienne szmaty przytrzymywane na linach podciągnięto pod spód okrętu, aż do miejsca gdzie poprzednio był otwór, tak że cały kadłub Chancellora zawinięto jak w powijaki.

Po skutecznieniu tej roboty pompy znów zagrały i wzięliśmy się z całym zapałem do roboty. Woda wpływa wprawdzie do okrętu jednak w daleko mniejszej ilości i nad wieczorem przekonaliśmy się że ubyło kilka cali wody. Kilki cali wszystkiego! ale i to wygrana. Pompy wyrzucają wody więcej aniżeli jej przybywa, na chwilę więc nie pozwalamy sobie spocząć. Wiatr daleko silniej dmie tej nocy, pomimo że Kurtis kazał rozpuścić wszystkie żagle; znając doskonale stan okrętu, chce jak najprędzej przybić do lądu. W razie spotkania się w drodze z jakimkolwiek okrętem, ma zamiar wywiesić sygnały trwogi i przesadzić podróżnych, załogę, sam zaś nie ustąpi z Chancellora aż do ostatniej chwili.

Wszystkie te jednak plany nie miały się spełnić. W nocy, pod ciśnieniem zewnętrznym płótno ustąpiło i nazajutrz 3 grudnia, bosman po sondowaniu,

nie mógł wstrzymać przekleństwa i wykrzyku: – Jeszcze sześć stóp wody na spodzie!

Na nieszczęście tak było w samej rzeczy!

Okręt znów się napełnia, widocznie zagłębia się i linia wodna podnosi się coraz wyżej.

Pomimo tego, pompy znów nie ustają na chwilę, wyczerpując ostatek sił naszych. Ręce mdleją, krew płynie z za paznokci, wszystkie jednak wysiłki marnują się nadaremnie, woda bezustanku przybiera.

Robert Kurtis ustawił nas rzędem i z otworu wielkiej kłapy wydobywamy wodę kubłami, wylewając potem za pokład. Wszystko na próżno! O wpół do dziesiątej rano, znów sprawdzono głębokość, i przekonaliśmy się że wody przybyło na spodzie. Rozpacz opanowała niektórych majtków.

Kurtis zachęca ich do pracy – odmawiają.

Jeden z nich doradca i przewodnik buntu, człowiek złośliwy o którym wyżej już wspomniałem nazywa się Owen.

Lat około czterdziestu, z brodą rudawą, twarz zresztą bez zarostu, z wargami ściętymi, oczy ma szare z czerwonymi powiekami, nos prosty, uszy odstające, czoło pokryte zmarszczkami.

On to najpierwszy zszedł z stanowiska. Kilku towarzyszy naśladowało go; pomiędzy innymi zauważyłem kucharza lynkstropa, także ladaco.

Na rozkaz Kurtis zachęcającego do wzięcia się znów do pracy, Owen odpowiedział stanowczo odmową.

Kapitan powtórzył rozkaz.

Owen powtórnie odmówił.

Kurtis zbliżył się do nieposłusznego majtka.

– Nie radzę panu dotknąć się do mnie! zimnym głosem powiedział Owen i usiadł na krawędzi okrętu.

Wtedy Kurtis wszedł do kajuty i za chwilę powrócił z nabitym rewolwerem.

Owen przez chwilę popatrzył na kapitana, potem zaś na znak lynkstropa, znów powrócił do roboty.

## XXIV.

4 grudnia. Pierwsze oznaki buntu znikły pod energią i determinacją kapitana. Czy na przyszłość tak samo się powiedzie? Należy mieć nadzieję, bo brak posłuszeństwa pomiędzy załogą, byłby dla nas straszliwym ciosem.

W nocy pompy przestały działać.

Okręt coraz ciężiej porusza się, a że zbyt trudno mu jest unosić się na falach, bałwany więc zalewają pokład i przez klapy dostają się na spód. Nowy przybytek wody.

Położenie stało się równie groźnym jak pod koniec pożaru. Podróżni i załoga czują że okręt zaczyna im uciekać spod nóg. Widzą że woda powoli lecz ciągle wznosi się, grożąc im zarówno jak płomienie.

Załoga zresztą w skutek groźb Kurtisa pracuje ciągle i chcąc nie chcąc majtkowie energicznie walczą, sił jednak zaczyna im już brakować.

Ci którzy wydobywają kubły muszą uciekać z pod pokładu, gdzie po pas pogrążeni w wodzie, w każdej chwili mogą być zalani.

Pozostał ostatni środek i nazajutrz po naradzie z porucznikiem i bosmanem, Kurtis postanowił opuścić okręt, a że łódka nie byłaby w stanie pomieścić nas wszystkich, postanowiono natychmiast zbudować tratwę.

Załoga ma pracować przy pompach aż do odpłynięcia. Cieśla Daulas dostał zlecenie bezzwłocznie przystąpić do roboty.

Uradzono że tratwa będzie zbudowaną z zapasowych rei i desek poprzednio przyrzniętych podług miary.

Tym sposobem, po zbitiu ich będziemy mieli silne rusztowanie, na którym spocznie pokład tratwy długiej na 40 a szerokiej około 20 do 25 stóp.

Kurtis, Falsten, cieśla i dziesięciu majtków natychmiast wzięli się do pił i toporów, którymi przyrządzają reje i deski.

Reszta załogi wraz z podróżnymi ciągle pracuje przy pompach. Obok mnie stoi Andrzej, na którego ojciec pogląda z głębokim smutkiem. Co stanie się z biednym chłopcem, jeśli będzie musiał walczyć z falami w warunkach z których najsilniej zbudowanemu mężczyźnie, trudno byłoby uratować się.

W każdym razie będziemy we dwóch około niego i nie opuścimy w danej chwili.

Przed panią Kear, która w skutek ciągłej senności, straciła prawie władzę myślenia, ukryto cały ogrom niebezpieczeństwa.

Panna Herbey wychodzi na pokład, ale tylko na kilka minut. Poblądła z zmęczenia, ale sił nie utraciła wcale. Zaleciłem jej, ażeby na wszelki wypadek była gotową.

– Jestem przygotowaną na wszystko, odrzekła mi śmiała dziewczyna, poczem wróciła do pani Kear.

Wzrok Andrzeja Letourneur pobiegł za nią, i wyraz głębokiego smutku wyrzył się na jego twarzy.

Okolo ósmej wieczorem ukończono prawie wiązanie tratwy. Spuszczono próżne i mocno zatkane beczułki, których przeznaczeniem jest, ażeby silnie przymocowane do tratwy, łatwiej ją unosiły na falach.

W dwie godziny później rozległy się krzyki w kajucie z której wybiegł p. Kear wołając: Toniemy! Okręt się topi! W chwilę potem p. Herbey i Falsten wynieśli omdlałą panię Kear.

Rozpaczliwe wołania ciągle się powtarzają, zamęt na okręcie nie do opisania.

Robert Kurtis wbiegł do kajuty, wynosząc mapkę, sextant i busolę.

Załoga rzuciła się do tratwy, na której jednak dla braku pokładu nie można szukać ratunku.

Trudno opisać wszystkie myśli które przebiegły przez moją głowę, trudno wypowiedzieć to szybkie jasnowidzenie, w którym ujrzałem całe życie moje!

Zdawało się, że całe moje istnienie zamknęło się w tej ostatniej chwili! Czułem usuwające się wraz zemną deski okrętu. Ujrzałem wznoszącą się wodę, jak gdyby ocean rośł podemną.

Kilku majtków schroniło się na maszty z rozpaczliwymi okrzykami. Chciałem iść za ich przykładem.

Czyjaś ręka mnie zatrzymała. To p. Letourneur z oczami pełnymi łez, wskazał mi swojego syna.

– Tak, zawołałem ściskając go konwulsyjnie za rękę. We dwóch ocalimy go.

Zanim zdążyłem to powiedzieć, Kurtis pochwycił Andrzeja unosząc go ku bocianiemu gniazdu, kiedy Chancellor zwykle dotąd szybko popychany wiatrem, zatrzymał się nagle. Uczuliśmy silne wstrząśnienie.

Okręt pogrążył się w morze! Woda zalewa mi kolana. Instynktownie pochwyciłem za jakąś linę... Raptem jednak pogrążenie wstrzymało się, i Chancellor którego pokład zatopił się od dwie stopy pod poziom morza, stanął

nieruchomy.

## XXV.

*Wnocy z 4 na 5 grudnia.* Robert Kurtis przebiegłszy zalany pokład zaniósł Andrzeja na bocianie gniazdo, gdzie i p. Letourneur także wdrapał się wraz ze mną.

Spojrzałem na około siebie, o ile pozwoliła mi noc dość jasna. Kapitan powrócił na swoje stanowisko na wystawce. Na samym tyle statku pod wzniesieniem dotąd niezatopionem, widać w cieniu pana Kear, jego żonę, pannę Herbey i Falstena. Na krańcu przednim porucznik i bosman, reszta załogi pouczepiana na masztach.

Andrzej Letourneur wgramolił na najwyższą platformę bocianiego gniazda. Biedny ojciec musiał mu ustawiać nogę na każdym stopniu drabiny sznurowej, pomimo kołysania której, dostał się na górę bez przypadku.

Nie ma jednak środka przekonania pani Kear, która za nic w świecie nie chce ustąpić z wystawki, narażając się na porwanie przez lada silniejszy bałwan. Panna Herbey nie chciała rozstać się z swoją panią i pozostała przy niej.

Najpierwszem staraniem Kurtisa jak tylko okręt zaprzestał się pogrążyć było rozpuszczenie wszystkich żagli, potem zaś zrzucano reje przy masztach ażeby tym sposobem zapewnić równowagę okrętu; zdaje się że okręt nie przechylił się na żadną stronę, może jednak co chwila iść na dno. Zbliżyłem się do Kurtisa zapytując, co myśli o tem.

– Czy ja mogę wiedzieć, odrzekł zupełnie spokojnym głosem. To zależy od stanu morza. To pewno, że w tej chwili okręt stanął w równowadze, którą jednak za chwilę utracić może!

– Czy Chancellor może płynąć teraz, mając dwie stóp wody na pokładzie?

– Nie panie Kazallon, może jednak posuwać się bokiem pod działaniem prądów i wiatru, i jeżeli utrzyma się w ten sposób przez parę dni, to dowiezie nas do lądu. Oprócz tego, jako ostatni ratunek mamy tratwę, którą za kilka godzin ukończę; równo z świtem odpłyniemy.

– Więc masz pan jeszcze jakąkolwiek nadzieję?

– A pocóż się z nią rozstawać, panie Kazallon, nawet w najcięższych okolicznościach. Mogę pana zapewnić że jeżeli mamy przeciwko sobie 99

szans zagłady, pozostaje nam jeszcze jedna szansa wyratowania się. Jeżeli się nie mylę, to Chancellor w połowie zatopiony, znajduje się w tych samych warunkach, w jakich w 1795 r. uratowano statek trzymasztowy *Junona*. Przez 20 dni wisiał on pomiędzy dwoma wodami. Podróżni i załoga schronili się na wierzchołki masztów, i kiedy nareszcie ukazała się ziemia, wszyscy którzy wytrzymali głód i zmęczenie, ocalili się na łodziach rybackich! Jest to fakt zbyt znany w dziejach żeglarstwa, ażebyś pan także nie przypominał go sobie! Dlatego więc *Chancellor* nie ma być równie szczęśliwym jak *Juno*.

Może byłoby wiele do odpowiedzenia kapitanowi, ale ze wszystkiego okazuje się że Kurtis nie utracił dotąd nadziei.

Ponieważ jednak równowaga okrętu w każdej chwili może się zachwiać, lepiej więc jak najprędzej opuścić Chancellora; uradzono więc ażeby nazajutrz, jak tylko cieśla ukończy tratwę, natychmiast odpływać.

Wystawcie sobie teraz rozpacz załogi, kiedy około północy Daulas spostrzegł, że rusztowanie tratwy zniknęło! Liny powstrzymujące go pękły przy zatonięciu okrętu i wiązanie odpłynęło zapewne już przed godziną przynajmniej!

Majtkowie dowiedziawszy się o tem nowem nieszczęściu, zaczęli rozpaczliwie wołać: Ścinać maszty! Spuszczają maszty w morze!

I nie zastanawiając się nad niewłaściwością postępowania chcą rąbać maszty: z nich zbijać tratwę.

Ale Robert Kurtis zapobiegł temu.

– Na miejscu chłopcy, zawołał. Niech nikt nie waży się przeciąć chociażby postronka bez mojego rozkazu. Chancellor jest w równowadzie! Chancellor nie zatoni tak prędko!

Chcąc niechcąc usłuchali go, i każdy wrócił na wskazane miejsce.

Jak tylko rozwidniło się Robert Kurtis wspiął się na szczyt okrętu, troskliwie rozglądając się po morzu na około okrętu i szukając okiem tratwy.

Próżne usiłowania! Zniknęła. Spuszczenie łódki dla poszukiwań jest niepodobieństwem z powodu silnego kołysania się bałwanów. Zresztą do niczego nie mogłoby doprowadzić.

Trzeba więc natychmiast przystąpić do budowania nowej tratwy.

Pani Kear zdecydowała się nareszcie ustąpić z wystawki i dostała się na pokład bocianiego gniazda, gdzie upadła bez zmysłów.

Pan Kear razem z Silasem Huntley są na przednim maszcie. Obok pani Kear i panny Herbey obrali sobie miejsce Letourneuwowie. Naturalnie jest im zbyt ciasno na platformie mającej zaledwie 12 stóp średnicy. Pomiędzy bocianiami gniazdami przeciągnięto druty zabezpieczające od zbytowego kołysania się.

Kurtis kazał rozciągnąć po nad platformą kawał płótna, przez co zabezpieczył kobiety od skwaru słońca.

Na szczęście schwytano kilka baryłek pływających pomiędzy masztami okrętu po zatonięciu. Jest w nich mięso wędzone, suchary i woda słodka stanowią cały nasz zapas.

## XXVI.

*5 grudnia.* Dzień gorący. Grudzień pod szesnastym stopniem jest najpiękniejszym miesiącem lata.

Jeżeli wiatr nie ochłodzi promieni słońca, możemy spodziewać się szalonych upałów.

Morze jest ciągle wzburzone. Pudło w 3/4 zatopione rozbija bałwany jak skała. Rozprysnięte bałwany zalewają nas pianą jak gęstym deszczem.

Z Chancellora widać ponad morzem: trzy maszty z gniazdami, mały maszt przedni na którym zawieszono łódkę, chcąc ją uchronić od porwania przez fale, dalej wystawkę i czub przedni połączone wążką ramką poręczy.

Pokład zupełnie zatopiony.

Komunikacja pomiędzy gniazdami stała się bardzo trudną. Majtkowie tylko pnąc się po linach, potrafią przechodzić z jednego na drugie. Niżej pomiędzy masztami morze szumi jak na rafie i rozrywa powoli ściany okrętu, z których deski mają posłużyć na zbudowanie tratwy.

Dla podróżnych którzy schronili się na platformy, jest to okropne widowisko; słyszeć ten ocean ryczący, widzieć go huczącym o kilka stóp pod nogami.

Zresztą lepiej nie zastanawiać się nad tem, bo otchłań tak ciągnie ku sobie, tak kusi...

Pomimo tego załoga, bez chwili odpoczynku pracuje nad budową drugiej tratwy. Użyto do tego wszystkich desek, masztów górnych i pod kierunkiem Kurtisa z całą skrupulatnością prowadzą robotę.

Chancellor trzyma się w zawieszaniu i nie powinien zatonać; zresztą kapitan sądzi że tratwę należy zbudować trwale, o ile można jak najtrwalej.

Przeprawa będzie długa, bo najbliższy brzeg to jest Kajenna znajduje się o paręset mil od nas. Lepiej więc przebyć jeden dzień dłużej na masztach

i zbudować statek dający zupełną pewność. Wszyscy zgodziliśmy się na to.

Majtkowie znów nabrali ducha i robota idzie ostro.

Jeden tylko majtek stary, mający lat sześćdziesiąt, z brodą i włosami osiwiatymi na pokładach, opiera się przeciw opuszczeniu Chancellora. Jest to Irlandczyk nazwiskiem O'Ready.

Właśnie byłem na wystawce kiedy i on przyszedł.

– Proszę pana, odezwał się żując najspokojniej prymkę, koledzy są tego zdania żeby opuścić okręt, a ja zaś wcale nie mam ochoty. Dziewięć razy rozbiłem się, to jest cztery razy na pełnym morzu i pięć razy nad brzegami...

Takie jest moje rzemiosło... Ja się znam na tem doskonale... Otóż, niech mnie Bóg ciężko skarże, zawsze widziałem że ci którzy szukali ocalenia na tratwach lub w łodziach marnie ginęli... Dopóki okręt płynie, nie powinno się z niego uciekać. Więcej nic nie mam do powiedzenia!

Wyrzekłszy te słowa stary Irlandczyk, któremu zapewne szło o to tylko, ażeby dla spokojności sumienia powiedział co myśli, znów zamilkł zapewne na bardzo długi czas, bo znają go z małomówności posuniętej do nieprawdopodobieństwa.

Okolo trzeciej po południu, zauważyłem że Kear i Huntley, żywo rozprawiają na przednim maszcie. Nafciarz silnie namawia na coś ex-kapitana, ten zaś zdaje się opierać i robić zarzuty, rozglądając się po niebie, po morzu, kiwając głową okazuje wątpliwość.

Nareszcie po godzinnej naradzie, Silas Huntley spuścił się po linach na pokład i wszedłszy pomiędzy majtków, zniknął mi z oczów.

Nie przywiązując do tego żadnej wagi, poszedłem na platformę, gdzie rozmawialiśmy przez kilka godzin z pp. Letourneur, Falstenem, panną Herbey.

Okolo piątej zjedliśmy razem obiad składający się z sucharów, mięsa suszonego, i po półszklanki wody na osobę.

Pani Kear, złamana cierpieniem nic nie jó. Panna Herbey chcąc jej sprawić jakąś ulgę zwilża od czasu do czasu jej pałające usta.

Nieszczęśliwa kobieta mocno cierpi i wątpię ażeby długo jeszcze wytrzymała. Mąż ani razu nie dowiadywał się o nią. Tymczasem okolo szóstej posądziłem go o to, że nareszcie uczciwość przemówiła w tem sercu samolubnem. Pan Kear zawołał na majtków stojących na przodzie okrętu, prosząc ażeby mu pomogli zejść z bocianiego gniazda. Czyżby chciał zobaczyć się z żoną będącą na tylnym maszcie?

Majtkowie najprzód udali że nie słyszą. P. Kear nalega silniej i obiecuje zapłacić im za udzieloną sobie pomoc.

Natychmiast dwóch majtków, Burke, Sandon, skoczyli na poręcz,



dobiegli do tylnego masztu i wspięli się na gniazdo. Po przybyciu jednak na miejsce zaczęli się targować. Widocznie żądają zbyt wiele, a Kear zbyt mało daje.

Przez chwilę sądziłem że pozostawią go na maszcie. Zgodzili się jednak i p. Kear dobył z trzosa paczkę dolarów oddając jednemu z majtków, który uważnie przeliczył summę i jak sądzę, musiał schować do kieszeni najmniej sto dolarów.

Idzie oto żeby spuścić pana Kear z masztu naprzód okrętu. Burke i Sundon okręcili go powrozem, następnie przełożyli linę przez drąg i spuścili go na dół jak skrzynię, nie bez wielu figłów i szturchańców, które szczerze rozśmieszyły całą załogę.

Omyliłem się. Kear nie miał zupełnie zamiaru zobaczyć się z żoną będącą na platformie tylnej. Pozostał wraz z Silasem Huntly na przodzie okrętu. Wkrótce potem straciłem ich z oczów.

Noc zapadła, wiatr uspokoił się, ale morze jest ciągle wzburzone. Księżyc który wszedł około czwartej, niekiedy ukazuje się w przerwach pomiędzy chmurami, których czerwony odblask zwiastuje na jutro silny wiatr. Oby nieba dały, ażeby ten wiatr dał od północo-wschodu i popychał nas wciąż ku ziemi. Najmniejsza zmiana w kierunku byłaby dla nas szkodliwą, albowiem tratwa może płynąć tylko z wiatrem!

Robert Kurtis wszedł na platformę około ósmej. Widocznie stan nieba napędza go niepokojem i chce odgadnąć co będzie jutro.

Po półgodzinnej obserwacji, zanim zszedł na dół uścisnął mnie za rękę w milczeniu i powrócił na wystawkę.

Nadaremnie starałem się usunąć na wąskiej przestrzeni dla mnie zachowanej na platformie; złe przeczucia opanowały mną. Niepokoi mnie cisza w powietrzu, które jest zbyt spokojne. Niekiedy tylko powiew wiatru prześlizgnie się po linach wydobywając z nich metaliczne dźwięki. Oprócz tego czuć coś na morzu. Silnie rozkołysane buja się jak gdyby pod wrażeniem odległej burzy. Około północy obłoki na chwilę rozsunęły się przepuszczając blask księżyca, i bałwany odbiły żywe jego światło, jak gdyby z otchłani rozlewając blask po falach.

Podniosłem się rozglądając na około. Dziwna rzecz, na chwilę zdawało się ujrzałem ciemny punkcik kołyszący się w oddali na wodzie. Nie może to być skała, bo widocznie poddaje się działaniu fali. Cóżby to było takiego?

Potem księżyc znów zniknął; ciemność głęboka otoczyła nas i usnąłem przytulony do masztu.

## XXVII.

6 *grudnia*. Przespałem kilka godzin. O czwartej zbudził mnie świst wiatru i usłyszałem głos Roberta Kurtis, rozlegający się wśród szumu fal wstrząsających masztami. Powstałem, i silnie trzymając się za druty chcę poznać co się dzieje naokoło i podemną. Pośród ciemności słychać ryczące morze, wielkie szmaty białej piany przechodzą pomiędzy masztami silnie kołyszącymi się w skutek bujania się wody. Dwa czarne cienie t. j. Kurtis i bosman poruszają się na białawym tle morza. Głos ich tłumiony zaledwie dobiega mnie. W tej chwili jeden z majtków wysłany przez kapitana dla przymocowania liny przeszedł około mnie.

– Co się stało? zapytałem.

– Wiatr się wykręcił...

Następnie dodał kilka słów których nie dosłyszałem wyraźnie; zdaje się jednak że powiedział pod kątem prostym.

Pod kątem prostym, ależ w takim razie wiatr z północno-wschodniego zmienił się na południowo-zachodni! Przeczucia moje nie omyliły mnie! Wiatr nas popycha na pełna morze!

Wkrótce potem dzień się zrobił. Wiatr nie wykręcił się na odwrót, ale, co równie jest smutne dla nas dmie od południo-wschodu, oddalając nas, tym sposobem od ziemi. Oprócz tego na pokładzie jest już pięć stóp wody i poręcze zniknęły zupełnie. Podczas nocy okręt pograżył się, tak że wzniesienie na przodzie i wystawka są zupełnie położone na równi z wodą bezustanku je zalewającą. Pod wiatrem Robert Kurtis i załoga pracują nad ukończeniem tratwy, co jednak z wolna postępuje z powodu gwałtowności fali; trzeba największą postępować ostrożnością, ażeby związanie nie rozpadło się, zanim go silnie zmocują. Panowie Letourneur stoją obok mnie i ojciec podtrzymuje syna chromiącego, przeciwko silnym kołysaniom.

– Ależ to jaskółcze gniazdo zaraz się złamie, zawołał pan Letourneur usłyszawszy trzeszczenie wąskiej platformy na której stojemy. Panna Herbey podniosła się na te słowa i wskazując panią Kear leżącą u jej nóg zapytała:

– Cóż mamy teraz robić?

– Trzeba zostać tu gdzie jesteśmy. Panno Herbey, dodał Andrzej Letourneur, to nasze najpewniejsze schronienie, nie lękaj się pani.

– Nie lękam się o siebie, odpowiedziała dziewczyna spokojnym głosem,

ale o tych, którzy dbają o życie!

O ósmej bosman krzyknął na załogę:

– Hola tam na przodzie.

– Słucham pana, odrzekł któryś z majtków zdaje mi się że O'Reay.

– Czy macie łódkę?

– Nie mamy.

– A więc ją skradziono.

Rzeczywiście nie ma już łódki, która dotychczas wisała przy przednim maszcie. Jednocześnie przekonano się, że zniknął pan Kear, Silas Huntly i trzech majtków, z których jeden Szkot a dwóch Anglików.

Teraz zrozumiałem co było przedmiotem rozmowy pomiędzy panem Kear i Silasem. Obawiając się że Chancellor utonie zanim dokończą tratwę, postanowili uciec i za pomocą przekupstwa nakłonili trzech majtków do skradzenia łódki. Wiem także co znaczy punkt czarny widziany przezemnie w nocy. Nędznik opuścił żonę. Niegodny kapitan opuścił okręt! Ukradli nam łódkę może ostatnią nadzieję ratunku.

– Pięciu ocalonych, rzekł bosman.

– Pięciu nieboszczyków, odpowiedział stary Irlandczyk, którego zdanie jest zdaje się bardzo prawdopodobne ze względu na wzburzenie morza. Jest nas więc na okręcie 22 osób. Wielu z nas jeszcze ubędzie?

Załoga dowiedziawszy się o tej podłej zdradzie zarzuciła zbiegów gradem przekleństw. Gdyby przypadkiem wrócili na okręt, ciężko by odpokutowali za swoją zbrodnię. Zaleciłem ukryć przed panią Kear ucieczkę jej męża. Nieszczęśliwa kobieta trawiona ciągłą gorączką jest prawie bez zmysłów. Na całą jej chorobę nie mamy najmniejszego środka, bo w czasie zatonięcia okrętu nie mogliśmy ocalić pudła z lekarstwami. Cóż z resztą pomocą lekarstwa w warunkach ciągłej trwogi i niepokoju w jakim się znajduje.

## XXVIII.

6 grudnia (dalszy ciąg). Chancellor nie utrzymuje już równowagi między dwiema warstwami wody. Prawdopodobnie pudło psuje się coraz więcej i okręt pogrąża się widocznie.

Na szczęście przed wieczorem skończą tratwę, na której się pomieścimy jeżeli tylko Kurtis nie będzie uważał za stosowne odłożyć na jutro odpłynięcia z okrętu. Wiązanie silnie zbudowano. Długie sztuki drzewa, silnie związane postronkami a że wzajemnie pomiędzy sobą się krzyżują, całość więc wznosi się na dwie stopy nad morzem. Co do pokładu, zbito go z desek pomostu zerwanego przez fale. Po południu przeniesiono na tratwę wszystko co dało się ocalić żywności i żagłów – instrumenta i narzędzia ciesielskie. Trzeba się spieszyć albowiem w tej chwili już bocianie gniazdo jest wzniesione zaledwie o 10 stóp nad morze, z przedniego zaś maszta widać tylko sam wierzchołek z ukosa sterczący po nad fale. Jutro zapewne wybijie ostatnia godzina Chancellora! Muszę teraz skreślić stan moralny w jakim się znajdujemy. Trudno wypowiedzieć co się dzieje ze mną. Zdaje mi się że jest to raczej najzupełniejsza obojętność niż rezygnacja. Pan Letourneur żyje tylko swoim synem, ten zaś myśli tylko o ojcu, Andrzej okazuje poddanie się odważne i chrześcijańskie, z którym porównać tylko mogę poddanie się miss Herbey. Falsten jest zawsze Falsten i bezustannie rysuje w swoim karnecie, pani Kear umiera powoli pomimo starań panny Herbey i moich. Co do majtków z tych kilku zaledwie zachowało spokój, reszta straciła zupełnie głowy. Niektórzy z nich są gotowi posunąć się do ostateczności. Trudno będzie wyżyć z nimi na wąskiej tratwie, jeżeli poddadzą się wpływowi Owena i Inyxtropa.

Porucznik Walter pomimo całych wysileń słabnie coraz więcej, tak że musiał zaprzestać pełnienia obowiązków służbowych. Za to Robert Kurtis i bosman to ludzie na twardo ukuci, że się posłużę tutaj wyrażeniem metarulgicznym, co ich doskonale maluje.

Okolo piątej wieczorem jedna z naszych towarzyszek przestała cierpieć. Pani Kear umarła, po bolesnem konaniu, może nawet nie rozumiejąc swego położenia. Westchnęła kilka razy i wszystko się skończyło. Aż do ostatniej chwili panna Herbey okazywała dla niej poświęcanie prowadziwie wzruszające.

Noc przeszła spokojnie; nad ranem ująłem zimną rękę zmarłej, której członki już stężały. Ciało jej nie może dłużej zostać na bocianiem gnieździe. Panna Herbey i ja zawińeliśmy nieboszczkę w jej ubranie, potem zmówiono parę modlitw za duszę nieszczęśliwej kobiety i pierwsza ofiara naszej nędzy została rzuconą do morza. W tej chwili jeden z ludzi stojących w bliskości wyrzekł te okropne słowa: „Otóż trup którego będziemy żałować!” Odwróciłem się, to Owen tak przemówił. Przez głowę moją przebiegła myśl że w samej rzeczy wkrótce zabraknie nam żywności.

## XXIX.

7 grudnia. Okręt ciągle się zagłębia. Morze podmywa już bocianie

gniazdo. Wystawka i przód okrętu skryły się pod falami, jeszcze tylko trzy maszty sterczą nad wodą. Tratwa już jest gotową i naładowaną wszystkim co się ocaliło. Na przodzie zbudowano rusztowanie na którym ma stanąć maszt, który podtrzymywać będą liny przywiązane ze wszystkich stron do pokładu. Żagiel małego masztu przyczepiony do rejów, może nas popchnie ku lądowi. Kto wie zresztą czy to czego nie mógł dokonać Chancellor, słaba klejonka z desek może dokona. Nadzieja jest tak silnie wkorzenioną w serca ludzkie, że spodziewam się jeszcze... Siódma rano... Mieliśmy już wsiadać, kiedy nagle okręt tak szybko zatonął, że cieśla i ludzie zajęci na tratwie musieli odciąć linę, ażeby nie być pogrążonemi w otchłań. Straszliwy niepokój nas ogarnął, albowiem właśnie w chwili kiedy okręt tonie, ostatnia deska naszego ratuunku oddała się od nas. Dwóch majtków i uczeń straciwszy zupełnie głowę rzucili się w morze, napróżno starając się walczyć z falami. Wkrótce ujrzeliśmy że nie dopłyną do tratwy i nie powrócą do okrętu, mając przeciwko sobie wiatr i fale. Robert Kurtis okręcił się sznurem i rzucił na ich ratunek. Próżne wysilenie! zanim zdołał do nich dopłynąć, trzech nieszczęśliwi których dotąd jeszcze widzę jak bronią się przeciwko zatonięciu, znikli wyciągając ku nam błagalne dłonie. Roberta Kurtis wyciągnięto zupełnie ogłuszonego przez uderzenia bałwanów. Daulas jednak i majtkowie przy pomocy długich sztuk drzewa którymi wiosłowali, starali się powrócić do okrętu. Po cało godzinnych trudach, po całej godzinie która nam się wiekiem wydała, po godzinie podczas której morze zaczęło zalewać platformy, tratwa oddalona zaledwie o dwa węzły przybiła do okrętu. Daulas rzucił linę bosmanowi i przywiązano ją do szczytków wielkiego masztu. Nie ma ani chwili do stracenia, albowiem gwałtowny wir formuje się nad zapadającym okrętem i kulki powietrza coraz więcej ukazują się na morzu.

– Wsiadać, wsiadać, zawołał Robert Kurtis.

Andrzej najprzód dopomógł pannie Herbey, potem sam dostał się szczęśliwie na pokład wraz z ojcem. W kilka chwil wszyscyśmy wsiedli, wszyscy, oprócz kapitana Kurtisa i starego majtki O'Ready. Robert Kurtis stojąc na bocianiem gnieździe nie chce porzucić okrętu, dopóki ten nie zniknie mu z oczów, jest to jego obowiązek i jego prawo. On kocha tego Chancellora, dowodzi nim, przykro mu więc rozstać się z nim. Irlandczyk został na przednim gnieździe.

– Siadaj stary, woła na niego kapitan.

A czy to już okręt tonie, zapytał uparciuch z najzimniejszą krwią w świecie.

– Przecie widzisz że lada chwila pójdzie do głębi.

– W takim razie trzeba już wsiąść, odrzekł O'Ready któremu woda do pasa już dostawała i kiwając smutnie głową wskoczył na tratwę. Robert Kurtis chwilę jeszcze pozostał na bocianiem gnieździe spoglądając na około, potem ostatni porzucił swój statek. Był już na to wielki czas. Odcięto linę i tratwa z wolna się oddaliła. Wszyscy spoglądaliśmy w stronę tonącego okrętu. Najprzód zniknął szczyt przedniego masztu, potem wierzchołek wielkiego masztu ukrył się pod wodę i wkrótce nic nie pozostało z pięknego Chancellora.

### XXX.

7 grudnia (ciąg dalszy). Nowy statek nas unosi; zatonać on nie może, bo sztuki drzewa z których jest zbudowany zawsze wypłyną na wierzch, ale czy się nie rozpadnie gubiąc rozbitków schronionych na nim.

Z dwudziestu ośmiu osób które zabrał Chancellor z Charleston, dziesięć już zginęło.

Jest nas ośmnaście na tratwie tworzącej nieforemny czworobok, mający około czterdziestu stóp długości na 20 szerokości.

Oto nazwiska wszystkich co ocalili z Chancellora.

PP. Letourneur, Falsten, miss Herbey, i ja z podróżnych; kapitan Robert Kurtis, porucznik Walter, bosman, gospodarz statku Hobbart, kucharz lynxtrop, cieśla Daulas; siedmiu majtków Austin, Owen, Wilson, O'Ready, Burke Sandon i Flaypol.

Czy niebo już dość nas doświadczyło, odkąd wypłynęliśmy – to jest przez 62 dni, czy ręka Pańska dość już zaciężyła nad nami.

Najwięcej nawet mający ufności nie mogą spodziewać się. Dajmy jednak pokój przyszłości i zajmując się tylko obecną chwilą, skreślimy dalej wypadki tego dramatu, w miarę jak się będą nasuwać. Znamy już podróżnych poznajmy teraz jakie pozostały środki zachowania życia.

Robert Kurtis zdołał wyładować tylko to z żywności co zostało uratowane z spiżarni, której większą część zniszczyła woda pochłaniając Chancellora.

Żywności tej jest bardzo mało, jeżeli zwrócimy uwagę na to że jest nas 18 osób i może długi czas upłynie zanim dostaniemy się do lądu.

Beczułka sucharów, beczułka mięsa, baryłka wódki i dwie beczki wody, oto wszystko co zdołano ocalić.

Od pierwszego więc dnia będą wydawane zmniejszone porcje. Ubrania żadnego nie mamy oprócz na sobie. Kilka żagli posłuży nam za przykrycie i schronienie.

Narzędzia cieśli Daulasa, sextant, mappa scyzoryki, romdelek, blaszany kubek, z którymi O'Ready, ani na chwilę nie rozstał się: o toż i wszystko co nam pozostało.

Wszystkie skrzynie złożone na pokładzie i przeznaczone do złożenia na

pierwszej tratwie, spłynęły podczas zanurzenia się okrętu, później zaś nie było już środka dostać się do wnętrza statku.

Tak się przedstawia nasze położenie. Jest ono ciężkie, ale nie rozpaczliwe. Na nieszczęście obawiam się czy nie zabraknie nam energii moralnej, jednocześnie z energią fizyczną.

Zresztą jest wielu pomiędzy nami, posiadających złe skłonności, których trudno będzie opanować.

### XXXI.

*Dalszy ciąg 7 grudnia.* Pierwszego dnia nic się nie przytrafiło. Dziś około ósmej rano, kapitan Kurtis zawołał pasażerów i załogę.

Moi panowie, rzekł, proszę dobrze uważać na to co powiem. Na tej tratwie wydaję rozkazy, tak samo jak na pokładzie Chancellora. Liczę więc że będą one wysłuchane przez każdego z was. Myślmy tylko o w ogólnym ratunku, trzymajmy się, a Bóg nam dopomoże.

Słowa te były dobrze przyjęte przez wszystkich.

Wietrzyk powiewający w tej chwili, którego kierunek kapitan oznaczył za pomocą busoli, pociąga od północy.

Jest to bardzo szczęśliwa dla nas okoliczność. Trzeba z niej spiesznie korzystać, i śpieszyć się ku lądowi Ameryki.

Daulas ustawił maszt, na podstawie poprzednio już przygotowanej i przymocował go dwoma podporami mocno przytwierdzonymi.

Żagle rozciągnięto, przybito, opatrzone liami i statek zaczął się szybko posuwać gnany siłą wiatru.

Zaledwie spełniono zadanie, cieśla wziął się do urządzenia steru, przy pomocy którego można byłoby utrzymać kierunek żądany. Kurtis i Falsten udzielili mu rad swoich. Po dwugodzinnej pracy umieszczono z tyłu tratwy coś w rodzaju rudła, bardzo podobnego do używanych przez Malajczyków. W czasie tej roboty Kurtis zrobił obserwacje niezbędne dla dokładnego oznaczenia szerokości i długości jeograficznej. O samem południu oznaczył wysokość słońca. Otrzymany punkt wskazał

15° 7, szerokości północnej.

49° 35, długości zachodniej względnie do Greenwich.



Punkt ten oznaczony na planie wskazał że jesteśmy odlegli o 650 mil na północo-wschód od Paramaribo, to jest od części najwięcej zbliżonej do kontynentu amerykańskiego, która stanowi wybrzeże Gujanny holenderskiej.

Nawet przy pomocy sprzyjającego wiatru nie możemy się spodziewać więcej upłynąć dziennie nad 10 do 12 mil na tak niedoskonałym przyrządzie jakim jest tratwa, która pod wiatr wcale pływać nie może. Tak więc podróż nasza przy najszcześniejszych okolicznościach wymaga dwóch miesięcy czasu, wyjąwszy przypadku, bardzo mało prawdopodobnego, gdybyśmy napotkali okręt, albowiem Atlantyk jest daleko rzadziej odwiedzany z tej strony aniżeli z północy lub z południa. Oprócz tego jeśli wiatr się zmieni i popchnie nas na wschód, to już nie dwa miesiące ale cztery lub sześć nim przybijemy do brzegu, a żywności zabraknie nam przed końcem trzeciego! Roztropność nakazuje nam spożywać tylko tyle, ile potrzeba do utrzymania życia. Kapitan Kurtis prosił nas o radę w tym względzie, wszyscy byliśmy jego zdania. Racje będą podzielone pomiędzy wszystkich bez różnicy, ażeby głód i pragnienie w połowie były zaspokojone. Kierowanie statkiem nie wymaga zbyt wielkich sił fizycznych. Co do wódki, będzie rozdzielana z największą oszczędnością bo mamy jej wszystkiego 6 kwart, nikomu nie wolno dotknąć baryłki bez pozwolenia kapitana. Co dzień mamy dostawać po dziesięć łutów mięsa i dziesięć łutów sucharów na osobę. Jest to bardzo mało, jednak zważając na to że jest nas 18 osób do żywienia, potrzeba około 6 funtów dziennie t. j. na 3 miesiące blisko 600 funtów. Cały nasz zapas zaledwie dochodzi do tej cyfry, więcej zatem dostawać nie możemy. Wody także mamy około 150 garncy, każdy więc dostanie po pół kwarty, co wystarczy także na 3 miesiące. Rozdziału żywności będzie dokonywać co dzień bosman około 10-tej godziny rano. Każdy dostanie swoją całodzienną rację mięsa i sucharów, którą zje kiedy i jak mu się podoba. Woda zaś dla braku naczyń będzie rozdawaną dwa razy dziennie i którą każdy będzie musiał zaraz wypić. Mamy oprócz tego jeszcze dwa prawdopodobieństwa powiększenia zapasów żywności: połów ryb i deszcz. Rozstawiono więc próżne baryłki ażeby łąpać wodę. Co do wędek te już majtkowie zaczęli przyrządzać.

Taki jest plan naszego postępowania, od którego nie mamy zamiaru odstąpić ani na krok, uważając go jako jedyny środek uchronienia się od głodowej śmierci. Zbyt wiele już mamy przykładów uczących nas, że powinniśmy wszystko przewidywać; zresztą taki brak pierwszych potrzeb dowodzi, że los nas ciągle prześladowuje.

## XXXII.

*Od 8 do 17 grudnia.* Wieczorem każdy z nas przykrył się żaglem. Zmęczony tyloma godzinami spędzonymi na maszcie, spałem twardo przez długi czas. Tratwa stosunkowo lekko wyładowana unosi się z łatwością na



fali. Morze spokojne nie zalewa nas bałwanami, na nieszczęście jednak fala się zmniejsza dlatego że wiatr ustaje, tak, że obudziwszy się rano byłem zmuszony zanotować w swoim dzienniku: Cisza na morzu. Kiedy dzień już zabłysnął nic nowego nie miałem do zaznaczenia. Panowie Letourneur doskonale spali całą noc; Uścisnęliśmy się z nim za ręce. Panna Herbey od dawna pierwszy raz spokojnie spoczywała; twarz jej straciwszy wyraz zmęczenia, zyskała wiele na właściwym sobie uroku. Jesteśmy poniżej jedenastego równoleżnika. Słońce błyszczy w całym blasku na niebie, ale za to upał okropny. Powietrze jest zmieszane z parą unoszącą się nad morzem. Żagle zwieszane, niekiedy tylko nadymają się pod wpływem słabego wietrzyku. Kurtis i bosman po pewnych znakach dostrzegalnych tylko dla marynarzy, poznali że prąd unosi nas lekko trzy mile na godzinę ku zachodowi. Byłaby to nadzwyczaj szczęśliwa okoliczność, mogąca wpłynąć na skrócenie naszej żeglugi. Oby więc kapitan i bosman nie mylili się, tem bardziej że przy tak silnym upale małe racye wody zaledwie są w stanie zaspokoić pragnienie. Pomimo to od czasu porzucenia Chancellora a właściwie mówiąc bocianich gniazd na jego masztach, położenie nasze rzeczywiście się poprawiło; Chancellor w każdej chwili mógł zatonać do reszty, tutaj zaś nie potrzebujemy się tego lękać. To też i zdrowie wszystkich znacznie się poprawiło. W dzień przechadzamy się, rozmawiamy, spieramy się nawet, patrząc na morze. W nocy śpiemy przykryci żaglami. Wszystko nas obecnie zajmuje, szczególnie zaś łowienie ryb na wędkę.

– Panie Kazallon, rzekł do mnie Andrzej po kilkodniowym pobycie na nowym statku, zdaje mi się że znów wróciliśmy do tych dni pełnych spokoju, spędzanych na skale Ham-Rock.

– Masz racyę mój Andrzeju.

– Jednak dodałbym że tratwa ma znakomitą przewagę nad skałą, mianowicie że postępuje ciągle.

– Dopóki wiatr sprzyja mój Andrzeju, przewaga jest rzeczywiście po stronie tratwy ale niechże się zmieni.

– Eh, panie Kazallon, miejmy nadzieję, nie upadajmy na duchu.

– Otóż wszyscy łudzimy się tą nadzieją, tak, zdaje się żeśmy już przebyli wszelkie próby. W przyjaznych okolicznościach znajdując się choć chwilowo odzyskuję spokój i zaufanie w lepszą przyszłość.

Nie wiem co się dzieje w duszy Kurtisa, nawet nie wiem czy podziela nasz spokój. Najczęściej trzyma się na uboczu. Ten człowiek czuje cały ogrom ciężącej na nim odpowiedzialności, jako dowódca powinien ocalić życie nie tylko sobie ale i każdemu z nas. Znając go, wiem że w ten sposób pojmuje swoje obowiązki.

Majtkowie po całych prawie dniach śpią na przodzie tratwy. W skutek rozkazu kapitana, na tyle statku, pozostawiony dla pasażerów, rozpięto namiot chroniący nas od słońca. Stan zdrowia zadawalniający, tylko porucznik Walter nie może odzyskać sił straconych. Starania nasze nic nie pomagają, i biedak gaśnie co chwila.

Nigdy nie mogłem lepiej ocenić Andrzeja Letourneur. Ten miły chłopiec jest duszą naszego towarzystwa; posiada dowcip oryginalny, nowe poglądy na świat, i niespodziane zwroty ożywiające rozmowę, która rzeczywiście nie tylko nas bawi, ale i uczy. Chorowita jego twarz ożywia się jak tylko zaczyna mówić. Ojciec połyka jego słowa, niekiedy bierze go za rękę i trzyma w ten sposób po całych godzinach.

Panna Herbey niekiedy przyjmuje udział w rozmowie, zachowując jednak pewną ostrożność. Każdy z nas stara się ażeby zapomniała o stracie tych, którzy nią się mieli opiekować. W panu Letourneur znalazła przyjaciela na którego może liczyć, jak na ojca, i ośmielona wiekiem – mówi do niego z całą szczerością. Opowiedziała mu swoje życie pełne odwagi i poświęcenia, jak zwykle los biednych sierot. Od dwóch lat była w domy państwa Kear, teraz zaś pozostała bez środków na dziś, bez majątku na przyszłość, pełna wiary jednak i gotowa na wszelkiego rodzaju próby.

Panna Herbey w skutek dzielnego charakteru, jaki energicznie w niej się przejawia, nakazuje dla siebie szacunek, także dotąd pomimo całego nieokrzesańcia ludzi z załogi, najmniejszym gestem, spojrzeniem nawet nikt nie śmiał jej obrazić.

12, 13, i 14 grudnia nie sprowadziły żadnej zmiany w naszym położeniu. Wiatr w nierównych odstępach popycha nas ku lądowi. W żegludze nic się nie przytrafiło. Na tratwie załoga nie ma nic do roboty. Sterem nawet nie potrzeba kierować. Statek płynie z wiatrem, nie zbaczając na strony. Kilku majtków dyżurnych na przodzie okrętu z największą uwagą dają baczenie na pogodę i na morze.

Już siedm dni upłynęło od porzucenia Chancellora. Przyzwyczailiśmy się do ilości wydawanego nam pożywienia. Szczególniej w tem co się tycze jedzenia. Siły nasze nie wyczerpują się przez ruch lub pracę, nie zużywając się więc nie mamy zarazem potrzeby odżywiać się obfitszym pokarmem.

Najwięcej dokucza nam brak wody, przy panujących obecnie upałach, ilość jej rzeczywiście jest zbyt małą.

15-go gromada ryb z rodzaju leszczów morskich zaroila się około tratwy. Tak są żarłoczne że łowimy ich masę, chociaż nasze wędkę składają się po prostu z postronka z zakrzywionym na końcu gwoździem, na który zamiast zanęty włożony kawałek suszonego mięsa. Był to prawdziwie cudowny połów i na pokładzie wyprawiono ucztę. Niektóre ryby usmażono na ruszcie, inne ugotowaliśmy w morskiej wodzie na ogniu rozpalonym na przodzie tratwy. Co za feta dla nas odwykłych od świeżego pokarmu! Przez dwa dni schwytano 200 funtów tych leszczów. Niech by teraz deszcz upadł, a wszystko będzie jak najlepiej.

Na nieszczęście nie długo cieszyliśmy się temi rybami. 17-go kilku rekinów należących do gatunku psów morskich, długości od 4 do 5-ciu metrów ukazało się na powierzchni morza.

Pletwy i wierzch ciała mają czarny, w plamy i poprzeczne pręgi białe. Obecność tych szkaradnych stworzeń zawsze niepokoi. Tratwa jest tak mała

wzniesioną po nad poziom morza, że znajdujemy się prawie na równej linii z niemi, tak że często uderzają gwałtownie ogonami o brzegi statku.

Majtkowie odpędzili nareszcie te potwory uderzając wiosłami w wodę, dziwiłbym się jednak dlaczego nie miałyby ścigać nas jako przeznaczoną dla siebie ofiarę... Nie lubię tych złowróżbnych towarzyszy...

### XXXIII.

*Od 18 do 20 grudnia.* Czas się zmienił wiatr silniejszy wieje, na co nie możemy się skarżyć, albowiem sprzyja nam widocznie; umocowano tylko silniej maszt, obawiając się ażeby zbyt silne parcie wiatru nie złamało go. Ciężki statek posuwa się nareszcie szybciej pozostawiając za sobą drugi ślad na morzu. Po południu chmury pokryły niebo; upał zmniejszył się. Fala silniej bujała tratwą; kilka bałwanów upadło na nas. Na szczęście cieśla za pomocą kilku desek urządził pawężę, chroniące nas lepiej od niepogody.

Przymocowano także podwójnymi linami, baryłki z żywnością i beczki z wodą. Burza mogłaby nam za jednym zamachem porwać całą żywność i doprowadzić do krańcu niedoli. Nie mogę o tem pomyśleć bez drżenia i obawy.

18-go majtkowie zebrali niewiele roślin morskich znanych pod imieniem Sargassów, bardzo podobnych do tych które napotkaliśmy pomiędzy Bermudami i Ham-Rock.

Zawierają one materią białkową, bardzo przyjemnego smaku. Zachęciłem towarzyszków do zrywania i żucia tych wodorostów, przez co ochładzaliśmy sobie gardło i usta.

Przez cały dzień nic nowego nie przytrafiło się.

Zauważyłem tylko że kilku majtków, w ich liczbie Owen, Burke, Flaypol, Wilson i murzyn Inyxtrop, ciągle mają pomiędzy sobą narady, których przedmiotu nie mogę się domyśleć. Jak tylko który z podróżnych lub oficerów zbliża się ku nim, rozchodzą się udając obojętność. Robert Kurtis toż samo zauważył; te pokątne gawędki wcale mu się nie podobają, postanowiliśmy dawać więcej baczenia na tych ludzi. Owen i Inyxtrop są to łotry, których należy się obawiać, tem bardziej że mają wpływ na resztę załogi.

19-go upał nie do wytrzymania. Na niebie ani jednej chmureczki, wiatr ucichł najzupełniej i tratwa stanęła.

Kilku majtków kąpało się w morzu i wybornie im to posłużyło, odpędzając zupełnie pragnienie. Za wielkie jednak niebezpieczeństwo grozi,

w skutek bliskiego sąsiedztwa z rekinami, żaden z nas więc nie kapał się. Kto wie jednak czy później nie pójdziemy za przykładem majtków?

Patrząc na ten bezmiar Oceanu równego jak zwierciadło, na zwieszony żagle przy maszcie, zaczynam się doprawdy obawiać, ażeby ta cisza nie potrwała zbyt długo.

Zdrowie Waltera coraz więcej nas niepokoi. Jest napastowany przez silną febrę powracającą nieperyodycznie. Może być że siarczan chininy poradziłby tej chorobie, ale skądże go wziąć.

Oprócz tego ten biedny chłopiec cierpi na suchoty, które od pewnego czasu rozwinęły się w nim gwałtownie. Zewnętrzne oznaki tej choroby są tak na nieszczęście każdemu znane, że pomylić się trudno, trzeba by mieć wiele dobrej woli po temu. Kaszel suchy, oddech krótki, poty obfite, szczególnie nad ranem. Schudł, nos jego wyciągnął się, wypieki na twarzy silnie odbijają od ogólnej bledzi całego ciała, policzki ma wpadnięte, usta zacisnięte, łącznie w oku błyszcząca i niebieskawa. W najlepszych więc warunkach żaden lekarz nic nie miał by tutaj do zrobienia w obec choroby która nigdy nie daruje życia nikomu.

20-go też sama temperatura, też sama nieruchomość tratwy. Pałace promienie słońca przebijają się przez namiot, tak że niekiedy ciężko oddychamy osłabieni w skutek silnego upału.

Z jakąś niecierpliwością oczekujemy na chwilę w której bosman ma rozdawać szczerą porcyjkę wody! Jakże łapczywie rzucamy się na te kilka kropli ogrzanego płynu! Kto nie wie co to jest pragnienie, nie będzie w stanie pojąć wiele cierpimy.

Walter więcej niż każdy z nas cierpi dla braku wody. Widziałem parę razy jak panna Herbey oddawała mu prawie całą swoją porcykę. Litościwa i miłosierna dziewczyna, robi co może, ażeby jeżeli nie zażegnać, to choć osłodzić cierpienia biednego towarzysza niedoli.

Dziś rano, rzekła do mnie:

- Panie Kazallon, ten nieszczęśliwy słabnie coraz więcej.
- Tak pani, ale nic nie możemy mu pomóc.
- Ciszej pan mów, mógłby nas usłyszeć.

Potem wsparłszy na rękę głowę siedła zadumana na końcu tratwy.

Dzisiaj miał miejsce niemiły wypadek, ale wart zanotowania. Około pierwszej, wyżej wymienieni majtkowie mieli silną dysputę. Ciche wprawdzie, ale ożywione ich gesta wskazywały żywe zainteresowanie się przedmiotem rozmowy, w skutek której Owen poszedł ku tyłowi statku, na część tratwy oddzieloną dla pasażerów.

- Owen gdzie idziesz? zapytał go bosman.

– Gdzie mi się podoba, odpowiedział zuchwale majtek. Usłyszawszy taką hardą odpowiedź bosman zerwał się z miejsca, ale przed nim jeszcze Kurtis zastąpił drogę Owenowi. Majtek wytrzymał wzrok kapitana i rzekł śmiało:

– Panie kapitanie, mam coś panu powiedzieć od moich kolegów.

– Mów!

– Co się tyczy wódki, tej małej baryłeczki... czy ją chowają dla oficerów, czy dla świń morskich?

– Cóż więcej?

– Żądamy ażebyśmy co dzień dostawali porcyę jak zazwyczaj.

– Nie!

– Jak pan mówi?

– Mówię że nie.

Majtek popatrzył na Kurtisa i uśmiech złośliwy przemknął po jego twarzy. Chwilę zawahał się jakby nie wiedząc czy ma nalegać lub nie, ale wstrzymał się i odszedł do towarzyszków powtarzając im po cichu rezultat rozmowy.

Przyszłość nam pokaże czy Kurtis dobrze zrobił odmawiając tak stanowczo? Kiedy zacząłem z nim o tem mówić, rzekł:

– Wódki im dać! zawołał... wolę ją wylać w morze.

#### XXXIV.

*21 grudnia.* Cały ten wypadek pozostał bez skutku, przynajmniej na dziś, w ciągu kilku godzin połowu, ryby znów się ukazały i nałapaliśmy ich bardzo wiele. Napakowano niemi próżną baryłkę, i ten przybytek żywności pozwala nam mieć nadzieję że przynajmniej głód nam nie dokuczy.

Wieczór nadszedł, nie przynosząc nam chłodu, do którego przywykliśmy. Zwykle noce pod zwrotnikami są chłodne, dzisiejsza jednak obiecywała być zachwycającą.

Massa pary wodnej unosi się po nad falami.

O wpół do pierwszej będzie nów. Ciemność więc jest głęboka, aż do

chwili kiedy oślepiające błyskawice nagle oświeciły niebo. Te niezmiernej wielkości wyładowanie elektryczne, bez określonej formy, zalewają obszerne przestrzenie potokami światła. Grzmotu ani słysząc, do tego stopnia że cisza podobna w powietrzu, strachem nas przejmując.

Dwie godziny prawie, spragnieni ożywczego wiatru, panna Herbey, Andrzej i ja przypatrywaliśmy się tym zapowiedziom burzy, w których natura zdawała się próbować sił swoich, i zapomnieliśmy o obecnej chwili, uwielbiając ten wspaniały obraz walki elektrycznych płynów. Zdawało się że chmury tworzą jakby fortecę zionącą falami ognia. Najdziksze dusze muszą odczuwać te wielkie obrazy, tak że widziałem majtków z rozkoszą spoglądających na ten pożar obłoków. Może być, że majtkowie niespokojnie patrzą na ten zamęt będący zwiastunem walki żywiołów.

W samej rzeczy, cóżby zrobiło się z naszą tratwą, wystawioną na wściekłość chmur i oceanu.

Aż do północy siedzieliśmy na tyle statku. Te błyski promienne których białosc odbija się tem silniej na tle czarnej nocy, rozlewają na około blade światło, podobne do grobowego ognia, do palącego się spirytusu, w którym rozpuszczono sól.

– Czy panie się boi burzy? panno Herbey, zapytał Andrzej.

– Nie panie, właściwiej mówiąc jestem pod wpływem uczucia pełnego uszanowania, czci nawet. Czyż nie jesteśmy w tej chwili świadkami, najpiękniejszego zjawiska natury?

– Tak pani, szczególnie kiedy zahuczy piorun. Czy można kiedy w życiu usłyszeć coś więcej wspaniałego? Coż znaczy huk artylerii suchy i bez odgłosu w porównaniu z tym trzaskiem przeciągłym i majestatycznym. Grzmot zapełnia duszę, jest to raczej ton, aniżeli odgłos, ton rozlewający się w fermatę jak nuty w głosie śpiewaka. I jeżeli mam szczerze powiedzieć, to nigdy śpiew artysty nie wzruszył mnie do tego stopnia, jak to potrafi zrobić wielki i niewypowiedziany głos natury.

– Basso profundo, przerwałem śmiejąc się.

– Naturalnie, odpowiedział Andrzej, i z przyjemnością bym posłuchał, bo te błyskawice zaczynają mnie nużyć jednostajnością swoją.

– Czy naprawdę tak myślisz Andrzeju? Wytrzymaj burzę jeżeli nadejdzie, ale nigdy jej nie przywołuj.

– Jak to! burza to wiatr, którego nam potrzeba.

– I woda! której tak spragnieni jesteśmy, dodała panna Herbey.

Można byłoby wiele odpowiedzieć tym młodym ludziom, ale nie chcę swoją prozą zatruwać im poetycznych uniesień.

Na burzę spoglądają z własnego punktu widzenia, i przez całą godzinę

słyszałem jak ją poetyzowali i wzywali całą duszą.

Tymczasem niebo pokryło się gęstymi chmurami. Gwiazdy znikły zupełnie. Ciężkie i czarne obłoki krążą po nad nami zakrywając najmniejszy promyk światła. Co chwila, ta masa wyrzuca fale światła na których krzyżują się błyskawice.

Cały ten stos elektryczności rozlanej w górnych warstwach powietrza, wyładował się bez najmniejszego odgłosu.

Powietrze jest zupełnie suche jest więc złym przewodnikiem elektryczności płyn zatem nie będzie mógł się wydobyć inaczej jak tylko za pomocą potężnych uderzeń, zdaje się więc niemożliwym, ażeby burza nie wybuchnęła natychmiast z szaloną gwałtownością. Tegoż samego zdania jest Kurtis jest i bosman, który rządzi się tylko nieomylnym instynktem marynarza – kapitan zaś do tego instynktu dodał jeszcze wiedzę. Ukazał mi zawieszony po nad nami stos obłoków, nazwanych przez meteorologów pierścieniowemi, który powstaje tylko w okolicach zwrotnikowych, ze spędzenia przez wiatry stałe masy pary wodnej, zebranej z całego oceanu.

– Tak, panie Kazallon, rzekł Kurtis, jesteśmy w krainie burz, albowiem wiatr nas aż tutaj zapędził, i obserwator mający bardzo czuły słuch, mógłby tu słyszeć bezustanne toczenie się grzmotu po niebie. Spostrzeżenie to, które ja uważam jako zupełnie sprawiedliwe, zrobiono już oddawna.

– Zdaje mi się, odpowiedziałem wsłuchując się uważnie, że słyszę toczenie się o którym pan mówiłeś.

– Być może że to jest pierwsze mruczenie burzy, która za parę godzin wybuchnie z całą gwałtownością. Cóż robić, trzeba się przygotować na jej przyjęcie.

Nikt z nas nie myślał o spaniu, a nawet nie mógłby usnąć, do tego stopnia powietrze stało się ciężkiem i duszącem.

Błyskawice rozszerzają się, zalewając horyzont na jakie sto pięćdziesiąt stopni i obejmują całe półkule nieba, z atmosfery zaś wywiązuje się jakieś światło fosforyczne.

Nakoniec toczenia się grzmotu wzmocniły się; ale są to jeszcze odgłosy okrągłe, że się tak wyrażę, bez kątowatych wybuchów, huczenie nie ożywione żadnem echem. Zdaje się jak gdyby strop nieba był wypchany obłokami, których sprężystość głuszy odgłos wybuchów elektrycznych.

Morze dotychczas jest spokojne, ciężkie i nieruchome.

Pomimo tego, majtkowie nie myślą się co do znaczenia szerokich wahań, które zaczynają się objawiać.

Według ich wyrażenia, morze gotuje się i gdzieś w oddali huczy burza, której odbicie i my już uczuwamy. Silny wiatr jest już blisko i okręt przez ostrożność stanąłby doń w tej chwili przodem; tratwą jednak manewrować nie podobna, możemy tylko uciekać jeżeli nam się uda. Około pierwszej, jasna

błyskawica, a w kilku sekund silne uderzenie zawiadomiły nas że burza jest już obok. Horyzont zakryły tumany mgły wilgotnej, zdawając się spadać na tratwę, kiedy nagle jeden z majtków zawołał:

– Orkan idzie! Orkan idzie!

### XXXV.

*Wnocy z 21 na 22 grudnia.* Bosman poskoczył ku sznurom powstrzymującym żagle, i reję natychmiast spuszczone; w sam czas, bo orkan przeleciał jak błyskawica ponad nami. Gdyby majtek nie uprzedził nas swem wołaniem, bylibyśmy z pewnością przewróceni i wrzuceni w morze.

Namiot stojący na tyle tratwy, wiatry porwały w powietrzu. Tratwa jest zupełnie nieubezpieczona od wiatru, zbyt bowiem małą przedstawia płaszczyznę oporu, ale za to bałwany straszliwie jej zagrażają. Fale przez chwilę jakby zduszone pod ciśnieniem warstw powietrza obecnie podniosły się wściekle, i wysokość ich wzrasta w miarę doznanego poprzednio nacisku.

Tratwa posłusznie naśladuje bezładne ruchy bałwanów, kołysząc się, jak one gwałtownie na wszystkie strony.

– Przywiążcie się! przywiążcie się! woła na nas bosman rzucając pęk postronków.

Kurtis przybiegł nam na pomoc. Wkrótce potem Letourneurowie, Falsten i ja byliśmy mocno przywiązani do statku. Morze mogłoby nas unieść, ale najprzód potrzebowałoby rozbić statek. Panna Herbey przywiązała się wpół ciała do jednego ze słupów do których był przybity namiot, przy świetle błyskawicy widziałem jej twarz zawsze pogodną.

Tymczasem pioruny biją bez ustanku zalewając nam uszy i oczy hukiem i światłem.

Piorun nie czeka na ucichnięcie poprzednika, błyskawica, zachodzi jedna na drugą. Para wnosząca się nad morzem zdaje się płynąć. Można by sądzić że ocean i niebo ogarnął gwałtowny pożar, i widać było jak błyskawice unoszące się w niebo ze szczytu bałwanów, krzyżowały się z błyskawicami padającymi z obłoków w morze! Silny zapach siarki rozszedł się w powietrzu, dotychczas jednak pioruny mijały nas, uderzając tylko w morze.

Około drugiej, burza doszła do najstraszliwszej potęgi. Wiatr zmienił się na uragan i bałwany zagrażają tratwie rozerwaniem na kawały.

Cieśla Daulas, Kurtis, bosman, majtkowie starają się umocnić ją



sznurami.

Całe strumienie padając na nas zlewają potokiem ciepłej wody.

Pan Letourneur rzucił się przed te bałwany, chcąc uchronić syna od ich gwałtownych uderzeń.

Panna Herbey jest ciągle nieruchoma, sądziłbyś że to posąg rezygnacyi.

W tej chwili, przy gwałtownym świetle, ujrzałem jak wielkie chmury, bardzo szeroko rozsiadłe na niebie i zapewne potężnie grube, przybrały kolor czerwony i dziwne trzeszczenie podobne do strzałów rotowych rozległo się w powietrzu. Było to dziwnego rodzaju trajkotanie spowodowane przez cały szereg wybuchów elektrycznych, dla których ziarnka gradu służą za łączniki pomiędzy przeciwnymi obłokami.

I rzeczywiście w skutek spotkania się prądu zimnego powietrza z chmurą elektryczną, uformował się grad zawzięcie padający.

Zostaliśmy skartaczowani przez grad wielkości orzecha włoskiego, który uderzał z dźwiękiem metalicznym o pokład statku.

Meteor ten trwał przeszło pół godziny i przez ten czas wiatr znacznie ucichł. W krótkce jednak przeskakując najprzód ze wszystkich stron kompasu, zerwał się z gwałtownością nie dającą się z niczem porównać. Maszt którego bocianie gniazdo burza złamała pochylił się na bok. Spieszyliśmy się z usunięciem tych złomków lękając się ażeby ciężarem swoim nie skruszyły masztu przy podstawie. Ster zupełnie zepsuty, porwany zaś rudel woda daleko uniosła. Jednocześnie poręcz tratwy została z lewej strony oberwana, przez ten wyłom bałwany rzuciły się na nas. Cieśla i majtkowie chcieli zreperować uszkodzenie, jednak gwałtowne rzucanie się statku nie pozwoliło im dokonać tego, padając jedni na drugich, kiedy nagle tratwa uniesiona przez olbrzymi bałwan pochyliła się pod kątem więcej niż 45°. Jakim sposobem ci ludzie nie zostali pochwyteni przez fale, dla czego powrozy powstrzymujące nas nie popękły, czemu nie wpadliśmy w morze, doprawdy wytłómaczyć sobie nie mogę. Co do mnie, uważałem za niemożliwe prawie ażeby przy jednym z takich gwałtownych poruszeń tratwa nie miała się przewrócić w skutek czego przywiązani do jej szczątków, odrazu skończylibyśmy w konwulsjach uduszenia. I rzeczywiście około trzeciej rano w chwili kiedy uragan rozszalał do najwyższego stopnia, tratwa uniesiona na grzbiecie bałwanów stanęła prawie prostopadle. Okrzyki przerażenia rozległy się, czy się przewrócimy... nie...

Na niezmierzonej wysokości tratwa zatrzymała się i przy silnem świetle błyskawic krzyżujących się na wszystkie strony, my biedni ogluszeni i przestraszeni, ujrzelśmy pod sobą ocean pieniający się jak gdyby rozbijał skały. Tratwa odzyskała swoje położenie poziome, ale w skutek tych gwałtownych szarpań pękły sznury, którymi były przywiązane baryłki. Widziałem jedną z nich jak spadała z pomostu, druga zaś rozleciała się w kawałki wylewając na wszystkie strony wodę którą była napełniona!

Majtkowie rzucili się ażeby pochwytać drugą baryłkę z suszonym

mięsem, na nieszczęście jednak jednemu z nich wpadła noga pomiędzy rozsunięte deski platformy które następnie znów się ścisnęły. Nieszczęśliwy ryczał z bólu. Chcąc biedz do niego rozerwałem wiążące mnie sznury... już było zapóźno. W oślepiającej błyskawicy ujrzałem biedaka z drewnianą nogą uniesionego przez bałwan, który uderzył na nas w tej chwili. Jego towarzysz znikł razem z nim, zanim zdążyliśmy pespieszyć na ratunek. Mnie zaś morze rzuciło na platformę gdzie uderzywszy się o jakiś kąt wystający, upadłem bez zmysłów.

## XXXVI.

*22 grudnia.* Dzień nareszcie zabłysnął i słońce zajaśniało z pomiędzy chmur, pozostałych od wczorajszej burzy. Starcie się żywiołów trwało zaledwie kilka godzin, ale powietrze i woda nie mogły się jeszcze uspokoić po tej szalonej walce. Mogłem tylko opisać sam jej początek, bo długie zemdlenie, które nastąpiło po uderzeniu, odebrało mi zupełnie możliwość uważania na przebieg wypadków. Wiem tylko że wkrótce potem uragan uspokoił się pod wpływem gwałtownym ulewy osłabiającej elektryczne natężenie powietrza, burza nie przetrwała nocy. W krótkim tym jednak przeciągu czasu wielez nam ona szkód wyrządziła, wiele strat niepowetowanych, jakże okropna nędza będzie jej następstwem! Z całych potoków wody, które wylała nie byliśmy w możności zatrzymać ani kropelki. Odzyskałem zmysły dzięki staraniom panów Letourneur i miss Herbey; ale Robert Kurtis ocalił mi życie powstrzymując mnie w chwili kiedy bałwan chciał mnie unieść z pokładu.

Jeden z majtków których woda nam porwała był to Austin młody człowiek lat 28-mu, posłuszny, dzielny i odważny. Drugi był stary irlandczyk. O'Ready, co przeżył tyle rozbić na morzu. Jest nas wszystkiego 16 osób na tratwie, a teraz zobaczmy co nam pozostało z żywności. Robert Kurtis chciał się przekonać i zrobić jej dokładny obrachunek.

Wody nie zabraknie nam jeszcze, bo na spodzie rozbitej beczki jest około 60 kwart, druga zaś zupełnie jest nietknięta. Dwie baryłki w których było suszone mięso i złowione przez nas ryby woda uniosła nic nam nie pozostawiając, sucharów ocalało wszystkiego około 60-ciu funtów. Sześćdziesiąt funtów na sześnaście osób t. j. ośm dni żywności licząc po pół funta na dobę.

Robert Kurtis wyjaśnił nam jak rzeczy stoją; słuchano go w milczeniu, po czym każdy zamknął się w sobie i tak smutnie spędziliśmy dzień cały. Widocznem jest jednak że też same myśli zrodziły się w głowie każdego. Dziwnie spoglądamy po sobie i widmo głodu zaczyna nas prześladować. Dotychczas nie jesteśmy jeszcze pozbawieni żywności i napoju; porcyje

jednak wody trzeba zmniejszyć, co zaś do sucharów...

Zbliżywszy się niechcący do grupy majtków leżących na przodzie tratwy, usłyszałem jak Flaypol mówił do towarzyszków: – Dobrze by zrobili ci którzy mają umrzeć, żeby pospieszyli.

– Masz rację, odpowiedział Owen, tym sposobem reszta miałaby na dłużej żywności.

Dzień przeszedł w ogólnym upadku na duchu. Każdy dostał pół funta sucharów. Jedni z nas pożarli go z rodzajem wściekłości, inni z rozsądnym umiarkowaniem. Zdaje mi się że inżynier Falsten rozdzielił swoje porcję na tyle kawałków ile razy na dzień przywykł jadać, potem zjadł jeden, resztę chowając na później.

Jeżeli któremu z nas przeznaczono przeżyć wszystkich, to chyba Falstenowi.

### XXXVII.

*Od 23 do 30 grudnia.* Po burzy wiatr pociągnął od północo-wschodu i dmie ciągle z równą siłą. Musimy z niego korzystać albowiem zbliża nas ku ziemi. Za staraniem Daulasa znów silnie ustawiono maszt, zawieszono żagiel i tratwa postępuje ciągle przebiegając przeszło dwie mile na godzinę. Zreperowano także rudel, urządzony za pomocą drąga i kawałka szerokiej deski. Nieszczęśliwie on działa wprawdzie, pod wpływem jednak wiatru popychającego tratwę, nie trzeba zbyt znacznych wysiłków ażeby nią kierować. Przy pomocy sznurów i klinów pościągnano deski platformy, poręcz z prawej strony uniesiona przez fale została znów odbudowana, przez co zakryci jesteśmy przeciw bałwanom. Jednym słowem zrobiliśmy wszystko co było w naszej możliwości, ażeby wzmocnić tę nietrwałą wiązaną z masztu i desek skleconą.

Nie w tem jednak leży nasze największe niebezpieczeństwo. Wraz ze słońcem wróciły upały zwrotnikowe, które nam poprzednio tyle dokuczyły. Dzisiaj na szczęście, lekki wietrzyk chłodzi nas niekiedy. Zbudowano dobry namiot na tyle tratwy i z kolei pod nim szukamy schronienia. Pomimo tego brak żywności daje się dotkliwie uczuć. Każdy widocznie cierpi z głodu. Policzki nam pozapadały, twarze wychudły. U wielu z nas systemat nerwowy jest silnie zaatakowany, ściskanie się żołądka sprawia przykre uczucie. Gdybyśmy dla oszukania tego głodu, dla uspienia pili jaki narkotyk np. opium lub tytoń, może niecierpielibyśmy tyle, Nie! my nic nie mamy.

Jeden z nas przynajmniej nie czuje tych cierpień. Porucznik Walter pożerany nieustanną gorączką od dawna już nic nie je, pragnienie jednak

dokucza mu straszliwie. Miss Herbey pomimo tego że sama część swojego napoju oddaje choremu, potrafiła uzyskać u kapitana powiększenie porcji wody i co kwadrans zwilża nią usta porucznika. Walter nie może już prawie mówić i wzrokiem tylko dziękuje za opiekuńcze starania. Biedny chłopiec skazany na śmierć; nie ma siły, która byłaby w stanie utrzymać go przy życiu. Przynajmniej długo cierpieć nie będzie. Dziś zdaje się że odzyskał świadomość swojego losu, i dał mi znak ażebym się do niego zbliżył. Usiadłem obok niego. Zebrał wtedy wszystkie siły i przerywanymi słowami zapytał:

– Panie Kazallon, czy ja prędko skończę?

Na chwilę zawahałem się z odpowiedzią co Walter zauważył.

– Mów pan prawdę, rzekł, całą prawdę.

– Nie jestem lekarzem, nie mógłbym więc...

– Nic nie szkodzi, odpowiedz pan, bardzo proszę.

Długo patrzyłem na chorego, potem położyłem ucho na jego piersi. Od kilku dni suchoty zrobiły gwałtowne postępy. Jedno z płuc nie działa już zupełnie, drugie zaś zaledwie wystarcza na potrzeby oddychania.

Walter jest ofiarą gorączki, która zwykle zwiastuje koniec w piersiowych słabościach.

Cóż miałem odpowiedzieć pytającemu biedakowi. Wzrok jego tak badawczo wlepił się we mnie, że nie widziałem co robić i szukałem tylko sposobu wymknięcia się.

– Mój przyjacielu, rzekłem, w obecnym naszym położeniu, nikt z nas nie może liczyć na, to żeby pozostało mu jeszcze wiele dni żywota... Kto wie czy za jakie ośm dni, z tych wszystkich, co są na tratwie...

– Za ośm dni! szepnął porucznik, nie spuszczać oczów ze mnie.

Przez następne dni, to jest 24, 25, 26 grudnia, nic się nie zmieniło.

Chociaż może to się wydawać nieprawdopodobnym, ale przyzwyczailiśmy się do głodu i nie umieramy.

Opowiadania rozbitków często już zaznaczały wypadki podobne. Czytając je, zawsze posądzałem opisujących o przesadę. A jednak tak nie było i dziś przekonywam się, że brak żywności dłużej można znieść, niż zwykle sądzą. Zresztą kapitan uważał za stosowne do pół funta chleba, codzien dodawać nam po kilka kropli wódki, i sposób ten żywienia zadziwiająco podtrzymuje nasze siły. Gdybyśmy mieli na dwa miesiące, na miesiąc chociaż zapewnioną taką porcją!

Na nieszczęście zapasy wyczerpują się, każdy przewiduje chwilę w której zabraknie nam i tego szczupłego posiłku.

Morze musi nas zaopatrzyć w ryby, ale dotąd wcale się to nie udaje; pomimo tego że bosman i cieśla z rozplątanych konopi i gwózdzi wyciągniętych z podłogi statku, porobili wędki z czego bosman szczególnie bardzo się cieszył.

– Nie są to zbyt eleganckie haczyki, ale byle przynęta była, to i na te gwoździe ryby doskonale się łapać będą! To tylko bieda, że oprócz sucharów nic nie mamy, a te rozpływają się w wodzie. Żeby tak jedną rybkę złapał, to już potem nie zabrakło by nam świeżego mięsa na przynętę, ale to właśnie sztuka złapać pierwszą rybę.

Bosman ma rację i rybołówstwo zapewne się nie powiedzie. Probujemy jednak szczęścia ale żadna ryba nie chwytą. Widocznie zresztą, te morza nie są rybne.

Przez cały 28 i 29 ponawialiśmy próby, ale zawsze bezwocnie. Suchary rozpływały się w wodzie napróżno. Zresztą szkoda marnować resztek naszej ostatniej żywności, której okruszyny już prawie zliczyć można. Bosman widząc to, wymyślił założyć na haczyk szmatkę materyi wełnianej. Panna Herbey udzieliła kawałeczek czerwonego szala którym była okryta. Może być że ten jaśniejący gałgan skusi jakąś żarłoczną rybę.

30-go zrobiliśmy nową próbę. Przez kilka godzin wędki stały zapuszczone w głębinę. Po wyciągnięciu okazało się że ryby nie tknęły nawet szmaty.

Bosman upadł na duchu. Jeszcze jeden środek ratunku wymknął się nam. Cóżbyśmy dziś dali za tę pierwszą rybę, przy pomocy której moglibyśmy łowić inne.

– Niedługo będę miał lepszą zanętę dla mojej wędki, rzekł bosman po cichu do mnie.

– Jaką? zapytałem.

– Dowiesz się pan w swoim czasie, odpowiedział dziwnie jakoś spojrzawszy na mnie.

Nie rozumiem co mogą znaczyć te wyrazy w ustach człowieka tak zwykle umiarkowanego? Myślałem o tem całą noc.

### XXXVIII.

*Od 1-go do 5-go stycznia.* Trzy miesiące już upłynęło odkąd Chancellor wypłynął z Charleston; od dwudziestu zaś dni jesteśmy rzućeni na tej tratwie,

oddani na łaskę morza i wiatrów. Nie możemy zupełnie pomiarkować, czy zbliżyliśmy się ku zachodowi, ku lądowi Ameryki, czy też burza odrzuciła nas na środek oceanu. Podczas ostatniego uraganu pomimo zachowanej ostrożności, potłukły się instrumenta obserwacyjne. Kurtis nie ma ani busoli do wskazania kierunku, ani też sextantu do oznaczenia wysokości.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności które nas dotąd uparcie prześladowały, każe się spodziewać, że znajdujemy się gdzieś bardzo daleko od lądu.

Ta zupełna niepewność ma w sobie coś rozpaczliwego, ale nadzieja nigdy nie ulatuje zupełnie z serca ludzkiego i wbrew całemu rozumowaniu często łudzimy się myślą że znajdujemy się już w bliskości lądu. Każdy więc spogląda na horyzont szukając na tej czystej linii śladu upragnionej ziemi.

Oczy nasze, szczególnie pasażerów nienaowykłych do morza, co chwila zdają się spostrzegać coś na poziomie wody, i tem boleśnieszje sprawiają rozczarowanie.

Zdaje się ci że widzisz... nic nie ma!

To obłoczek jakiś, to mgła, to kołysanie się fali. Ziemi tam nie ma, żaden okręt nie ukazuje się na tej szarej przestrzeni, gdzie niebo i morze zlewają się w oddali.

Tratwa zawsze stanowi środek tej pustyni kulistej. 1-go stycznia zjedliśmy ostatni suchar, a raczej ostatnie okruchy suchara. *1-go stycznia*, wieleż wspomnień ten dzień przywodzi nam na pamięć, i przez porównanie z dzisiejszym położeniem jakże smutnym się nam wydaje.

Zmiana roku, życzenia noworoczne składane w kółku rodzinnem. Nadzieja którą się serca poją, dla nas to wszystko przestało istnieć. Czyż ktokolwiek z nas ośmieliłby się powtórzyć dziś te słowa: Życzę ci nowego roku! słowa których nie sposób prawie wymówić bez uśmiechu na twarzy? Czyż dla nas nie rok ale dzień jeden życia pozostał jeszcze?

Pomimo to bosman zbliżył się do mnie i z szczególnym wyrazem twarzy rzekł:

– Panie Kazallon, winszuję panu.

– Czy nowego roku?

– Nie, tylko rozpoczynającego się dnia, bo dziś będziemy ostatni raz w życiu jeść.

Tak jest, nic nam nie zostało, a pomimo tego że każdy wiedział o zupełnem wyczerpaniu się zapasów żywności, kiedy o zwyczajnej godzinie odmówiono nam porcyi, byliśmy jakby piorunem rażeni! Nikt nie chciał wierzyć w ten post przymusowy!

Nad wieczorem uczułem gwałtowny kurcz żołądka który następnie wywołał ziewanie bolesne, w dwie godziny potem wszystko się uspokoiło.

Nazajutrz to jest 3-go, ze zdziwieniem spostrzegłem że nic mi nie dolega. Czułem w sobie niezmierną próżnię, ale zarówno moralną jak i fizyczną. Głowy ciężkiej i osłabionej nie mogłem prawie utrzymać na korku, i doznaję ciągłego zawrotu, jak gdybym spoglądał w przepaść u nóg mych będącą.

Nie wszyscy jednak doznają tych samych symptomów. Kilku z nas cierpi straszliwie, szczególnie bosman i cieśla, którzy z natury już potrzebują wiele jeść.

Boleści zmuszają ich do krzyków mimowolnych, i każdy z nich związał się mocno sznurem. A to dopiero drugi dzień. Ah! te pół funta suchara, ta szczupła porcyjka która wydawała się nam tak niewystarczającą, dziś w wyobraźni naszej dorosła olbrzymich rozmiarów, kiedy nic już nie pozostało! Ten kawałek suchara, gdyby nam teraz dano choć połowę, choć ćwiarteczkę, mógłby utrzymać nas przez kilka dni przy życiu! Tak, po okruszynie jedlibyśmy, powoli.

W mieście oblężonym kiedy głód zapanuje można jeszcze znaleźć na śmieciach, w rynsztoku, w kącie jakim, kość nieogryzioną, korzonek w pomyjach wyrzucony, i zaspokoić lub oszukać na chwilę głód.

Ale na tych deskach tyle razy zmytych przez fale, gdzie już w każdą szpareczkę zaglądałiśmy, wyskrobali kąciki w które wiatr mógł rzucić jakąś odrobinę chleba, tak na tych deskach nic nie ma. Naprawdę było szukać.

Noce są straszliwie długie do przebycia, dłuższe niż dni. Naprawdę pragnę od snu choćby chwilowego zapomnienia. Sen jeżeli zamyka nam oczy, to tylko w gorączkowym marzeniu pełnym widziadeł.

Jednakże dziś w nocy, znużony, twardo przespałem kilka godzin.

Nad ranem zbudził mnie hałas na tratwie. Wstałem i widzę na przodzie murzyna Ynxtrop, Owena, Flaypola, Wilsona, Burkego, Sandona zgromadzonych w zaczepnych widocznie zamiarach.

Te łotry pochwyliły narzędzia ciesielskie, jak siekiery, dłuta i młoty, którymi zagrażają kapitanowi, bosmanowi i cieśli.

Natychmiast przyłączyłem się do Kurtisa, za moim przykładem poszedł Falsten. Mamy tylko noże pomimo to bronić się będziemy.

Owen z całą hałastrą zbliżyli się ku nam. Są pijani. W nocy dobrali się do baryłki z wódką i prawie wszystką wypili.

Ale czegoż chcą?

Owen i Ynxtrop mniej pijani, podburzają spojonych alkoholem majtków żeby nas wymordowali.

– Precz z Kurtisem! wołają... W morze kapitana! Owen będzie dowódcą, Owen nich komenderuje.

Owen też podszczywa całą szajkę, Ynxtrop służy mu tylko za pomocnika. Nienawiść tych dwóch ludzi względem oficerów okazała się teraz, bunt chociażby udał się, nic nie zmieni w naszym położeniu. Zausznicy ich jednak nie zastanawiają się nad tem i uzbrojeni groźnie ku nam się zbliżają.

Kurtis podszedł i krzyknął:

- Rzucić broń!
- Śmierć kapitanowi! wrzasnął Owen.

Nędznik znakami podburzał swoją szajkę, tymczasem Robert Kurtis rozpychając pijanych zbliżył się prosto ku niemu.

- Co chcesz, zapytał?...
- Precz z dowódcą na tratwie! wszyscy tutaj są równi.

Głupi szaleniec! Czyż nędza już nie zrównała nas wszystkich!

- Owenie, powtórzył kapitan, złóż broń.
- Ty sam się poddaj, odpowiedział Owen.

Walka rozpoczęła się. Owen i Wilson rzucili się na Kurtisa, odbijającego ciosy kawałkiem drąga, jednocześnie Burke i Flaypol wpadli na Falstena i bosmana. Przeciwno sobie miałem murzyna Ynxtropa, który chciał mię zamordować toporem. Pochwyciłem go obydwoma rękami ażeby powstrzymać uderzenie, ale łotr był silniejszy odemnie. Po kilku chwilach widziałem że nie dotrzymam mu placu, nagle Ynxtrop padł wznak na platformę pociągając mię za sobą. To Andrzej Letourneur pochwycając go za nogę, przewrócił w samą porę. Ta pomoc ocaliła mnie. Murzyn padając wypuścił broń, którą pochwyciłem chcąc mu zmiażdżyć czaszkę... Andrzej z kolei powstrzymał mnie. Buntownicy schronili się na przód tratwy. Robert Kurtis, uniknąwszy ciosów które mu chciał zadać Owen, porwał za siekierę i uderzył nią z całej siły. Owen odskoczył na bok i siekiera rozplatała piersi Wilsonowi. Nędznik padł wznak i zniknął w morzu po za tratwą.

- Ratujcie go! ratujcie go! zawołał bosman.
- Zabity, odpowiedział Daulas.
- Właśnie dla tego, krzyknął bosman, i zamilkł nie dokończywszy rozpoczętego zdania.

Śmierć Wilsona położyła koniec walce. Flaypol i Burke pijani do najwyższego stopnia upadli bez czucia. Pochwyciliśmy więc Ynxtropa i przywiązali u stóp masztu. Owena zdołali także ująć cieśla i bosman.

Kurtis z siekierą w ręku zbliżył się ku niemu mówiąc:

- Módl się nędzniku, bo wybiła ostatnia twoja godzina.



– Widać że pan masz wielki apetyt zjeść mnie, odrzekł Owen z całą bezczelnością.

Ta straszliwa odpowiedź ocaliła mu życie. Robert Kurtis odrzucił siekierę którą chciał zabić Owena i blady ze wzruszenia usiadł na tyle tratwy.

### XXXIX.

*5-go i 6-go stycznia.* Scena ta głębokie na nas uczyniła wrażenie. Odpowiedź Owena w okolicznościach w jakich się znajdujemy przerażała i przygnębiła najenergiczniejszych.

Jak tylko umysł mój trochę się uspokoił, żywo podziękowałem młodemu Letourneur, którego przytomność ocaliła mi życie.

– Pan mi dziękujesz? Powinieneś raczej przeklinać!

– Ciebie, Andrzej!

– Panie Kazallon, ja przedłużyłem tylko twoją nędzę!

– Panie Letourneur, rzekła miss Herbey, spełniłeś swój obowiązek.

Zawsze poczucie obowiązku kieruje tą młodą dziewczyną! Wychudzona i wybladła przez pragnienie i głód, w podartych sukniach, ale ani jedna skarga z ust jej nie wyjdzie; tyle nędzy nie może jej pognębić!

– Panie Kazallon, rzekła, wszak jesteśmy przeznaczeni na śmierć głodową.

– Tak jest, panno Herbey, odpowiedziałem twardo.

– Jak długo można żyć bez pożywienia?

– Może więcej niż myślimy, długich bez końca dni!

– Osoby silnej konstytucji więcej cierpią, prawda?

– Tak ale umierają prędzej. To ich nagrodą!

Jak mogłem odpowiadać w ten sposób tej młodej dziewczynie?

Jakto, ani słowa pociechy nie znalazłem dla niej. Nagą prawdę rzuciłem jej tylko w oczy! Czy uczucie ludzkości zupełnie wygasło we mnie? Panowie Letourneur, patrzą na mnie zdumieni, jasnymi, ale przerażająco rozszerzonymi przez głód oczami. Wzrokiem pytają się nawzajem czy to

naprawdę ja mówiłem. Kilka minut potem, gdyśmy zostali sami, panna Herbey przemówiła do mnie cichym głosem:

– Panie Kazallon, chcesz pan oddać mi przysługę?

– Tak jest miss, odpowiedziałem tą razą ze wzruszaniem, gotów jestem wszystko uczynić dla młodej dziewczicy.

– Jeślibym umarła przed panem, co może nastąpić pomimo że jestem słabszą od niego, przyrzecz mi że wrzucisz moje ciało w morze.

– Panno Herbey, wybacz mi...

– Nie, nie, przerwała żywo na pół z uśmiechem, miałeś pan rację przemawiając do mnie w ten sposób, przyrzecz mi, błagam o co cię proszę. Żywa nie obawiam się niczego... ale umarła... Wszak spełnisz moją prośbę? Obiecałem. Panna Herhey podała mi wychudzoną rękę z podziękowaniem.

Jeszcze jedna noc przeszła. Cierpienia moje chwilami bywają tak gwałtowne, że nie mogę powstrzymać krzyku wydzierającego się z mej piersi; gdy przejdą wpadam w rodzaj obłędu, po oprzytomnieniu dziwi mnie że towarzysze moi jeszcze żyją. Głód najmniej zdaje się dokuczać gospodarzowi statku p. Hobbart, o którym dotąd bardzo mało mówiłem. Jestto mały człowieczek o fizynomii dwuznacznej, o spojrzeniu słodkim, uśmiechającym się często uśmiechem, który porusza tylko jego usta, oczy ma wiecznie wpół przymknięte, jakby dla ukrycia ich wyrazu, słowem cała jego osobistość tchnie fałszem. Przysiągłbym że jest hipokrytą. Jeśli mówiłem że on najmniej zdaje się cierpieć, to nie dla tego żeby się nie użalał. Przeciwnie, jęczy bezustannie, ale nie wiem czemu jęki jego wydają mi się udanymi. Będę pilnował tego człowieka, bo mam na niego posądzenie które muszę wyjaśnić.

Dzisiaj 6 stycznia p. Letourneur, poprowadził mnie na tył tratwy z ostrożnością, widocznie nie chce być ani widzianym ani słyszany. Ciemno już było, zatem łatwo uniknęliśmy wzroku pasażerów.

– Panie, mówi do mnie po cichu p. Letourneur, Andrzej jest bardzo słaby! Syn mój umiera z głodu! ja nie mogę dłużej na to patrzeć, nie mogę. Pan Letourneur mówi tonem w którym przebija gniew powstrzymywany, spojrzenie jego ma w sobie coś dzikiego. Ah! ileż ten biedny ojciec musi cierpieć!

– Panie, rzekłem biorąc go za rękę, nie traćmy nadziei. Może jaki okręt...

– Nie przyszedłem do pana po oklepane pociechy, przerwał mi niecierpliwie; że okrętu nie spotkamy wiesz o tem dobrze. Idzie mi o co inszego: jak dawno mój syn, pan i inni nie jedliście? Mocno zdziwiony tem pytaniem, odpowiedziałem:

– Od 2 stycznia sucharów zabrakło, dziś mamy 6-go, a więc 4 dni jak...

– Jakeście nie jedli, dokończa p. Letourneur, ja zaś od ośmiu!

– Ośm dni!

– Tak! oszczędzałem dla mojego syna!

Na te słowa łyzy mi z oczu wytrysły. Pochwyciłem za rękę p. Letourneur.... nie mogłem przemówić. Patrzę się na niego!.... Ośm dni.

– Panie, wyrzekłem nareszcie, czego chcesz odemnie?

– Pst!... Nie tak głośno, niech nikt nas nie słyszy.

– Ale mów pan!

– Ja chcę... rzekł zniżając głos... ja pragnę abyś ofiarował Andrzejowi...

– Ależ, pan sam, czyż nie możesz?

– Nie! nie!... Domyślił by się że ja nie jadłem dla niego, odmówiłby... Nie! trzeba aby to pochodziło od ciebie.

– Panie Letourneur!

– Przez litość! zrób mi tę łaskę, największą o jaką cię błagam... a zresztą... za pańskie trudy... Mówiąc to, p. Letourneur bierze mnie za rękę i ściskając ją z lekka...

– Tak za twoje trudy... będziesz jadł... trochę!...

Biedny ojciec! Słuchając go drzę jak dziecię! Do głębi czuję się wzruszony, a serce zdaje mi się że pęknie! Równocześnie czuję, że p. Letourneur wsuwa mi w rękę kawałek suchara.

– Strzeż się, aby cię nie zobaczono. Potwory! zabili by cię! Jutro dam ci znowu kawałek! Nieszczęśliwy nie ufa mi! A może ma i rację. Czując ten kawałek suchara w ręku, muszę bardzo panować nad sobą aby go nie zjeść.

Wytrzymałem próbę. Ci co mnie czytają mogą sobie wyobrazić ile mnie ona kosztowała! ja wysłować nie umiem. Gdy noc nadeszła przysunąłem się do Andrzeja i podałem mu ten mały kawałek suchara, jako pochodzący odemnie.

Biedny Andrzej rzucił się na niego.

– A mój ojciec? zapytał.

Odpowiedziałem że jego ojciec dostał równą część... że jutro... i dni następnych, będę jeszcze mógł mu dać... niech bierze! niech bierze!

Andrzej nie pytał mi się skąd ja mam suchary, i żarłocznie poniósł swój kawałek do ust.

## XL.

7 stycznia. I tego wieczoru jeszcze, pomimo ofiary pana Letourneur nie jadłem nic... nic!

Od kilku dni woda która zalewa platformę tratwy za każdym wzniesieniem fali, obdziera do żywego mięsa, skórę z nóg majtków. Owen, którego bosman za bunt trzyma na przodzie tratwy, znajduje się w okropnym stanie. Na prośby nasze rozwiązano go. Sandon i Burke także mają nogi pokaleczone przez sól; my zaś dotychczas uchroniliśmy się od tego, albowiem tył tratwy jest wzniesiony.

Dziś rano bosman, pod wpływem głodowego szaleństwa rzucił się na szmaty starego płótna wiszące na końcach starych masztów.

Dotąd słyszę zgrzyt jego zębów, pożerających te gałgany. Straszliwy głód zmusił nieszczęśliwego, do wypychania żołądka czemkolwiek, ażeby powstrzymać gwałtowne kurcze.

Po długich poszukiwaniach udało mu się odszukać kawałek skózanego obicia na jednym z masztów.

Ta skóra, to materya zwierzęca, gryzie i ją więc z niedającą się opisać chciwością, i zdaje się po przełknięciu że jest mu daleko lepiej. Wszyscy zaczęliśmy go naśladować, kapelusz z lakierowanej skóry, daszek od czapki, jednym słowem cokolwiek było materyą zwierzęcą zostało pożarte.

Był to instynkt zwierzęcy, któremu podlegliśmy wszyscy bez możliwości powstrzymania się. Zdawało się przez chwilę że nic w nas nie ma ludzkiego. Nigdy nie zapomnę tej okropnej sceny. Głodu nie zaspokoiliśmy, ale przynajmniej na chwilę przestał nam dokuczać. Niektórzy z nas jednak nie mogli znieść tego rodzaju pokarmu i wyrzucili go też w gwałtownych wymiotach.

Wybaczcie mi ten szczegół! Nie powinienem nic ukryć z cierpień jakich doznali rozbitki. Z mojego opowiadania niech każdy się dowie wiele to cierpień, moralnych i fizycznych człowiek przechodzić może. Wszystko opowiem, bo na nieszczęście przeczuwam że nie doszliśmy jeszcze do krańca naszych cierpień. Zrobiłem uwagę która potwierdza podejrzenia powzięte przeciwko gospodarzowi statku. Hobart pomimo tego że jęczał ciągle aż do przesady, nie przyjął udziału w poprzednio opisanej scenie. Słyszając go, zdawać by się mogło że kona z wycieńczenia, patrząc znów na niego widać że nic a nic głód mu nie dokucza. Ten fałszywiec musi mieć jakiś ukryty skład z którego czerpie. Szpiegując go ciągle ale żadnym sposobem

złapać nie mogę.

Upał jest ciągle nie do wytrzymania, szczególnie jak wiatr ustaje. Porcy wody są niewystarczające, ale głód zabił w nas pragnienie. Kiedy więc przyjdzie mi na myśl że w razie braku wody możemy jeszcze więcej cierpieć, prosimy gorąco Boga, ażeby nas uchronił od tej nowej ostateczności. Na szczęście mamy jeszcze parę garnca wody w beczułce, która rozbiła się podczas burzy, druga zaś baryłka jest zupełnie nietknięta. Pomimo zmniejszenia się liczby osób na statku, kapitan uszczuplił porcyą wody na kwaterekę, w czym jak uważano ma najzupełniejszą rację. Wódki pozostało nam jeszcze z pół garnca, schowano ją na tyle tratwy.

Dziś 7 stycznia o wpół do 8-ej wieczorem porucznik Walter umarł na moich rękach.

Starania panny Herbey i moje nic nie pomogły. Pozostało nas czternaście osób.

Na kilka chwil przed śmiercią, Walter dziękował panie Herbey i mnie za opiekę jakąśmy nad nim rozciągali. I niedosłyszalnym prawie głosem rzekł upuszczając list trzymany w drżących rękach:

– Panie... ten list... to do mojej matki... brak mi sił... To ostatni list od niej... pisała do mnie: „czekam na ciebie moje dziecko, chciałabym się z tobą zobaczyć.” Nie, matko ty już mnie nie ujrzysz więcej... Panie... ten list... połóż go na moich ustach... tutaj... tutaj... chcę umrzeć całując go... moja matko... mój Boże!...

Włożyłem w zimną już rękę Waltera list, i przykryłem nim usta umierającego. Na chwilę wzrok jego się ożywił i usłyszeliśmy słabe pocałowanie.

Dusza jego uleciała!... Niech Bóg ją ma w swojej świętej opiece.

## XLI.

8 stycznia. Całą noc czuwałem nad zwłokami, a p. Herbey modliła się za duszę umarłego.

Kiedy dzień już się ukazał ciało zupełnie ostygło. Spieszyłem się... tak jest śpieszyłem się wrzucić je w morze. Prosiłem Roberta Kurtisa ażeby mi dopomógł spełnić ten smutny obowiązek. Zawinięte ciało, w resztki podartego ubrania, wrzucimy w wodę z której z pewnością nie wypłynie z powodu straszliwego wychudnięcia.

Jak tylko zaczęło świtać, Robert Kurtis i ja przejrzelismy kieszenie zmarłego i zachowalismy różne drobiazgi które ten co przeżyje odda biednej matce, bacząc przy tem ażeby kto z załogi nie spostrzegł. Kiedy poprawiałem ubranie mające służyć za całun nieboszczykowi, mimowolnie wyrwał mi się okrzyk zgrozy.

Brakowało prawej nogi, którą ktoś w nocy oberżnął. Któż mógł popełnić taką profanację! Widocznie podczas nocy, zmęczenie wzięło nademną górę, usnąłem i zbrodniarz skorzystał z tego.

Robert Kurtis spojrział na około okropnym wzrokiem; na pokładzie jednak wszystko spokojne, ciszę przerywają tylko jęki zgłodniałych. Może nas szpiegują. Spiesznie więc rzućmy szczątki w morze, ażeby uniknąć jeszcze okropniejszych scen. Zmówiwszy kilka modlitw, wrzuciliśmy trupa w morze, które natychmiast go pochłonęło.

– Do krośset piorunów, tych rekinów to dobrze karmią! krzyknął za mną murzyn Jnxtrop. Bosman w tej chwili stanął obok mnie.

– Widziałeś pan, nogę mu odjęli, niegodziwce!

– Nogę... a tak!... Cóż robić? byli w prawie.

– Jaktó w prawie!

– Mój panie, lepiej zjeść umarłego, jak żywego.

Nie wiedząc co odrzec na tę okrutną odpowiedź, uciekłem na tył statku.

Około jedenastej rano niesłychane szczęście nas spotkało. Bosman który w nocy zarzucił wędki, tym razem miał nadzwyczaj szczęśliwy połów. Wyciągnął trzy stokfiszce, z których każdy miał po jakie pięć ćwierci łokcia długości.

Zaledwie zdążył wyciągnąć je na pokład, już majtkowie się na nie rzucili. Kapitan, Falsten i ja z trudnością ich powstrzymaliśmy, chcąc zaprowadzić w podziale porządek.

Trzy ryby na 14 osób to niewiele, każdy jednak dostał swoją część. Najwięcej z nas zjadło je na surowo, żywcem prawie. Kurtis, Andrzej i miss Herbey mieli cierpliwość zaczekać trochę. Zapalili ogień w kąciu tratwy i upiekli swoje porcyjki. Nie mogłem się zdobyć na podobną cierpliwość!

Pan Letourneur rzucił się jak wilk zgłodniały na swój kawałek ryby. Nie pojmuję jakim sposobem ten nieszczęśliwy człowiek wyżył dotąd, nie jedząc tak długo. Radość bosmana graniczy prawie z szaleństwem. Gdyby rybołówstwo podobnie udawało mu się dalej ocalelibyśmy od śmierci głodowej.

Zacząłem z nim gawędkę, zachęcając do nowych prób.

– Naturalnie, odpowiedział mi, zacznę, zacznę.

- Dla czegoż pan teraz nie chcesz zarzucić wędki?
- A teraz nie można, najlepiej w nocy, wielkie ryby najłatwiej się wtedy łapia, a muszę oszczędzać przynęty, tembardziej, że postąpiliśmy tak głupio, nie schowawszy ani kawałka ryby.
- Rzeczywiście jest to błąd nie do naprawiania.
- A jednak teraz udało się panu złapać kilka ryb bez przynęty?
- Owszem, miałem...
- I dobrą?
- Widać doskonała kiedy na nią ryby biorą.
- Czy panu jeszcze co zostało?
- Tak.

Skromny ten posiłek, przywrócił nam trochę sił a z niemi i nadzieję. Rozmawiamy wesoło o rybołówstwie bosmana i nikomu przez myśl nawet nie przejdzie, ażeby na drugi raz równie się powieść nie miało. Widocznie losy stały się dla nas łaskawsze.

W umysłach naszych nastąpił przewrót; możemy mówić o przeszłości. Myśl przestała być przykutą do teraźniejszej chwili lub okropnej przyszłości, która nam zagraża. Falsten, Kurtis, Letournerowie i ja, przypomnieliśmy sobie straconych towarzyszy, szczegóły pożaru, zatonięcie statku, Ham-Rock, okropne wieszanie się na masztach, burzę, i wszystkie te wypadki zdają się nam być bardzo odległymi.

Tak wszystko to minęło a my żyjemy jeszcze. Żyjemy! Jeżeli to się nazywa życiem! Z dwudziestu ośmiu pozostało nas 14 osób, a wkrótce może będzie 13.

– Zła liczba, rzekł Letourneur, czternastego nie prędko byśmy się doczekali.

W nocy z 8-go na 9-ty bosman, na tyle tratwy znów zarzucił wędki, i sam czuwał na niemi nie dowierzając nikomu.

Nad ranem przyszedłem do niego. Pałającymi oczami patrzył w głębinę wód, tak że mnie nie spostrzegł.

Wzięłem go lekko za ramię. Odwrócił się.

- I cóż bosmanie?
- Cóż przekłete rekiny zjadły moją przynętę.
- A więcej już nie zostało nic?

– Nie, odrzekł, ściskając mię za rękę a czy wiesz pan czego to dowodzi? To dowodzi, że nigdy rzeczy w połowie robić nie należy.

Zatkałem mu ręką usta. Zrozumiałem!

Biedny Walter!

## XLII.

*Od 9-go do 10-go stycznia.* Dziś znowu cisza zaległa na morzu. Słońce pali, i ani jednej nawet zmarszczki nie widać na jego falach. Jeżeli nie znajdujemy się na jakim prądzie unoszącym nas bezwiednie, to tratwa jest w zupełności nieruchomą.

Upał szalony. Pragnienie do niezniesienia. Brak wody daje nam się więcej czuć niżeli za pierwszym razem.

Przeczuwam, że sprawione przezeń cierpienia będą daleko większe od cierpień głodowych.

Wielu z nas ma usta, języki, i gardła zupełnie spieczone, błona śluzowa pęka prawie z suchości pod wpływem rozpalonego powietrza którym oddychamy. Na usilne prośby moje kapitan podwoił dziś porcyę wydawanej nam wody. Tak więc cztery razy na dzień chłodzimy się odrobiną wody, która pomimo przykrycia płótnem zupełnie prawie ocieplała. W ogóle mieliśmy dziś bardzo zły dzień. Majtkowie pod wpływem głodu przychodzą do rozpacz.

Wiatr nie zerwał się pomimo wejścia księżyca prawie w pełni będącego. Noce jak zwykle między zwrotnikami są chłodne, w skutek czego doznajemy znacznej ulgi, za to w dzień temperatura stała się zupełnie nieznośną. Ciągły wzrost ciepła przekonywa nas, że tratwa została gdzieś bardzo daleko na południe rzuconą. Ziemi nikt z nas nawet nie wygląda, zapomnieliśmy prawie, że ona istnieje. Zdaje nam się, że kula ziemską zmieniła się w płynny glob. Wszędzie i zawsze ocean nieskończony! Dziesiątego też sama temperatura. Ogień żywy leci na nas z nieba! Oddychamy powietrzem jak gdyby z pieca wychodzącem. Pragnienie zwyciężyło w nas głód i z wściekłością prawie oczekujemy chwili w której Robert Kurtis ma nam wydzielić po kilka kropel wody. Raz się napić do woli, chociażby umrzeć natychmiast! W tej chwili to jest w południe jeden z majtków dostał okropnych boleści, w skutek czego wrzeszczy przeraźliwie. Był to niegodziwy Owen, który leżąc na przodzie tratwy tarzał się w strasznych konwulsjach. Zawlokłem się do niego. Jakkolwiek źle postępował, uczucie ludzkości nakazuje go ratować, a przynajmniej ulżyć w cierpieniach. Nagle majtek Flaypol stojąc obok masztu z ręką na wschód zwróconą zawołał: Okręt! Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Cisza, nikt słowa nie śmiał wymówić. Nawet Owen zaprzestawszy jęków



zerwał się jak inni.

Rzeczywiście w stronie wskazanej przez Flaypola widać biały punkcik, ale czy ten punkt zmienia położenie, czyżby to był żagiel, co myślą o tem marynarze, których wzrok nigdy nie myli. Spojrzałem na Roberta Kurtis, który z założonemi na piersiach rękami spoglądał na zagadkowy punkt. Zdaje się, że całe życie zbiegło mu się w oczach, zmrużył powieki, zmarszczył czoło i zasłonił się ręką od blasku słońca, które go raziło. Jeżeli ten punkcik biały jest żaglem, Kurtis z pewnością się nie pomyli. Ale on spuścił głowę i ramiona mu opadły. Spojrzałem. Biały punkcik zniknął już. Nie był to okręt, raczej jakiś odbłysek słońca, wierzchołek bałwana zwodniczego, jeżeli zaś to był okręt w takim razie zniknął już z horyzontu. Po złudnej nadziei, jeszcze większa rozpacz nas ogarnęła. Każdy wrócił na swoje miejsce, tylko Robert Kurtis nie poruszył się wcale. Krzyki Owena znów się rozlegają. Ciało jego rzuca się w okropnych boleściach, tak, że prawdziwie strach bierze, patrzeć na niego. Gardło ściśnięte od kurczu spazmatycznego, język suchy, brzuch wzdęty, puls drobny i nieregularny. Nie ma najmniejszej wątpliwości że Owen otruł się koperwasem. Brak nam lekarstw mogących zneutralizować truciznę, koniecznie jednak należy wzbudzić wymioty, ażeby wyrzucił z żołądka szkodliwą materję, do czego najłatwiej doprowadzi woda letnia. Poprosiłem o nią kapitana czego naturalnie mi nie odmówił. Ponieważ pierwsza beczułka jest już zupełnie wypróżniona, zbliżyłem się do drugiej nietkniętej. Owen jednak zobaczywszy, że zbliżam się do beczki, ukląkł wołając nie ludzkim głosem: nie! nie! nie! Dla czego: nie? Wróciłem do Owena tłumacząc mu co chcę zrobić. Jeszcze energiczniej odpowiedział mi, że nie chce pić tej wody. Łechocąc go więc po języczku wywołałem wymioty i wkrótce wyrzucił z siebie niebieskawy płyn. Przekonaliśmy się, że miałem rację i że Owen w samej rzeczy otruł się koperwasem miedzianym. W tej chwili żaden ratunek nie może go ocalić.

Ale skąd dostał trucizny? Badaliśmy go wraz z kapitanem .

Któż opisze przerażenie z jakim usłyszeliśmy jego zeznanie!

Dręczony pragnieniem, ukradł parę kwaterek wody z nietkniętej dotąd beczułki!

Ta woda była zatruta!

### XLIII.

*Od 11 do 14 stycznia. W nocy Owen umarł, wśród gwałtownych ataków mózgowych. Widocznie baryłka kiedyś zawierała koperwas. Nie pytamy się przez jaką fatalność napełnioną ją wodą, dla czego zabraliśmy ją na tratwę, czemu w czasie burzy ta beczka raczej nie pękła, dość że nie mamy już*

wody!

Ciało Owena natychmiast rzucono w morze, albowiem uległo w jednej chwili rozkładowi, tak że bosman nie mógł zrobić z niego przynęty. Zbrodniarz ten nawet śmiercią swoją nam nie dopomógł. Każdy z nas wie doskonale w jakim jesteśmy położeniu, ale nikt nic nie mówi. Bo i czem zresztą mówić? Oprócz tego dźwięk głosów ludzkich stał się dla nas nieznośnym. Staliśmy się tak rozdrażnieni że lepiej zupełnie z sobą nie rozmawiać, bo najmniejsze słowo, gest nawet, już doprowadza nas do wściekłości trudnej do powstrzymania.

Dwunastego stycznia nie dostaliśmy już więcej wody, ostatnią kroplę wyczerpaliśmy wczoraj. Na niebie nie ma ani jednej chmurki deszczowej, w cieniu jest do 40 stopni ciepła, a i tego cienia na tratwie tak mało.

Trzynastego położenie w niczem się nie zmieniło. Woda morska, żre mi nogi do żywego mięsa, na co zupełnie nie zwracamy uwagi, podobnie jak i wszyscy inni, którzy wcześniej odemnie doznali tej przykrości.

Ah! ta woda, która nas otacza ze wszystkich stron! Kiedy pomyślę o tem że zamieniając ją w parę lub zamrażając można by ją uczynić zdatną do picia! W postaci pary lub lodu nie miałaby już w sobie ani jednego atomu soli, i możnaby ją było pić. Próżne to jednak marzenia, nie mamy aparatów i zrobić ich nie możemy. Dziś rano narażając się na pożarcie przez rekinów, bosman i kilku majtków kapłało się w morzu, przez co doznali niezmiernej ulgi w pragnieniu. Pasażerowie wraz ze mną zaledwie trochę pływać umiejący, puściliśmy się na wodę przywiązani na linach, przez ten czas Robert Kurtis zwracał uwagę na wodę. Na szczęście jednak żaden rekin się nie zbliżył. Pomimo usilnych naszych próśb panna Herbey nie chciała iść za naszym przykładem.

Czternastego o jedenastej rano, kapitan zbliżył się do mnie i rzekł cicho do ucha:

– Nie zdradź się pan, panie Kazallon, może być że się mylę, nie chcę narażać towarzyszków na nowe rozczarowania, tą razą jednak naprawdę zobaczyłem okręt...

Kapitan dobrze zrobił, uprzedziwszy mnie, bo nie byłbym panem pierwszego wzruszenia.

– Spójrz pan, dodał, z tyłu po lewej stronie.

Powstałem i udając najzupełniejszą obojętność przebiegłem wzrokiem łuk poziomu wskazany mi przez Roberta Kurtisa. Moje oczy nie są oczami marynarza, pomimo to jednak w ledwie dostrzegalnej sylwetce rozpoznałem okręt pod żaglem. W tejże samej chwili bosman którego wzrok przypadkiem w tę samą stronę był zwrócony krzyknął nagle: Okręt! Obecność statku nie sprawiła takiego wrażenia jakiegośmy się spodziewali. Czemu winno głównie: niewiara i wycieńczenie sił. Ale bosman nie ustawał krzyczeć: okręt! okręt! I wszystkie spojrzenia zwróciły się na morze.

Tą razą nie omyliliśmy się. Statek któregośmy się nie spodziewali nawet,

dąży ku nam. Czy jednak nas ujrzy?

Majtkowie się starają rozpoznać rodzaj i kierunek statku szczególnie kierunek. Robert Kurtis popatrzawszy się uważnie rzekł do mnie:

– Ten okręt jest to bryg płynący prawą stroną ku nam. Jeżeli jeszcze przez dwie godziny jeszcze utrzyma się w tym samym kierunku, musi nam przeciąć drogę.

Dwie godziny! dwa wieki! a jednak kierunek statku w każdej chwili może się zmienić, tem bardziej że o ile się zdaje, lawirując, przeciwko wiatrowi podsunął się. Zakreśliwszy więc łuk dany, przechylił się na lewą stronę, i znów oddali od nas. Gdyby on szedł ku nam z wiatrem, moglibyśmy spodziewać się ratunku. Trzeba się starać ażeby bądź co bądź spostrzeżono nas z okrętu. Robert Kurtis rozkazał używać wszelkich sygnałów, albowiem bryg jest od nas odległy o jakie dwanaście mil, zatem nie mógłby usłyszeć naszego głosu. Nie mamy także broni palnej, której wystrzały mogłyby zwrócić uwagę. Należy więc przywiązać chorągiew na szczycie masztu. Czerwony szal miss Herbey najlepiej się do tego nadał, albowiem ten kolor doskonale się odbija na tle morza i nieba. Lekki wiatr powiewa nim napełniając serca nasze radością. Wiemy z jaką energią człowiek tonący chwyta każdy przedmiot który mu pod rękę podpadnie, szal ten był dla nas tym właśnie przedmiotem. Godzinę całą przebyliśmy w największej niecierpliwości. Bryg widocznie zbliżył się do tratwy, chwilami jednak zdaje się zatrzymywać jak gdyby miał zmieniać kierunek. Jakże ten okręt wlecze się powoli! A jednak ma wszystkie żagle rozpuszczone i pudło już prawie widać po nad horyzontem. Wiatr jednak słabnie ciągle a może ustanie zupełnie. Dalibyśmy rok życia, ażeby być starszemi o godzinę. Bosman i kapitan sądzą, że w tej chwili okręt jest tylko o 9 mil odległy od tratwy. Przez półtorej godziny przebiegł zaledwie trzy mile. Może być więc że wiatr przelatujący po nad naszymi głowami, nie dochodzi do statku. Zdaje mi się nawet że żagle okrętu wiszą opuszczone przy masztach. Stałem obok panów Letourneur i miss Herbey i wzrok nasz kolejno badał i okręt zdala unoszący się na fali, i kapitana nie poruszonego na przodzie statku, obok którego stał bosman. Wzrok nasz na chwilę nawet nie odwrócił się od okrętu, i na twarzach które nie mogą się utrzymać w zupełnej spokojności, czytać możemy wrażenia jakich doznają. Żaden z nas nie wyrzekł ani jednego słowa dopóki Daulas nie wykrzyknął na głos:

Zawraca! Życie nasze zdawało się uciekać wraz z oddalającym się okrętem. Zerwaliśmy się. Z ust bosmana wypadło straszliwe przekleństwo. Okręt oddalony o dziewięć mil od nas nie mógł spostrzedz znaków któreśmy mu dawali. Tratwa dla niego w tej odległości była tylko punkcikiem zalany falami promieni słonecznych. Nie mógł nas zobaczyć. Ktokolwiek byłby kapitanem tego statku, nie dopuściłby się tego rodzaju okrucieństwa, ażeby uciec bez dania nam ratunku.

Nie, to jest nieprawdopodobne; nie widział nas! Ognia! dymu! zawołał Kurtis. Spalmy wszystkie deski na tratwie będącej. Jest to jedyny środek ażebyśmy byli spostrzeżeni.

Ułożyliśmy na przodzie sto desek, które z trudnością się zapaliły. Skutkiem jednak wilgoci masa dymu wleciała prosto ku niebu. Gdyby noc

zapadła przed zniknięciem okrętu, nawet z takiej znacznej odległości możnaby dojrzeć łunę.

Godziny upływają; ogień zagaśł...

W podobnych okolicznościach ażeby poddać się woli Bożej, trzeba mieć władzę nad sobą której już mi zabrakło. Tak jest; straciłem już wiarę w tego Boga, który nie dość że nas doświadcza tak okropnie ale jeszcze zdaje się naigrawać z nas przez ukazywanie widziadeł ocalenia. Zacząłem kłąć i bluźnić jak bosman przed chwilą. Słaba ręka, wsparła się na mnie i miss Herbey ukazała mi niebo!

Nie, tego już zanadto! nie chcę nic więcej widzieć, ukryłem się pod żaglem; zapłakałem jak dziecko. Przez ten czas okręt zmieniawszy żagle oddalił powoli ku wschodowi, a w trzy godziny potem najsilniejszy wzrok nie mógł go już odszukać na horyzoncie.

#### XLIV.

*15 stycznia.* Po tym ostatnim ciosie śmierć nam tylko pozostała. Ona nas z pewnością nie zawiedzie. Kilka chmur ukazało się na wschodzie, i lekki wietrzyk poruszył powietrzem. Temperatura stała się trochę znośniejszą i pomimo naszego osłabienia, ulegliśmy jej wpływowi. Gardło moje oddycha powietrzem mniej palącym, ale od czasu połowu bosmana t. j. od siedmiu dni nic nie jedliśmy. Na tratwie nic już nie ma. Wczoraj dałem Andrzejowi ostatni kawałek suchara, przechowany przez ojca, który mi z płaczem go oddał...

Od wczoraj murzyn Ynxtrop uwolnił się z więzów, Kurtis nie kazał mu ich na nowo założyć! Po co? Ten nędznik i jego wspólnicy są tak osłabieni przez brak pożywienia, że obawiać się ich nie ma potrzeby. Kilka wielkich rekinów ukazało się pod wodą, patrzymy z jaką wielką szybkością skrzydła ich przeryniają fale. Niestety! są to trumny żyjące, czychające na pochłonięcie naszych nędznych szczątków. Nie przerażają mnie już, raczej przyciągają. Zbliżają się tak blisko do brzegów tratwy, że o mało jeden z tych potworów nie chłapnął ręki Flaypola, którą trzymał zwieszoną.

Bosman, z oczami szeroko rozwartymi, z zaciśniętymi zębami, patrzy na rekinów inszym niż ja wzrokiem. Chce ich pożreć, ale nie być pożartym przez nich. Gdyby mu się udało złowić jednego nie oszczędzałby jego ciała. Postanowił spróbować, ale ponieważ nie ma przynęty, stara się sobie ją sfabrykować. Robert Kurtis i Daulas podzielają jego zdanie, naradzają się wspólnie, rzucając kawałki maszta lub liny tym żarłokom dla przytrzymania ich przy tratwie.

Daulas poszedł poszukać swego młotka ciesielskiego z którego myśli

zrobić przynętę. Można przypuszczać że młotek ten uwięźnie w szczękach, za pomocą ostrzy, jeśli zwierz go chciał połknąć. Co do rączki młotka która jest drewniana, przymocowano ją do liny, którą znowu mocno przybito do słupa tratwy.

Żądze nasze są wzburzone do najwyższego stopnia przez te przygotowania. Wszystkimi możliwymi środkami obudzamy uwagę rekinów, które już nie uciekają.

Wędką na koniec gotową, ale nie mamy nic na przynętę. Bosman który chodzi wzdłuż tratwy, rozmawiając z samym sobą, zagląda, w każdy kąt jakby szukał trupa między nami.

Zmuszony jest użyć środka raz już próbowanego, i żelazo młotka owiazać kawałem czerwonego szala miss Herbey.

Ale bosman boi się zanurzyć wędkę przed przekonaniem się czy wszystkie ostrożności porobiono. Próbuje więc czy wędkę jest dobrze przymocowana. Czy lina wytrzyma wstrząśnienia? Czy słupek jest dosyć mocny ażeby się im oprzeć? Bosman z wielką starannością bada te ważne szczegóły.

Nakoniec rzucono cały aparat w wodę.

Morze tak jest przezroczyste że można rozróżnić każdy przedmiot o 100 stóp pod powierzchnią. Widzimy więc zanętę, jak powoli spada w głębinę owinięta w czerwoną smatę, której kolor jaskrawo odbija się na niebieskim tle wody.

Pasażerowie i załoga, pochyleni przez poręcz patrzymy w najgłębszym milczeniu. Zdaje się jednak że rekiny, odkąd ofiarowano im ten smaczny kąsek znikły zupełnie. Z pewnością jednak nie oddaliły się i cokolwiek spadło by w morze, z pewnością w jednej chwili byłby przez nich pożartem.

Nagle, bosman dał znak ręką. Ukazuje nam potworną masę, która wietrząc powierzchnią morza zbliża się do statku. To rekin długości ze 12 stóp, wysunął się z głębin i płynie po stronie prawej tratwy.

Kiedy zwierz znajdował się zaledwie o cztery sążni od tratwy, bosman pociągnął zlekka za linę, ażeby naprowadzić przynętę na jego drogę, i nadał szmacie czerwonej lekki ruch, ażeby wyglądała jak żywy przedmiot.

Czuję że serce moje bije silnie, jak gdyby od tej próby życie moje zależało!

Rekin zbliża się, oczy błyszczą na powierzchni morza i z pomiędzy otwartych szczęk widać, przy każdym odwróceniu się potwora boki do nas, podniebienie najeżone ostremi zębami.

Ktoś krzyknął na tratwie zapewne mimowolnie. Rekin zatrzymał się i zniknął w głębinie.

Bosman zerwał się blady z gniewu i rzekł:

– Zabiję pierwszego co się odezwie!

I znów zabrał się do roboty. Bądź co bądź bosman ma rację.

Przynętę znów zanurzono; przez całe jednak pół godziny nie widać rekina; trzeba ją więc na jakie 20 sążni zapuścić. Zdaje się jednak że w tej głębokości woda wzrusza się niespokojnie, co dowodziłoby że rekiny są tak głęboko.

W samej rzeczy, wędka nagle została szarpniętą tak silnie że bosmanowi wyrwała linę z ręki; na szczęście przywiązano ją do tratwy i nie może nam uciec.

Rekin połknął przynętę i schwytał się.

– Na pomoc, chłopcy, na pomoc! zawołał bosman. Wszyscy pasażerowie i załoga rzucili się do liny. Nadzieja wzmacnia nam siły, pomimo to z trudnością ciągniemy, bo rekin szarpie się wściekle. Powoli jednak, górne warstwy wody zakłócały pod uderzeniami ogona i piersi potworu.

Nachyliwszy się zobaczyłem niezmierną masę wijącą się wśród zakrwawionych fal.

– Śmiało! śmiało! woła bosman.

Nareszcie wypłynęła głowa zwierzęcia, przez otwarte szczęki hak dostał się w głąb gardła i uwiązał tak silnie, że nie mogą wyrwać go stamtąd żadne szamotania się. Daulas porwał za topór ażeby do dobić jak tylko zbliży się do tratwy.

W tejże chwili usłyszeliśmy trzask. Rekin zamknął gwałtownie szczęki, strzaskał niemi rękojeść haka i zniknął w głębinie.

Jęk rozpaczony wyrwał się każdemu z piersi. Bosman, Kurtis i Daulas, próbowali jeszcze złapać którego rekina. Nie mają jednak ani haka ani narzędzi do zrobienia go, zarzucili stryczki, które jednak zsuwały się po gładkiej skórze psów morskich. Bosman nawet ażeby ich zwabić, zwiesił nogę po za tratwę, narażając ją na ucięcie zębami.

Bezowocnych prób zaprzestano nareszcie, i każdy poszedł na swoje miejsce oczekiwać śmierci, której niczem zażegnać nie możemy.

Na odchodnym usłyszałem jak bosman mówił do Kurtisa:

– Kapitanie, kiedy pociągniemy losy?

Kurtis nic nie odpowiedział, ale pytanie było postawiono.

## XLV.

16 stycznia. Leżymy rozciągnięci na żaglach. Załoga przepływającego okrętu, mogłaby sądzić że to cmentarz pływający.

Okropnie cierpię, nawet nie wiem czy mógłbym jeść przy zapaleniu jakie ogarnęło moje usta, język i gardło, pomimo to rzucamy wzajemnie na siebie dzikie spojrzenia.

Upał dziś jeszcze silniejszy, bo zdaje się że będzie burza. Gęsta para unosi się, ja zaś jestem przekonany że deszcz będzie padał na około byle nie na tratwę.

Patrzemy ku niebu a pan Letourneur wyciągnął ręce błagając o kroplę wody. Słuchałem czy grzmot w oddali nie zapowie nam zbliżania się burzy. Już jedenasta; chmury zasłoniły zupełnie słońce. Widocznie burza nie wybuchnie albowiem całe niebo jednostajnie pokryte chmurami.

– Deszcz! zawołał nagle Daulas.

I rzeczywiście o pół mili od tratwy widać na niebie równoległe pasy. Deszcz pada i na powierzchni oceanu błyszczą bańki wodne. Wiatr niesie chmurę ku nam aby tylko nie wyczerpała się zanim doleci do nas.

Bóg nareszcie zlitował się nad nami! Deszcz pada w wielkich kroplach jak zwykle w krótko trwałych ulewach. Spieszmy się zbierać wodę bo chmury już przecierać się zaczynają.

Kurtis ustawił rozbitą beczkę, na około zaś rozpostarliśmy żagle ażeby na większej powierzchni łapać wodę. Położyliśmy się wznak z otwartymi ustami. Woda zlewa mi twarz, usta i czuję jak wpływa mi do gardła! Co za rozkosz niewypowiedziana! Jak gdyby życie wpadało we mnie kroplami. Błona śluzowa pieści się pod dotknięciem ożywczych kropli. Oddycham zarówno jak i piję ten zbawczy napój, który przeradza całą moją istotność.

Deszcz trwał 20 minut, poczem chmura rozeszła się. Powstaliśmy wszyscy lepsi! Tak lepsi! Ściskamy się za ręce, mówimy do siebie: zdaje się żeśmy już ocaleli! Bóg w miłosierdziu swoim zesłał nam inne chmury, a te przyniosą nam wodę, której nam tak długo brakowało! Zresztą nie straciliśmy wody spadającej na tratwę. Baryłka i żagle dużo jej złapały. Zachowamy więc ją troskliwie i po kropelce używać będziemy. W baryłce jest kilka garncy wody. Majtkowie wzięli się do wyciskania wody na żagle schwywanej.

– Zaczekajcie! zawołał Kurtis, trzeba zobaczyć czy to woda zdatna do picia. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Wszakże to woda deszczowa.

Kurtis wycisnął w kubek blaszany trochę wody z żagla, skosztował i splunął. Z kolei i ja spróbowałem. Ależ to woda jeszcze słodsza od morskiej! Żagle tak długo wystawione na działanie bałwanów, nasiąkły solą, którą następnie woda deszczowa rozpuściła. Jestto nieszczęście nie do powetowania. Ale cóż to szkodzi! Odzyskaliśmy na nowo nadzieję. W baryłce jest kilka garncy wody, a zresztą kiedy dzisiaj deszcz padał, dla czego by jutro nie miał padać.

## XLVI.

17 stycznia. Po zaspokojeniu pragnienia, naturalnem następstwem rzeczy że głód zawzięcie zaczął nam dokuczać. Czyż nie ma więc środka na ujęcie jednego z tych rekinów które krążą na około tratwy. Chyba rzucić się w morze i uderzyć na te potwory z nożem w rękę w ich własnym żywiole, jak to zwykli robić Indianie łowiący perły. Kurtis chciał probować szczęścia, aleśmy go powstrzymali. Za wiele jest rekinów, byłoby to więc narazić się bezpotrzebnie na śmierć. Zauważyłem że łatwiej jest oszukać pragnienie niż głód. Kąpiel w morzu, w ostateczności zaś lizanie jakiegokolwiek metalu już sprawia pewną ulgę, brak materji pożywnej niczem zastąpić się nie pozwoli. Zresztą woda może zawsze spaść z deszczem, można więc zawsze mieć nadzieję że się będzie piło, ale można zwątpić zupełnie, czy będzie się jadło.

Myśmy już doszli do tego, że jedni na drugich żałośnie spoglądamy. Łatwo pojąć na jakiej pochyłości były myśli nasze i do jakiej dzikości, doprowadzić może nędza umysły wciąż jedną myślą opanowane.

Niebo znów czyste po nad nami, wiatr na chwilę ożywił się, ale teraz żagle wiszą wzdłuż masztów. Przestaliśmy uważać wiatr za motor! Gdzie jest nasza tratwa?

W którą stronę Atlantyku prądy ją zagnały? Nie wiemy, głupstwem więc byłoby pragnąć ażeby wiatr dał od zachodu raczej, niż od południa.

Jednej tylko rzeczy pragniemy od wiatru, to jest ochłody dla naszych piersi, pragniemy ażeby przyniósł odrobinę pary wodnej co zdołałaby umniejszyć upał, którym słońce w zenicie będąc, pali nas jak płomieniem.

Wieczór już nadszedł, i noc będzie zupełnie ciemna aż do północy, to jest do chwili wejścia księżycy w ostatniej kwadrze będącego. Gwiazdy zamglone nie jaśniejają takim blaskiem wspaniałym, jak podczas innych nocy. Pod wpływem jakiegoś szaleństwa, pod wrażeniem głodu zwykle pod koniec dnia wzmagającego się, rozciągnąłem się na stosie żagli i zwiesiłem głowę po nad fale, wdychając w siebie świeżą wilgoć.

Z moich towarzyszków którzy leżą w zwykłych miejscach czy który znalazł spoczynek we śnie? Nie wiem. Może żaden. Mózg mój jest pełen widziadeł.



Chorobliwa drzemka która nie była ani czuwaniem ani snem opanowała mnie zupełnie. Nie wiem przez jak długi czas pozostawałem pod wpływem tej zupełnej nicości. Przypominam sobie tylko że w pewnej chwili uwagę moję zwróciło dziwne uczucie.

Niewiem czy marzę, ale węch mój został uderzony zapachem którego z początku nie mogłem pokonać. Jest to jakiś zapach który dolatuje mnie z wiatrem. Nozdrza moje nadęły się, miałem ochotę zawołać: Co tak pachnie? Jakiś dziwny instynkt powstrzymał mię i w myśli szukałem nazwiska na określenie przedmiotu wydającego ten zapach. Kilka chwil upłynęło w ten sposób. Dotykalność jednak wrażenia dopomogła mi nareszcie do zdefiniowania rzeczy.

Ależ to zapach pieczonego mięsa! pomyślałem jak człowiek przypominający sobie rzecz od dawna nie widzianą. Zmysły moje nie mylą się, a jednak na tratwie... Ukląknę, znów wciągam w siebie, a raczej węższe powietrze. Ten sam zapach ciągle mnie dolatuje. Jestem pod wiatrem a zatem przedmiot który wydaje ten zapach zdaje się na przodzie tratwy.

Ruszyłem z miejsca i pełzając jak zwierzę posuwałem się pod żaglami z kocią ostrożnością, ażeby nie obudzić uwagi którego z moich towarzyszków.

Przez kilka minut wietrzyłem w ten sposób po wszystkich kątach, powodując się jak wyżeł węchem.

Już tracę ślad, czy w skutek przycichnięcia wiatru, czy też z powodu mylnej drogi którą obrałem, kiedy znowu zapach silniej do mnie doleciał.

Nareszcie wpadłem na trop i czuję że zbliżam się do przedmiotu. Właśnie wtedy dopełznałem do załamku po prawej stronie z przodu, i rozpoznaję że ten zapach mogła tylko wydać wędzona słonina. Nie mylę się. Wszystkie brodawki na moim języku nabrzmiały do żądzły!

Musiałem wtedy przesunąć się pod swoim płóciem. Nikt mnie nie widzi, ani też słyszy. Na czworakach pełnę powoli. Nareszcie wyciągnąłem rękę i ująłem przedmiot zawinięty w kawałek papieru. Szybko cofnąłem się, rozpatrując zdobycz przy świetle księżyca który zabłysnął na niebie.

To nie złudzenie. W ręku trzymam kawałek słoniny zaledwie ćwierć funta, ależ to wystarczy na zaspokojenie głodu przez cały dzień! Niosę go do ust...

Czyjaś ręka pochwyciła moją. Odwracam się, zaledwie powstrzymując się od wymysłów. Poznałem gospodarza okrętu Hobbarta.

Teraz wszystko wyjaśniło się, wyjątkowe położenie Hobbarta, jego stan zdrowia i skargi fałszywe. W czasie rozbicia statku, zdołał ocalić jakąś żywność, którą ukrył na zapas, zjadając sam podczas kiedy myśmy marli z głodu! Oh! nędznik!

Ale nie! Hobbart postąpił rozsądnie. Widzę że to jest człowiek rozumny, oszczędny, a że zachował w sekrecie przed wszystkimi jakiś kawałek słoniny, tem lepiej dla niego i dla mnie także. Widocznie jednak różnimy się w

zdaniach. Porwał mię za rękę i chce odebrać słoninę, nic jednak nie mówiąc, ażeby nie zwrócić uwagi reszty ludzi.

Mnie także własny interes nakazuje milczeć. Nie trzeba żeby inni spostrzegli się. Z pewnością by i mnie i jemu odebrali. W cichości więc walczymy z sobą; wściekłość zaś moja podwoiła się kiedy usłyszałem jak Hobbart mrucał przez zęby: mój ostatni kąsek! Jego ostatni kąsek! więc bądź co bądź muszę go mieć. Pochwyciłem za gardło mojego przeciwnika który zaczął chrapać pod uściskiem mojej ręki i wkrótce przestał się poruszać.

Ja zaś przytrzymując go kolanami na ziemi, zjadłem cały kawałek słoniny.

Potem puściłem Hobbarta i znów pełzając dowlokłem się do swego miejsca na tyle tratwy. Nikt mnie nie widział. Jadłem!

## XLVII.

*18-go stycznia.* W dziwnym niepokoju oczekiwałem dnia. Co powie Hobbart? Zdaje się że nie ma prawa mnie zaskarżyć! Nie, to głupstwo. Gdybym opowiedział wszystko jak się stało, gdyby dowiedziano się że on w najlepsze sobie zajadał, podczas kiedyśmy marli z głodu, to nareszcie bez litości by go zamordowano...

W każdym razie chciałbym ażeby się już rozwidniło.

Głód w jednej chwili opuścił mię zupełnie, chociaż ten kawałek słoniny, ten ostatni kęsek jak go nazwał Hobbart, był taki maleńki! Pomimo to przestałem cierpieć, przyznaję się do tego z głębi serca że sumienie gryźć mię zaczęło. Dla czego nie podzieliłem się z moimi towarzyszami? Powinienem był pamiętać o miss Herbey, Andrzeju, p. Letourneur... a ja myślałem tylko o sobie! Nakoniec zaczynało dzień. Za chwilę dzień zupełnie zajaśnieje, albowiem w tych szerokościach nie ma prawie zaranku i zmierzchu. Nie mogłem usnąć. Przy pierwszym brzasku jutrenki ujrzałem jakąś bryłę bezkształtną kołyszącą się w połowie masztu.

Cóż to za przedmiot? Nie mogąc go rozróżnić leżałem sobie dalej na stosie żagli. Zaledwie słońce zabłysło, rozpoznałem ciało wisielca, kołyszące się z wiatrem.

Dziwne jakieś przecucie zerwało mnie z miejsca i przybiegłem do stóp masztu. Ten wisielec to Hobbart!

Nieszczęśliwy! i to ja! tak ja! popchnąłem go do samobójstwa! Okrzyk

zgrozy wyrwał się z moich piersi. Towarzysze podnieśli się, ujrzeli ciało i rzucili się ku niemu. Jednak nie dla tego ażeby ratować tlejącą w nim może dotąd iskierkę życia...

Zresztą Hobbart już dawno nie żyje, ciało jego ostygło zupełnie.

W jednej chwili urżnięto postronek. Bosman, Daulas, Inxtrop, Falsten i inni rzucili się na trupa...

Nie! nie widziałem tego! Nie mogłem patrzeć. Nie przyjąłem udziału w tej wstrętnej uczcie! Ani miss Herbey, ani Letourneurowie nie chcieli opłacić podobną ohydą ulgi chwilowej bodaj.

Co do Kurtisa, nie wiem... Nie śmiałem się zapytać... Inni zaś! o! człowiek staje się niekiedy zwierzęciem drapieżnym... to okropność!

Ukryłem się pod namiotem nie chcąc widzieć! Dostyc było dla nas żeśmy słyszeli!

Andrzej Letourneur chciał się rzucić na tych kannibalów, ażeby wyrzucić te okropne szczątki! Musiałem użyć całej siły ażeby go powstrzymać.

A jednak oni byli w prawie, ci nieszczęśliwi. Hobbart umarł! wszak oni nie zabili go! Czyż bosman nie powiedział kiedyś, że lepiej zjeść umarłego niżeli żywego!

Kto wie zresztą czy ta scena nie będzie prologiem do straszliwego dramatu mającego zakrwawić tratwę.

Pomimo przedstawień jakie zrobiłem Andrzejowi, nie mogłem przytłumić uczucia zgrozy, które w nim wzrosło aż do oburzenia.

Pomyśleć jednak o tem: my umrzemy z głodu a ośmiu towarzyszów unikną zapewne tej śmierci.

Hobbart dzięki zapasom jakie trzymał w ukryciu, najlepiej się trzymał z nas wszystkich.

Organizm jego nie wycieńczony głodem zachował całą jędrność tkanin. W pełnym zdrowiu, gwałtowną śmiercią przestał żyć.

W tej chwili jeden z nich podniósł głos. To cieśla Daulas. Radzi ażeby wyparować na słońcu wodę morską i zebrać sól.

– A resztę zasolimy, zakończył.

Naturalnie, odpowiedział bosman. I po wszystkim, bez wątpienia przyjęto propozycją cieśli, bez dyskusyi. Cisza zaległa na tratwie, widać że majtkowie usnęli.

Już nie są głodni.

## XLVIII.

19 stycznia. Przez cały dzień dzisiejszy, też sama temperatura, też samo cicho. Noc nie przynosi żadnej zmiany w stanie powietrza. Nie mogłem prawie zupełnie spać. Nad ranem, usłyszałem gniewne okrzyki rozlegające się na pokładzie.

Panowie Letourneur, Miss Herbey, wstali także. Odsunąłem namiot ażeby zobaczyć co zaszło.

Bosman, Daulas i załoga są w najokropniejszej rozpacz. Robert Kurtis dotąd siedzący na tyle tratwy dowiedziawszy się czemu unoszą się takim gniewem, chce ich uspokoić.

– Nie! nie! rzekł Daulas rzucając na około siebie wściekłym wzrokiem, musimy dowiedzieć się, kto to zrobił.

– A tak! jest tu jakiś złodziej, wszystko zniknęło, dodał bosman.

– To nie ja. Ani ja, usprawiedliwia się każdy z majtków z kolei.

Widzę biedaków jak trzęsą po wszystkich kątach, podnoszą żagle, przestawiają ławki; gniew ich rośnie w miarę przekonania się o bezowocności poszukiwań.

Bosman podszedł do mnie.

– Pan musisz znać złodzieja, rzekł.

– Nie wiem co pan przez to rozumiesz. Daulas i majtkowie zbliżyli się.

– Przeszukaliśmy całą tratwę, jeszcze tylko został namiot do zrewidowania.

– stąd nikt ani na chwilę nie wyszedł.

– Zobaczymy.

– Nie! zostawcie w spokoju tych co umierają z głodu.

– Panie Kazallon, rzekł powstrzymując się bosman, my nieoskarżamy pana. Jeżeli kto z was wziął część której niechciał wziąć wczoraj, miał do tego prawo. Ale wszystko zniknęło, rozumiesz mnie pan, wszystko.

– Poszukajmy krzyknął Saudon.

Majtkowie zbliżyli się. Nie mogłem opierać się tym biedakom zaślepionym przez głód. Strach okropny przejął mnie.

Może pan Letoueneur, nie dla siebie, ale dla syna... posunął się aż do... Jeśli to zrobił, ci szaleńcy rozedrą go na kawałki.

Spojrzałem na Kurtisa, jakby błagając go o pomoc. Staął obok mnie, z rękami w kieszeniach, w których zwykle nosi broń.

Na usilne jednak żądanie – bosman, miss Herbey i Letournierowie wyszli z namiotu, który przetrząsnięto w najmniejszych kąciach, na szczęście jednak, napróżno.

Widocznie szczątki Hobbarta wrzucono w morze, na tratwie ich ani śladu. Któż to jednak zrobił? Spojrzałem na miss Herbey i pan Letournier, wzrokiem odpowiadającym mi, że nie oni. Zwróciłem oczy na Andrzeja, ten odwrócił natychmiast głowę.

Nieszczęśliwy młodzieniec! Więc to on? Czy pojmuje następstwa swojego czynu?

## XLIX.

*Od 20 do 22 stycznia.* Przez następne dni, wszyscy którzy przyjęli udział w obrzydłej uczcie z 18 stycznia, mniej cierpieli, jako lepiej odżywieni chwilowo.

Ale miss Herbey, Letournierowie i ja! Czyż będę w stanie opisać to czego doświadczamy! Żałujemy prawie, że te szczątki zniknęły. Jeżeli jeden z nas umrze, z pewnością nie oparłbym się teraz.

Bosman, Daulas i inni jak tylko głód zaczął im dokuczać na nowo, patrzą na nas błędnie oczami. Czyż nie mielibyśmy być dla nich pewną ofiarą?

Daleko więcej cierpimy od pragnienia, niżeli od głodu. Tak! żaden z nas nie wahałby się ani na chwilę pomiędzy szklanką wody i kawałkiem chleba. Wszyscy rozbitki pisali o tem i jest to najzupełniejszą prawdą. Od pragnienia więcej się cierpi niż do głodu i prędeż się też umiera.

I co za męczarnia, widzieć na około siebie te wodę morską, która na spojrzenie niczem się nie różni od wody słodkiej. Wieleż to razy próbowałem wypić jej kilka kropli, ale wywołuje wymioty nieznośne, i wzmacnia na długo pragnienie.

Dosyć już tego! Otóż 42 dni jak opuściliśmy okręt! Czyż można się

jeszcze ludzi nadzieją? Jesteśmy skazani na to, ażeby jeden po drugim umarł, najgorszą ze śmierci. Czuję, że na mózg mój padła jak gdyby ciężka zasłona. Jest to jakiś rodzaj obłąkania, które zaczyna mnie ogarniać. To obłąkanie przeraża mnie! Jak daleko ono dojdzie? Czy odzyskam kiedy wraz z siłami i rozum?...

Przyszedłem do siebie, nie wiem po wielu godzinach. Na czole mam kompresy napojone wodą morską które mis Herbey ciągle zmienia. Czuję, że wkrótce umrę.

Dnia 22-go okropna scena. Murzyn Ynxtrop nagle zwaryował i zaczął przebiegać po tratwie wydając z piersi jakiś rodzaj wycia.

Robert Kurtis napróżno stara się powstrzymać go! Rzuca się ażeby na pozrec! Trzeba się bronić przeciw napaściom tego drapieżnego zwierzęcia. Ynxtrop wywija kawałem lewaru, od którego uderzeń trudno się uchronić.

Nagle, przez zwrot niespodziany, jak zwykle w atakach mózgowych, wściekłość jego zwróciła się przeciw niemu samemu.

Rozdziera się zębami, paznogciami i rzuca nam krwią w twarz wołając: Pijcie! pijcie! – Przez kilka minut wił się w ten sposób zbliżając ciągle ku przodowi tratwy i wołając: Pijcie! pijcie! Raptem wskoczył w morze.

Bosman, Falsten i Daulus, rzucili się na przód tratwy, aby pochwycić ciało, na morzu jednak widać już było tylko krwawą plamę, w pośród której potworne rekiny wydzierały sobie wzajemnie okropną pastwę.

## L.

22 i 23 stycz. Pozostało nam jednaście osób na statku, i zdaje mi się że nie możliwem ażeby teraz codzień liczba nie miała się zmniejszać. Koniec dramatu, jakkolwiek ma być, zbliża się. Za ośm dni, albo przybijemy do lądu, albo okręt ocali rozbitków.

W przeciwnym razie, nie pozostanie z nas ani jeden przy życiu.

23. Niebo zmieniło się. Wiatr silnie dmie od północo-wschodu. Żagiel nadęty silnie, a wyraźny ślad pozostaje za tratwą widocznie posuwającą się. Kapitan powiada że przebiegamy 3 mile na godzinę.

Robert Kurtis i Flasten najlepiej z nas trzymają się. Pomimo niezrównanej chudości, znoszą do zadziwienia mężnie niedostatek. Co się zrobiło z miss Herbey, trudno powiedzieć. Pozostała już tylko dusza, ale silna jeszcze, życie zaś całe zbiegło się w oczach błyszczących silnie. Ona już

należy do nieba, ale nie do ziemi.

Ale jeden z najenergiczniejszych, ludzi jakich znałem, bosman, jest złamany! Poznać go niepodobna. Nie poruszony siedzi w jednym z kątów tratwy, nie wznosi głowy, długie ręce kościste wiszą mu niedbale, a jabłka kolan przecierają zużyte spodnie.

Ten znów żyje wyłącznie w ciele, i doszedł już do tego stopnia nieruchomości, że częstokroć myślę iż już zasnął.

Na tratwie cisza zupełna. Jęki, słowa, krzyki, wszystko się przerwało. Na dzień wszyscy razem 10 słów nie przemawiamy. Zresztą w skutek wyschnięcia języka i podniebienia, mowa nasza stała się zupełnie niezrozumiałą. Na tratwie są tylko widziadła, larwy nie mające w sobie nic ludzkiego.

## LI.

*24 stycznia.* Gdzie jesteśmy? W którą okolicę Atlantyku tratwa została zapędzona. Pytałem o to Kurtisa, ale on odpowiedział mi niewyraźnie. Sądzi jednak że zbliżamy się ku ziemi, a to podług notatek, w których zapisywał ciągle kierunek wiatru. Dziś cisza zupełna, na morzu jednak silna fala, dowodząca że gdzieś na wschodzie była zapewne burza. Tratwa psuć się zaczyna. Kurtis, Falsten, cieśla starają się o ile im sił pozostało utrzymać w spojeniu rozpadające się części. Po co się tem trudnią? Niech się rozpadną te deski. Niech nas Ocean już pochłonie. Po co walczyć z nim o te nędzne życie!

Męczarnie nasze dobiegły najwyższego kresu jaki człowiek wytrzymać może. Dalej już nie posuną się. Upał okropny, niebo leje na nas roztopiony ołów.

Pot zlewa nas tak że łachmany są zupełnie na nas mokre, pragnienie wzmagą się od tego. Nie – już nie mogę opisywać więcej tego co czuję! Kiedy chcę określić wszystko co cierpimy – słów mi brakuje.

Ostatni środek ochłodzenia się którego używaliśmy, został nam teraz zupełnie wzbronionym. Ani myśleć nawet o kąpieli, od czasu śmierci Ynxtropa – rekinów całe stada krążą naokoło tratwy.

Próbowałem dziś trochę dostać trochę wody przez parowanie nad ogniem, ale pomimo całej cierpliwości, doszedłem tylko do zwilżenia szmatki płóciennej, przyczem kubek blaszany, zniszczony poprzednio roztopił się do reszty, musiałem zaniechać całej roboty.

Falsten także upadł zupełnie na siłach, przeżyje nas zaledwie o parę dni.

Chociaż podnoszę głowę nie mogę go zobaczyć: Czy się położył pod żaglami, a może już umarł. Jeden tylko Kurtis stoi na przodzie tratwy i patrzy! ... Nie mogę sobie wyobrazić jakim sposobem ten człowiek może spodziewać się jeszcze?... Poszedłem na tył tratwy. Tutaj będę oczekiwał śmierci. Im prędzej tem lepiej. Nie wiem ile godzin upłynęło...

Nagle usłyszałem wybuch wesołego śmiechu. Pewno znów kto zwaryował.

Łąka, Łąka! drzewa zielone! karczemka pod drzewami! Prędko! prędko! proszę wódki! mięsa i wody po dukacie kropla! Zapłacę bo mam złoto, mam! mam!

Biedny marzycielu! Za wszystko złoto banku, nie dostałbyś teraz kropli wody.

Flaypol, który dostał obłądu, woła:

Ziemia, ziemia tam jest!

Słowa te mogłyby zgalwanizować umarłego. Zrobiłem bolesne wysilenie i wstałem. Nie ma ziemi nigdzie! Flaypol chodzi sobie po tratwie i śmieje się. Śpiewa i robi jakieś sygnały ku wymarzonemu lądowi.

Wrażenie słuchu, widzenia i smaku odbijają się u niego za pomocą ataku mózgowego zupełnie jak gdyby w rzeczywistości istniały. Rozmawia z nieobecnyymi przyjaciółmi. Zaprasza ich do oberży w Cardiff, pod godłem Jerzego. Tam częstują się jałowcówką, wódką i wodą, szczególnie wodą która ich upaja! Widzę go jak się zatacza, chwieje, wyśpiewując pijanym głosem. Zdaje się być w najwyższym stopniu upojonym. Pod wpływem obłądu przestał cierpieć, głód i pragnienie straciły nad nim władzę. Jakżebym chciał wpaść w podobne jasnowidzenie,

Czyż biedak ma skończyć na rzuceniu się w morze jak Ynxtrop? Zapewne Falsten, bosman i Daulas pomyśleli, że gdyby Flaypol chciał się zabić, nie pozwolą na to „z własną szkodą” Wszyscy pozostali idą za nim śledząc każde poruszenie, Jeżeli Falsten chce wpaść w morze, nie dadzą go zjeść rekinom.

Nie stało się tak jednakże. W jasnowidzeniu mojem Flaypol doszedł do tego stopnia pijaństwa, że jak gdyby pod wpływem odurzenia spirytualnemi napojami, upadł jak długi na pokład i usnął snem twardym.



## LII.

25 stycznia. Noc z 24-go na 25 była mglista i gorętsza. Ta mgła dusi mnie. Zdaje się że jedna zapałka wzniciłaby pożar w powietrzu, w materiale palnym. Tratwa stoi w miejscu, nie ulegając żadnemu ruchowi. Pytamy niekiedy samych siebie, czy ona płynie dotąd.

W nocy chciałem policzyć wielu nas pozostało na pokładzie. Zdaje mi się że jedenastu, nie mogę jednak zebrać myśli ażeby dorachować się tej liczby. Raz doszedłem do 10 to znów do 12, a jednak po śmierci Ynxtropa powinno być 11. Jutro będzie 10, bo ja umrę do jutra.

Czuję że zbliżam się do końca cierpień, bo całe życie maluje mi się we wspomnieniach. Kraj, przyjaciół, rodzinę, ujrzałem raz jeszcze w marzeniu.

Nad ranem obudziłem się, jeżeli tylko można nazwać snem chorobliwe unicestwienie w jakim byłem pogrążony. Boże przebacz mi ale chcę już raz skończyć z tem wszystkim.

Myśl ta wpiła się w mój mózg. Czuję jakąś ulgę, mówiąc sobie, że skończę jak tylko zechcę.

Powiedziałem o moim zamiarze Kurtisowi, z najzupełniejszą spokojnością umysłu. Kapitan kiwnął głową potakująco. Ja nie zabiję się, rzekł. Byłoby to ucieczką z placu boju,. Jeżeli śmierć nie zabierze mnie wcześniej niżeli moich towarzyszy, pozostanę na tratwie do ostatka.

Mgła ciągle w powietrzu. Płyniemy wzdłuż szarej atmosfery. Nie widać nawet powierzchni wody. Po nad Oceanem unoszą się chmury zasłaniające słońce.

Około 7-mej, zdawało mi się że słyszę krzyk ptaków nad głową. Kurtis chciwie ich słuchał.

Krzyk powtórzył się trzy razy. Za ostatnim razem zbliżyłem się i słyszę Kapitana szepczącego

„Ptaki! Więc ziemia jest gdzieś blisko nas” więc Kurtis jeszcze wierzy że ziemia egzystuje? Ja przestałem w to wierzyć. Już nie ma lądów ani wysp. Kula ziemiska jest tylko płynną sferoidą, jak w drugiej formacji.

Pomimo to czekałem z niecierpliwością na wzniesienie się mgły. Nie dla tego żebym miał łudzić myślą ujrzenia ziemi, ale gniewa mnie to że jakaś nadzieja szalona dokucza mi, i chciałbym się jej pozbyć.

Dopiero około 11-tej mgła zaczęła ustępować. Przez jej szerokie płaty widzę lazur niebios. Żywe promienie słońca kłują nas jak rozpalone żelazo. Niższe warstwy mgły trzymają się jeszcze, zasłaniając zupełnie widnokrąg.

Przez całe półgodziny mgły nas jeszcze otaczały, z trudnością opadając, bo wiatr zupełnie ustał.

Nareszcie słońce w całym blasku, oczyściło powierzchnię Oceanu, i rozjaśniło szeroką przestrzeń. Poziom ukazał się.

I dziś, jak od sześciu tygodni stanowi on linię ciągłą i kulistą, na której zlewa się niebo i woda.

Robert Kurtis obejrzał się w około, nic nie ma mówiąc: Ah! jego żałuję szczerze, bo z nas wszystkich jemu tylko nie wolno skończyć kiedy zechce. Ja umrę jutro, i jeżeli śmierć nie przyjdzie do mnie, to ja pójdę naprzeciw niej.

Co do towarzyszków, nie wiem czy jeszcze żyją, bo od wielu już dni nie widziałem się z nimi.

Noc zapadła. Nie mogłem usnąć ani na chwilę. Około drugiej pragnienie sprawiło mi tak okropne bóle że nie mogłem wstrzymać się od krzyku. Jakto! więc przed śmiercią nie mam sobie pozwolić ostatniej rozkoszy, ugasić żar co pali piersi?

Tak! Napiję się krwi mojej, w braku krwi cudzej? Wiem że to nie doprowadzi do niczego, ale przynajmniej na chwilę uspokoję bóle.

Zaledwie myśl ta przebiegła mi umysł, już ją spełniłem. Otworzyłem scyzoryk; obnażyłem ramie i silnym pociągnięciem przeciąłem sobie żyłę. Krew spływa po kropli, i gaszę w tym środku życia pragnienie.

Krew wraca we mnie i na chwilę uspokoja męczarnie; potem zatrzymała się, nie mając już siły płynąć.

Jakże trudno doczekać do jutra!

Równy ze dniem, gęsta mgła znów zacięła okrąg którego środkiem jest tratwa. Mgła pali jak kłęby ciepła buchające z ogniska.

Dziś jest ostatni dzień mojego życia. Zanim umrę chciałbym uściskać dłoń przyjaciela. Kurtis jest blisko. Zawlokłem się do niego i wziąłem za rękę.

Zrozumiał mnie, wie że to jest pożegnanie, i zdaje się że przez ostatnią iskierkę nadziei chce mnie powstrzymać.

Szkoda czasu. Chciałbym ale nie śmiem zobaczyć się jeszcze z Letonrneurami i z miss Herbey! Ta dziewczyna odgadłaby postanowienie z oczów moich! Mówiłaby o Bogu! o drugim życiu które mnie czeka! Czeka, kiedy już nie mam odwagi! Boże mój racz przebaczyć biednemu!

Powróciłem na tył tratwy i po długich wysileniach stanąłem przy maszcie. Ostatni raz przebiegłem wzrokiem to nielitościwe morze, ten

horyzont wiecznie jednostajny!

Gdybym teraz ujrzał ziemię lub żagiel nad falami, sądziłbym że jestem igraszką złudzenia.

Morze puste!

Już 10-ta rano. Czas skończyć. Kurcze głodowe, kolki z pragnienia wzmogły się tak że rozdzierają mi wnętrzności.

Instynkt zachowawczy zgasł we mnie. Za chwilę skończę... Boże mój! miej litość nademną!

Ktoś zaczyna mówić, poznaję głos Daulasa. Cieśla jest obok Kurtisa.

– „Kapitanie, zapytał, trzeba rzucić losy.”

Miałem już skoczyć w morze, ale wstrzymałem się. Dla czego? nie wiem, ale powróciłem na tył tratwy.

### LIII.

*16 stycznia.* Projekt zrobiony. Wszyscy go słyszeli, wszyscy go zrozumieli. Od kilku dni myśl ta stale nas zajmowała ale nikt nie śmiał z nią się odezwać: Będziemy ciągnęli i podzielimy się tym czyje nazwisko wyjdzie na końcu.

A więc niech i tak będzie. Jeżeli los mnie wskaże wcale się na to żalić nie będę. Zdaje mi się że proponowano wyłączenie panny Herbey przez Andrzeja Letourneur. Jest nas jedenastu na pokładzie, każdy więc ma za sobą 10 szans a jedną przeciw sobie. Zaproponowane wyłączenie zmieniło by cały ten stosunek. Miss Herbey podzieli nasz los. Było już wpół do jedenastej; bosman którego ożywiła propozycja Daulasa, nalega ażeby ciągnięcie w tej chwili zrobić. Ma najzupełniejszą rację, zresztą żadnemu z nas nie idzie o życie. Ten kogo los wskaże przeżyje o kilka dni a może o parę godzin swoich towarzyszków. Wiemy to doskonale i dla tego nikt nie lęka się umrzeć. Bądź co bądź jednak na dzień lub dwa pozbędzie się głodu i pragnienia. Nie wiem kto, ale zdaje się że Falsten wypisał nazwiska na ćwiartkach wyciętych z karneta. Jedenaście imion rzucono. Umówiono się bez żadnych sporów że ostatnie wyciągnięte będzie ofiarą.

– Kto będzie wywołał nazwiska? Wszyscy się zawahali.

– Ja! zawołał pan Letourneur.

Człowiek ten blady, wychudły z siwymi włosami spadającymi aż na

ramiona, przeraża mnie swoim spokojem.

Ach nieszczęśliwy ojcze! rozumiem cię. Wiem dla czego chcesz ciągnąć losy! Twoje poświęcenie ojcowskie posuniesz do tego stopnia!

Pan Letourneur włożył rękę w kapelusz wyjął bilet, rozwinął go i donośnym głosem przeczytał nazwisko napisane na kartce, oddając je następnie wymienionemu.

Pierwsze imie wymienione Burkego, który wydał okrzyk radości, drugi Flajpol, trzeci bosman, czwarty Falsten, piąty Robert Kurtis, szósty Sandon, połowa imion już wywołana; moje dotychczas nie wyszło, pozostało mi więc cztery szanse dobre a jedna zła. Odkąd Burke krzyknął nikt z nas nie wymówił ani słowa. Pan Letourneur ciągnie dalej swoją okropną misyę. Siódme imie miss Herbey, która nawet nie drgnęła. Ósme imie moje, tak! moje. Dziewiąte Letourneur.

– Który? pyta się bosman.

– Andrzej, odpowiedział pan Letourneur.

Andrzej usłyszawszy to, upadł bez zmysłów.

– No, ciągnijże pan dalej, ryknął cieśla Daulas, którego imię wraz z imieniem pana Letourneur, znajduje się dotąd w kapeluszu.

Daulas spogląda na swojego współzawodnika jak na ofiarę, którąby chciał pożreć. Pan Letourneur uśmiecha się prawie. Wyciągnął bilet przedostatni, powoli rozwinął, i jednostajnym głosem przeczytał: Daulas.

Ocalony cieśla odetchnął. Następnie nie czytając następnego biletu, podał go w kawałki. Na jednym z nich, który poleciał aż w kął tratwy wyczytałem: And...

Pan Letourneur rzucił się ku mnie, i wyrwał mi gwałtownie z rąk ten świstek, skręcił go w palcach, spojrzał na mnie poważnie i cisnął w morze...

#### LIV.

*Dalszy ciąg 26 stycznia.* Zrozumiałem dobrze; ojciec poświęcił się za syna, a nie mając nic prócz życia, chce je oddać za niego.

Zgłodniała banda nie chce dłużej czekać. Szarpania ich wnętrzości podwoiły się na widok ofiary, która jest im przeznaczoną. Pan Letourneur przestał być dla nich człowiekiem. Nic jeszcze nie przemówili, ale usta ich wyciągnęły się naprzód, zęby odkryte gotowe są do porwania gwałtownego,

rozszerpią jak zęby mięsożernych z żarłocznością dzikich zwierząt. Czyż rzuca się na nieszczęśliwą ofiarę i pożrą ją żywcem.

Któż uwierzy, w tej chwili odwołano się do resztki ludzkich uczuć jakie w nich mogły pozostać. Czyż wyda się komu prawdopodobnym, że głosu tego usłuchała zgłodniała tłuszcza?

A jednak stało się tak. Jednym słowem ich wstrzymano w chwili kiedy mieli rzucić się na pana Letourneur. Bosman mający spełnić powinność rzeźnika, Daulas z siekierą w ręku, pozostali nieruchomi.

Miss Herbey zbliżyła się a raczej zawlokła.

– Moi przyjaciele, rzekła, poczekajcie choć jeden dzień, tylko jeden dzień. Jeżeli jutro ziemia się nie ukaże, jeżeli żaden okręt nie spotka się z nami, nasz biedny towarzysz padnie ofiarą.

Drgnąłem usłyszawszy te słowa. Zdaje mi się, że ta dziewczyna przemówiła proroczo, że to natchnienie z nieba ożywiło jej szlachetną duszę! Nadzieja bez granic znów spłynęła do mojego serca. Może być, że w jednym z tych widzeń nadziemskich, jakie Bóg pozwala widzieć swoim wybranym, miss Herbey zobaczyła łąd lub statek mający nas ocalić!

Tak! trzeba poczekać jeszcze jeden dzień!

Cóż znaczy zresztą jeden dzień w porównaniu wszystkiego cośmy dotąd przebyli.

Robert Kurtis myślał tak samo jak i ja. Przyłączyliśmy się do próśb miss Herbey. Falsten w tymże samym duchu przemówił. Błagamy na klęczkach towarzyszy wspólnej niedoli, bosmana, Daulasa i innych. Majtkowie wstrzymali się i żaden z nich nie wyrzekł ani słowa.

Bosman rzucił siekierę i wyrzekł głuchym głosem:

– Dobrze więc, jutro ze wschodem słońca.

To słowo określa wszystko. Jeżeli jutro nie ujrzymy ani ziemi ani okrętu, straszna ofiara spełnić się musi.

Każdy powrócił na swoje miejsce i resztą sił stara się panować nad swojemi boleściami. Majtkowie skryli się pod żagle. Oczy ich przestały już patrzeć z nadzieją na morze. Nic ich nie obchodzi, prócz, że jutro będą jedli!

Andrzej Letourneur odzyskał zmysły. Pierwsze jego spojrzenie było dla ojca. Następnie wzrokiem przeliczył wszystkich pasażerów... ani jednego nie brak. Na kogóż więc los padł? Gdy Andrzej stracił przytomność, dwa tylko imiona były w kapeluszu: cieśli i ojca tymczasem obydwoh widzi przed sobą. Panna Herbey poprostu wytłómaczyła, że nie ukończono ciągnięcia. Andrzej nie pytał więcej. Ujął za rękę ojca. Twarz pana Letourneur zachowała zwykły spokój. Uśmiecha się, widząc, że ocalił syna, poczem ci dwaj ludzie tak silnie z sobą spojeni, usiedli na tyle tratwy i zaczęli rozmawiać po cichu.

Wmieszanie się młodej dziewczyny wywarło tak silny na mnie wpływ, że porzuciwszy myśl samobójstwa wierzę w pomoc Opatrzności. Wiara ta wpoila się we mnie tak silnie, że śmiem twierdzić, że zbliża się koniec naszej niedoli. Gdybym widział ziemię lub okręt o parę mil od nas, nie mógłbym się zdobyć na większą spokojność. Nie dziwcie się jednak temu. W mózgu moim wycieńczonym od głodu: mrzonki z rzeczywistością mieszają się bez ładu. Mówiłem o moich przeżyciach panu Letourneur. Andrzej ma też samą ofiarę co i ja. Biedne dziecię, gdyby wiedział że jutro!...

Ojciec jego z powagą mnie wysłuchał i zachęcał do ufności. On także wierzy, przynajmniej tak mówi, że niebo nas ocali i nie szcędzi synowi pieśczoł, niestety, już ostatnich. Później, gdy znalazłem się blisko niego, pan Letourneur nachylił się mówiąc mi do ucha:

– Polecam panu moje nieszczęśliwe dziecko. Niechaj się nigdy nie dowie... Nieskończył zdania i grube łzy spłynęły po jego twarzy. Nadzieja we mnie nie zachwiała się ani na chwilę. Patrzę bez ustanku na morze, którego pustynia nie jest w stanie zachwiać mojej wiary. Z największą pewnością jutro ujrzymy ziemię lub żagiel. Robert Kurtis, miss Herbey, Falsten, nawet bosman, nie spuszczaają oczu z morza. Pomimo to noc zapadła. Usypiam przekonany, że podczas ciemności zbliży się ku nam okręt i przy brzasku dnia ujrzy nasze sygnały wzywające ratunku.

## LV.

*27 stycznia.* Nie mogłem zmrzyć powiek ani na chwilę. Słuchałem najlżejszego szmeru, plusku wody, szumu bałwanów. Zauważyłem, że na około tratwy nie ma ani jednego rekina. Co za szczęśliwa przepowiednia. Księżyc wszedł o trzy kwadransy na pierwszą, ukazując wązki sierp, a jego blask słaby nie pozwala widzieć co się na morzu dzieje. Wieleż razy w nocy zdawało mi się, że spostrzegam upragniony żagiel. Już dzień! Słońce weszło nad pustym morzem. Okropna chwila zbliża się. Nadzieje moje ulatują. Okręt nie ukazał się, ziemi także nie widać. Powróciłem do rzeczywistości i przypominam sobie że to jest właśnie chwila, w której ma się wykonać straszliwa ofiara. Nie śmiem spojrzeć na skazanego i wielokroć oczy jego zwrócić się na mnie, muszę natychmiast odwrócić swoje. Zgroza niewypowiedziana ścisnęła pierś moją, w głowie mi się, kręci jak pijanemu. Już szósta rano! Przestałem wierzyć w pomoc Opatrzności. Serce bije więcej niż sto uderzeń na minutę, całe zaś ciało mam złane zimnym potem. Bosman i Kurtis stoją wsparci na maszcie, przebiegając oczami Ocean. Na bosmana strach patrzeć. On nie uprzedzi godziny, ale też nie pozwoli jej opóźnić. Nie mogę zgadnąć co myśli kapitan. Twarz jego jest tak blada, że wydaje się trupem z patrzącymi oczami. Majtkowie, pełzają po platformie, pożerając oczami ofiarę. Nie mogąc ustać na miejscu, uciekłem aż na przód tratwy.

Bosman odwrócił się ku tyłowi tratwy, mówiąc: – Nakoniec!

Wyraz ten uderzył mię jak piorun. Majtkowie zbliżyli się ku tyłowi tratwy, cieśla w ściśniętej konwulsyjnie dłoni trzyma topór!

Panna Herbey krzyknęła przeraźliwie. Nagle Andrzej powstał.

– Jak to? mój ojciec... zawołał stłumionym głosem.

– Los padł na mnie, odpowiedział pan Letourneur.

Andrzej porwał ojca i otoczył ramionami.

– Nigdy! zawołał, mnie zabijcie raczej! Zabijcie mnie! To ja rzuciłem ciało Hobbarta w morze! Mnie! mnie! powinniście zamordować!

Nieszczęśliwy! jego słowa podwoiły wściekłość katów.

Daulas oderwał go od pana Letourneur, mówi: „dosyc tych ceremonij.”

Andrzej upadł w znak, a dwaj majtkowie skrupowali go tak, że nie mógł się ani ruszyć.

Jednocześnie Burke i Flaypol pochwyciwszy ofiarę, pociągnęli ją na przód tratwy.

Okropna ta scena odbyła się prędzej niż ją tu opisałem.

Zgroza przykuła mię do miejsca! Chciałem się rzucić pomiędzy pana Letourneur i jego katów, ale sił mi zabrakło. W tej chwili pan Letourneur odepchnął majtków, którzy już zdarli z niego część ubrania.

– Wstrzymajcie się chwilę, rzekł głosem którym przebijała niepokonana energia, jedną tylko chwilę. Nie chcę wam ukraść waszej porcy. Wszakże całego dzisiaj mnie nie zjecie!

Majtkowie wstrzymali się spoglądając w osłupieniu, pan Letourneur mówił dalej:

– Jest was dziesięciu, wszak moje dwie ręce na dziś wam wystarczą. Jutro weźmiecie resztę.

Letourneur wyciągnął dwie ręce obnażone.

– Niech i tak będzie, krzyknął okropnym głosem cieśla Daulas, i szybko jak błyskawica podniósł topór.

Kurtis nie mógł patrzeć na to dłużej. Jak także. Nie, póki żyć będziemy nie pozwolimy na podobną rzeź! Kapitan rzucił się pomiędzy majtków, ażeby im wydrzeć ofiarę. Skoczyłem między walczących, ale jeden z majtków, gwałtownie mnie popchnął, że wpadłem w morze... Zamknąłem usta, ażeby skończyć prędzej. Duszenie się jednak przewyciężało siłę mojej woli. Przez na wpół otwarte usta wpłynęło kilka kropli wody.

Boże przedwieczny!!... Słodka woda!

## LVI.

27 stycznia, ciąg dalszy. Piję! piję! odradzam się! życie wróciło we mnie!  
Nie chcę umierać.

Krzyknąłem. Usłyszano mój krzyk. Kurtis rzucił mi linę, którą  
pochwyliłem. Wspiąłem się znów wpadłem na tratwę.

Pierwsze moje słowa były:

– Słodka woda!

– Słodka woda! zawołał Kurtis, ziemia jest tam!

Morderstwa dotąd nie spełniono. Kurtis i Andrzej bronili dotąd  
Letourneura przeciw ludożercom, i w chwili kiedy mieli sami uleść przemocy  
usłyszano mój głos.

Walka wstrzymała się. Powtarzam ciągle:

– Woda słodka! i przechylając się po za tratwę piję chciwie wielkimi  
łykami!

Miss Herbey pierwsza poszła za moim przykładem. Robert Kurtis,  
Falsten i inni rzucili się ku temu źródłu życia. Każdy toż samo robi. Otóż  
ludzie którzy przed chwilą byli drapieźnemi zwierzętami, wznoszą teraz ręce  
ku niebu. Majtkowie na klęczkach żegnając się wołają, że cud się zjawił. Po  
wściekłości nastąpiło rozrzewnienie.

Andrzej i ojciec jego, ostatni dopiero naśladowali nas!

– Ależ gdzież jesteśmy, zawołałem.

– O dwadzieścia mil niespełna od lądu! odpowiedział Robert Kurtis.

Spojrzelismy na niego, czy kapitan oszalał? Lądu nigdzie ani śladu,  
tratwa znajduje się jak zwykle w środku poziomu!

A jednak woda słodka! odkąd nic nas to nie obchodzi? Zmysły nas nie  
oszukały i pragnienie ugasiłiśmy zupełnie.

– Tak, ziemi nie widać, ale jest tam! rzekł kapitan wskazując ręką na  
zachód.



- Jaka ziemia, spytał bosman.
- Ameryka! Ziemia gdzie płynie Amazonka, jedyna rzeka, której prąd jest tak silny, że osładza wodę Oceanu na dwadzieścia mil od ujścia!

## LVII.

*27 stycznia, dalszy ciąg.* Robert Kurtis widocznie się nie myli. Ujście Amazonki, która wrzuca w morze 21,400 metrów kubicznych na godzinę jest jedynym miejscem na Antlantyku, gdzie moglibyśmy dostać się do słodkiej wody. Ziemia tam jest! Czujemy ją! Wiatr przynosi nam jej zapach!

W tej chwili, głos miss Herbey wzniósł się ku niebu w pieśni dziękczynnej, do której i my przyłączyliśmy nasze błagania.

Andrzej Letourneur trzyma ojca w objęciach, na przodzie zaś tratwy wszyscy stojemy spoglądając na zachód.

W godzinę później Kurtis zawołał: Ziemia!...

Skończyłem nareszcie ten dziennik, w którym z dnia na dzień notowałem wypadki. Przybycie nasze na ląd potrzebowało kilka godzin, ale w paru słowach go opowiem. Tratwę około jedenastej rano naprzeciwko Maguri na wyspie Marajo napotkali litościwi rybacy którzy nas nakarmili. Następnie zaś zawieźli nas do Para, gdzie byliśmy przedmiotem najtroskliwszych starań. Tratwa przybiła pod 0°, 12' szerokości północnej, została więc odrzucona o 15 stopni od dnia, w którym opuściliśmy okręt. Zdaje się jednak, że byliśmy daleko więcej na południe rzuceni, następnie zaś prąd Gulf-streamu uniósł nas aż do ujścia Amazonki, gdyby nie to byłibyśmy zgubieni. Z trzydziestu dwóch osób które wsiadły na Chancellor'a t. j. 9 pasażerów i 23 marynarzy, pozostało 5 pasażerów, i 6 marynarzy, razem osób jedenaście. Protokół wylądowania ułożony przez władze brazylijskie podpisali: miss Herbey, J. B. Kazallon, Letourneur ojciec, Andrzej Letourneur, Falsten, bosman, Daulas, Burke, Flaypol, Sandon i Robert Kurtis kapitan.

W Para ofiarowano nam natychmiast środki powrócenia do kraju. Okręt żaglowy zawiózł nas do Kajenny, gdzie dostaniemy się do linii transatlantyckiej francuskiej Aspinval, której parowiec „Miasto Nazaret” zawiezie nas do Europy.

Cóż dziwnego że po tylu próbach, po tylu niebezpieczeństwach, cudem prawie ocaleni, zwiąaliśmy się wszyscy pasażerowie Chancellor'a najserdeczniejszą przyjaźnią. Wzajemnie wiecznie pamiętać się będziemy.

Miss Herbey chciała usunąć się od świata i poświęcić życie

pielęgnowaniu tych którzy cierpią,

– Przecież i mój syn jest chory, rzekł do niej p. Letourneur.

Miss Herbey w tej chwili ma ojca w panu Letourneur a brata w Andrzeju. Niezadługo jednak w nowej rodzinie ta dzielna i piękna kobieta znajdzie szczęście na które zasługuje i którego serdeczne życzenie przesyłamy jej z daleka.

KONIEC.